

Złudne marzenia

Bullen Alexandra



calibre 0.9.43

ALEXANDRA

BULLEN

Złudne marzenia

Pamięci moich babek:

Catherine Krokidas i Betty Bullen

Dzień, w którym Hazel Snow skończyła osiemnaście lat, rozpoczął się jak każdy inny. Czyli do bani.

W wypadku osoby urodzonej pod koniec grudnia było to w zasadzie do przewidzenia. Podczas gdy cały świat przesypiał świątecznego kaca i przytomniał w sam raz na czas, by zdążyć zaplanować sylwestra, Hazel przywykła do witania Nowego Roku w ciszy i samotności. Dla niej owo „witanie”

oznaczało zwykle próbę niepoświęcenia temu dniowi zbyt dużej uwagi oraz wykrzesania z siebie wystarczającego entuzjazmu, by mieć nadzieję, że nadchodzący rok będzie choć odrobinę mniej przygnębiający niż ten, który właśnie minął.

I tym razem nie było inaczej. Po trzykrotnym wyłączeniu budzika zwlokła się wreszcie z nierównego futonu, na którym sypiała od kilku miesięcy, i splotła nad głową wyprostowane, smukłe ramiona.

Futon miał jej służyć tymczasowo. Tak powiedział Roy, jej przyszywany ojczym, kiedy przywiózł ją z miasta do domu. Zawsze określał wszystko mianem tymczasowego, jak gdyby jego życie składało się z mnóstwa etapów i lada chwila także i ono miało przeminąć.

Tymczasem wypatrzony kiedyś na pchlim targu futon, któremu brakowało połowy listewek z imitacji drewna, wciąż tkwił w tym samym miejscu. Podobnie jak Hazel. Zawarła z Royem umowę, że skończy liceum w San Rafael, sennym miasteczku północnej Kalifornii, i będzie mieszkać w wynajmowanej tam przez niego suterenie, póki po uzyskaniu dyplomu nie zaoszczędzi pieniędzy na własne lokum. Mając przed sobą niecały semestr nauki oraz cierpiąc na nieustający ból karku od spania na powybrzuszonym w różnych miejscach materacu,

z

utęsknieniem

wyczekiwała

egzaminów

końcowych.

Rozsunęła zasłony w zielono - białą kratkę, by wpuścić do środka szare światło poranka. Stary kaloryfer w rogu pokoju syczał i postukiwał, gdy wciągała na siebie ulubione sprane czarne dzinsy, o

wciąż mokrych brzegach nogawek po wczorajszym brnięciu przez kałuże. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio obudziła się bez deszczu za oknem.

Umywszy zęby i podpiąwszy kilka zwisających przy twarzy kosmyków jasnych, sięgających ramion włosów, popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Rudawe odrosty były już widoczne, zanotowała sobie zatem w pamięci, żeby zgarnąć kolejne opakowanie farby Nice'n Easy następnym razem, gdy będzie układała towar na półkach z produktami do pielęgnacji włosów w drogerii, w której pracowała. Na razie spędzała tam każdy dzień ferii świątecznych, co byłoby pewnie dołujące, gdyby miała inne propozycje.

I wtedy sobie przypomniała.

Czy w dniu osiemnastych urodzin nie powinna się poczuć jakoś szczególnie?

Wzrok Hazel powędrował do rogu kwadratowego lustra.

Było tam zatknięte wyblakłe, zrobione polaroidem zdjęcie kobiety w żółtym fartuchu, z puciołowatym dzieckiem na ręku.

Hazel nie miała innej fotografii z Wendy, szefową kuchni, która adoptowała ją jako noworodka, a wkrótce potem zginęła w pożarze własnej restauracji, która spaliła się doszczętnie.

Hazel nie miała wtedy nawet roku i zupełnie nie pamiętała swojej matki adopcyjnej. Ale coś jej podpowiadało, że jej osiemnastka wyglądałaby inaczej, gdyby Wendy żyła.

Na dole Roy oglądał wydarzenia ligi koszykarskiej.

Ściszył telewizor, gdy przeszła obok niego do kuchni. Miało to być zapewne czymś w rodzaju prezentu.

- Dzińdobry - mruknął, drapiąc się w szczękę porośniętą niechlujnym rudawym zarostem. Próbował zapuścić brodę od początku jesieni i bezustannie pytał ją, co o tym myśli. Było to niemal - choć nie do końca - śmieszne, jak bardzo ostatnimi czasy interesowała go jej opinia. W dotychczasowym życiu pod wspólnym dachem mogła nawet paradować po domu z tamburynami przyklejonymi do obu rąk i mrugającym na czole neonem, a on, permanentnie rozwalony na sofie, prawdopodobnie rzuciłby jej, co najwyżej, spojrzenie z ukosa.

- Dobry - odburknęła, wyciągnęła miseczkę zaklinowaną na drucianej suszarce do naczyń i przetarła ją zżartym przez mole rękawem. Wsypała płatki Cheerios i zjadła, stojąc jak zwykle przy kuchennym zlewie i wyglądając przez okno.

- Jak chcesz, mogę cię podwieźć do pracy - zaproponował

z kanapy Roy, wyskrobując łyżką z dna miseczki ostatnią kropelkę mleka.

- Nie, dzięki - odparła machinalnie, odkręcając kran i nalewając wodę do papierowego kubeczka. Wypiła duszkiem, modląc się w duchu, by temat podrzucenia do pracy został

zakończony. Roy twierdził, że nie pije od roku, zanim poprosił

Hazel, by wróciła do domu, ona zaś widywała go od tamtej pory wyłącznie z butelką syropu na kaszel.

Nie znaczyło to jednak, że jest gotowa znów wsiąść z nim do samochodu.

- W porzo.

Roy mawiał „w porzo”, kiedy nie wiedział, co powiedzieć.

Czyli powtarzał ten zwrot dość często. Usłyszała skrzypnięcie sprężyn, gdy wstawał z kanapy, i poczuła, że snuje się w kuchni za jej plecami.

- Proszę - odezwał się niespodzianie. Odwróciła się i zobaczyła, jak kładzie na kuchennym stole szarą kopertę.

Zaszurał nogami i ruszył w stronę drzwi, wcisnąwszy na głowę czapkę bejsbolową z logo Olbrzymów. Nad uszami sterczały mu kępkę ciemnych, kręconych włosów, niczym wyciągające się ku słońcu bujne paprocie.

- Wszystkiego najlepszego, Hazel - rzucił do klamki, otwierając drzwi. Wilgotne, chłodne powietrze zaległo w kuchni jak ponury nastrój i nim Hazel zdążyła coś powiedzieć

- gdyby w ogóle miała coś do powiedzenia - Roya już nie było.

Utkwiła wzrok w kopercie, jak gdyby spodziewała się, że przemówi albo odejdzie w siną dal. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio Roy pamiętał o jej urodzinach, a co dopiero uczcił je jakimś sentymentalnym gestem.

Wstawiła miseczkę do zlewu i usiadła przy stole, obracając kopertę w dłoniach. Była większa od standardowej i zupełnie gładka. Żadnego znaczka Hallmarku ani tandetnych rysunczków jak na kopertach sprzedawanych w drogeriach.

Przesunęła palec wzdłuż zaklejonego brzegu, oddech uwiązał

jej w gardle. W pierwszej chwili chciała po prostu wyrzucić tę kopertę do śmieci, może nawet cisnąć ją do kubła na sam wierzch, żeby Roy zobaczył ją tam, nietkniętą. Zostawiał

Hazel z zupełnie obcymi osobami nie raz, nie dwa, lecz trzy razy. Osiem różnych szkół, od Santa Cruz po Santa Rosa.

Siedem pożegnań z przyjaciółmi, których już nawet nie chciało się jej poznawać.

Jaka kartka mogłaby to wszystko zrekompensować?

Ale niepewność była nie do zniesienia. Wsunęła palec pod klapkę, oderwała cienki pasek papieru i

wyciągnęła zawartość koperty.

Wcale nie ozdobną kartę z życzeniami, lecz biały, złożony podwójnie arkusz papieru.

Roy nie kupił jej urodzinowej kartki, gdzieżby. Obruszyła się na swój nedorzeczny pomysł. Na stół wypadła żółta kwadratowa karteczka samoprzylepna. Pochyliła się, by ją przeczytać. Poczowała skurcz w żołądku na widok pełnego zakrętasów pisma, które mogło należeć tylko do Wendy.

Wręczyć Hazel w dniu jej osiemnastych urodzin.

W uszach dziewczyny rozbrzmiewało odległe dzwonienie, gdy ostrożnie rozkładała i wygładzała ręką papier.

Był to oficjalny dokument napisany kanciastym drukiem, z podkreślonymi wierszami. Na górze strony widniał ozdobny nagłówek: AKT URODZENIA. Data: osiemnaście lat temu, ten sam co teraz dzień miesiąca. Szpital: St. Mary's, San Francisco. Pozostałe słowa rozmazały się, jakby były napisane w obcym języku. Wzrok Hazel ześliznął się na dół strony.

Dwa słowa, pytanie, które towarzyszyło jej każdego dnia i każdej nocy, mimo że już dawno przestała zadawać je na głos.

Matka. Biologiczna.

I dwa następne słowa, odpowiedź:

ROSANNA SCOTT.

Rozdział 1

Trzy miesiące później

Nieczynne.

Hazel stała za ciężkimi szklanymi drzwiami, mrużąc oczy w zatęchłym mroku pomieszczenia, które wyglądało jak opuszczona pralnia chemiczna. Dziwnie się czuła w pracowni szwaczki. Bo przede wszystkim: kto to jest szwaczka?

Słyszała o krawcach i projektantach mody, ale szwaczka?

Słowo to kojarzyło się jej ze starszą pulchną kobietą w szerokiej spódnicy, z ustami pełnymi szpilek. Tymczasem ta szwaczka, ukryta w głębi zapyziałej pracowni, czytająca książkę w lakierowanej okładce, rozparta na starej, sfatygowanej sofie, nie była ani pulchna, ani stara. Wprost przeciwnie, była młoda, choć nie od razu dało się określić jej wiek - mogła mieć tyle lat co Hazel albo być trzydziestolatką o młodzieńczej urodzie - w każdym razie sprawiała wrażenie, jakby pilnie potrzebowała wrzucić coś na ząb.

A w dodatku ta wizytówka.

Minęły trzy miesiące, od kiedy Hazel poznała nazwisko swojej rodzonej matki, i niemal tyle samo od chwili, gdy wyszukiwarka Google odmieniła jej życie. Ponieważ wedle Internetu „Rosanna Scott” nie tylko nadal mieszkała w San Francisco, ale była aktywnie działającą członkinią elitarniej grupy artystów - filantropów i miała akurat poprowadzić imprezę charytatywną w restauracji usytuowanej w Ferry Building, 26 marca, w niedzielę, o godzinie dziewiętnastej.

Hazel wiedziała, że właśnie tam spotka swoją matkę.

Wiedziała, że musi tam pójść, jak gdyby decyzja zapadła już wcześniej za jej plecami. Z taką samą jasnością wiedziała, co na siebie włoży.

Nie dysponowała przecież szafą pełną ubrań. Miała jedną jedyną sukienkę, a i ona trafiła się jej fuksem. Wypatrzyła ją ponad rok temu w sklepie charytatywnym przy ekskluzywnej prywatnej szkole w Haight. Mieszkała wtedy przy Oak Street u przybranej rodziny, starszej pary Szwajcarów, którzy prowadzili hotelik dla podstarzałych hipisowatych typów artystowskich. Wracając do domu z nudnej szkoły publicznej, mijając liceum Golden Gate i często patrzyła przez bramę na modnie ubranych uczniów, taszczących laptopy, wsiadających i wysiadających z drogich samochodów.

Pewnego wiosennego dnia zauważyła szkolny sklepik charytatywny. Wcale nie weszła tam z zamiarem kupienia czegokolwiek. Ale ta sukienka sama ją znalazła, wyzierając spod sterty sfatygowanych butów w koszu z rzeczami za grosze. Była zdecydowanie bardziej kolorowa niż wszystko, co Hazel dotąd posiadała (głównie dlatego, że pozostałe jej ubrania miały nieodmiennie kolor czarny), nie wiedziała nawet, czy będzie na nią pasować. Ale coś w tej sukience nie pozwoliło jej przejść obok obojętnie.

A więc ją kupiła, przyniosła do domu, powiesiła w głębi szafy i prędko zapomniała o jej istnieniu. Kiedy Roy zabierał

Hazel z powrotem do San Rafael, mało brakowało, a by ją zostawiła, lecz znów coś kazało jej spakować ją do torby. Nie potrafiła sobie wyobrazić żadnego pretekstu do włożenia tak eleganckiego, wymyślnego stroju, w dodatku całkowicie nie w swoim stylu, ale zaczął być dla niej z jakiegoś powodu ważny.

Dlatego wrzuciła sukienkę na wierzch torby, zataszczyła do mieszkania Roya i wepchnęła ją na samo dno kolejnej szafy.

Postanowiwszy pójść na organizowaną przez Rosannę imprezę, wygrzebała sukienkę i powiesiła ją na drzwiach szafy, by móc się jej przyjrzeć. Teraz była bowiem czymś więcej niż zwykłym elementem garderoby. Stała się symbolem.

Od momentu poznania biologicznej matki z imienia i nazwiska w życiu Hazel właściwie niewiele się zmieniło: chodziła do szkoły, chodziła do pracy, unikała Roya, jeździła autobusem. Lecz w niej samej zaszła poważna zmiana. Była teraz inna. A sukienka stanowiła jedyną namacalną rzecz, która przypominała o tych zmianach. Zmianach, które odczuwała tylko Hazel.

Sukienka była śliczna - krótka, ale nie zanadto, w krzykliwe kolorowe kółka, z jedwabistej tkaniny,

która w trakcie mierzenia przyprawiała Hazel o gęsią skórę - lecz nie doskonala. Kupując ją, wiedziała o rozprutym szwie - właśnie z tego powodu kosztowała tak tanio. Jednak dopiero tego ranka, w dniu imprezy w Ferry Building, Hazel zdała sobie sprawę, że musi oddać sukienkę do zreperowania, jeśli podczas spotkania z matką wolałaby nie świecić piętnastocentymetrową dziurą na boku.

Kiedy po raz pierwszy dostrzegła wizytówkę przypiętą agrafką do metki, uznała, że widnieje na niej nazwisko projektanta: MARIPOSA Z MISSION. Ale stojąc tego ranka przed szafą, uważniej przyjrzała się kartonikowi. Pod adresem napisano tylko jedno słowo: SZWACZKA.

Tak oto wylądowała w sobotnie popołudnie w Mission, zakurzonej pracowni, gdzie unosił się zapach kulek za mole, zastawionej maszynami do szycia i bezgłowymi manekinami, na domiar złego najwyraźniej...

- Nieczynne - powtórzyła dziewczyna na kanapie. -

Przepraszam.

Ale głos nie brzmiał przeproszająco. Była w nim irytacja. I wtedy właśnie Hazel uświadomiła sobie, że to jej osobliwe uczucie było uzasadnione. Jechała tu czterema autobusami, za kilka godzin czekało ją spotkanie z jedyną osobą, o której poznaniu marzyła przez całe życie. Miała tylko jedną sukienkę, rozdartą na szwie z boku, z dziurą, przez którą wyzierała goła skóra, sukienkę, której rozpaczliwie była potrzebna naprawa. Tymczasem „szwaczka” siedząca przed nią na kanapie w otoczeniu maszyn do szycia, w pracowni zajmującej się naprawami krawieckimi, twierdzi, że zakład jest nieczynny!

Hazel miała ochotę wyc. No jasne, coś musiało stanąć na przeszkodzie. Poznanie nazwiska rodzonej matki może i gruntownie zmieniło Hazel od środka, lecz w świecie zewnętrznym wszystko pozostało dokładnie takie samo jak dawniej.

- Bosko! - prychnęła, podciągając na ramieniu czarną płócienną torbę. Jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem dziwaczną i pustą pracownię. Interes raczej tu nie kwitł. - Wiesz co? -

zaczęła mówić, a w ustach wzbierały gniewne słowa. -

Przestrzeżenie stałych godzin otwarcia może bardzo się przydać. To znaczy, jeśli w ogóle interesują cię jacyś klienci.

Odwróciła się na pięcie i pchnęła drzwi, lecz pasek torby zaczepił się o mosiężny haczyk i szarpnął Hazel do środka. Z

torby wypadła sukienka, jaskrawe satynowe kręgi kontrastowały wesoło z zakurzonymi, poszarzałymi deskami podłogi.

Policzki Hazel oblały się rumieńcem. Bosko, pomyślała, schylając się po sukienkę. Po prostu fantastycznie.

- Zaczekaj! - Dwa postukujące drewniaki zmierzały do kucającej przy drzwiach Hazel. - Sukienka -

rzekła dziewczyna, wskazując torbę długim, patykowatym palcem. -

Mogę ją zobaczyć?

Hazel powolnym ruchem wyciągnęła sukienkę w stronę otwartej dłoni dziewczyny.

- Skąd ją masz? - zapytała szwaczka, wygładzając i rozkładając materiał.

- Kupiłam w Haight - odparła Hazel. - W sklepie charytatywnym. Należy chyba do szkoły. Spodobały mi się te kolory... - Przeszła z nogi na nogę i umilkła. Dlaczego tłumaczyła się ze swego gustu przed burkliwą dziewczyną o dziwacznej grzywce, która jeszcze przed chwilą była głównie zainteresowana pozbyciem się jej z pracowni?

Dziewczyna wpatrywała się w nią oczami, które wydawały się bardziej kocie niż ludzkie: były małe, świdrujące i niemal złociste.

- Na jaką okazję jej potrzebujesz? - spytała powoli.

- Wybieram się na imprezę charytatywną - wyjaśniła Hazel. - W restauracji zlokalizowanej wewnątrz Ferry Building. Nazywa się chyba The Slanted Door. - Wzięła głęboki oddech, nim dodała: - Mam dzisiaj poznać swoją matkę.

Po raz pierwszy powiedziała to na głos, a słowa te zdawały się wypełniać całą przestrzeń dookoła. Wbiła wzrok w czubki kraciastych tenisówek.

Dziewczyna milczała, Hazel wciąż czuła na sobie jej spojrzenie. W końcu odwróciła się, zaszurała drewniakami po podłodze i wolnym krokiem wróciła na kanapę. Wzięła ze sobą sukienkę.

- Mogłabyś przyjść za dwie godziny?

Hazel patrzyła na wąskie plecy dziewczyny, jej wygięty w łuk kręgosłup, który rysował się pod cienkim sweterkiem, gdy rozkładała sukienkę na poręczy dwuosobowej kanapy.

- Za dwie godziny? - powtórzyła. - Aha... to znaczy tak.

Oczywiście. Na pewno?

Hazel czekała, aż dziewczyna się odwróci i coś odpowie.

Ponieważ nic takiego nie nastąpiło, położyła dłoń na klamce z obawy, by następne słowo nie skłoniło szwaczki do zmiany zdania.

- Hej! - usłyszała za plecami. Dziewczyna wciąż stała pochylona nad kanapą, tyłem do niej. - Jak masz na imię?

- Och, przepraszam - spieszyła się Hazel. - Hazel.

- Miło cię poznać - rzekła dziewczyna, mocno akcentując każde słowo, jakby dzieliła się jakąś tajemnicą. - Ja nazywam się Posey. Do zobaczenia o trzeciej.

Rozdział 2

Dzisiaj poznam swoją matkę.

Hazel siedziała na ławce w Dolores Park, popołudniowe słońce przygrzewało w plecy. Założyła nogę na nogę, nerwowo nią wymachując, w rękach ścisnęła miękką torbę i wielgachny kubek mrożonej kawy. Tylko w ten sposób mogła usiedzieć w miejscu, nieustannie powracając do jedynej myśli, na której skupiała się cała jej uwaga: Dzisiaj poznam swoją matkę.

A przynajmniej od tego rozpoczynał się tok myślenia.

Podążał dalej stosunkowo prostą drogą, trafiając na przewidywalne progi spowalniające prędkość (A jeśli jej tam nie będzie? A jeśli nie zechce mnie poznać? A jeżeli jest okropna i wredna?), aż wreszcie zawracał do punktu wyjścia.

Dzisiaj poznam swoją matkę.

Wysączyła ostatni łyk kawy przez jeszcze nieroztopione kostki lodu i wrzuciła plastikowy kubek do stojącego obok kubła na posegregowane odpady. Nogi poniosły ją dalej, zanim w ogóle zdążyła się zorientować, dokąd idzie.

Przebiegła między dwoma pasami jezdni i ruszyła boczną uliczką, bezwiednie grzebiąc w torbie jedną ręką.

Palce dotknęły znajomego czarnego plastiku, a wtedy puls natychmiast się wyrównał.

Za każdym razem, gdy czuła się zdenerwowana, niespokojna czy spięta, sięgała po aparat fotograficzny, stary polaroid, który niegdyś należał do Wendy. Fotografowanie było dla niej nie tyle hobby, co fizyczną potrzebą. Czymś podobnym do wystawiania w nocy nóg spod kołdry, gdy nagle robi się za gorąco. Było podyktowane instynktem. Było czymś dla niej niezbędnym.

Na rogu Siedemnastej ulicy znajdowała się księgarnia z używanymi książkami, na zewnątrz wystawiono koślawą półkę z wyprzedawanymi tytułami. Hazel przeszła obok niej dwukrotnie, aż wreszcie przystanęła z boku. Kucnęła nisko przy krawężniku, przyłożyła do prawego oka kanciasty obiektyw i pstryknęła fotkę zniszczonym grzbietom książek.

- Wiesz co, ludzie zwykle wolą to, co w środku. Spojrzała na wydłużony cień, przesuwający się obok na chodniku. Najpierw rozpoznała buty, dopiero potem głos.

Buty były wiązane i cudownie staroświeckie. Znała tylko jedną osobę, której noszenie tego typu obuwia mogło ująć płazem.

- Jasper... - rzekła z westchnieniem, opierając ręce na ziemi i podnosząc się do pionu. - Przestraszyłeś mnie.

Odwróciła się i ujrzała przed sobą Jaspera Greene'a z tym jego charakterystycznym uśmiechem amorka i rękami wciśniętymi w kieszenie spranych niebieskich dżinsów. Jasper był pierwszą osobą, z którą rozmawiała jesienią w nowej szkole. Należeli do grona zaledwie czworga uczniów, którzy zapisali się na roczny kurs fakultatywny mediów, i często przydzielano im wspólne projekty. Jasper zaliczał się do tych rzadko spotykanych indywidualistów, którzy w gruncie rzeczy nie pasują do żadnej grupy w szkole, i w rezultacie czuł się całkowicie swobodnie w rozmowie z każdym. Bez względu na to, czy któreś z nich zdawało sobie z tego sprawę, prawdopodobnie był dla Hazel ostatnimi czasy kimś najbardziej zbliżonym do przyjaciela.

- Kto? Ja? - sapnął, cofając się o krok. - To ty czaisz się tu jak paparazzi. Ty dałaś susa za drzewo, kiedy wysiadałem z autobusu!

Wzniosła oczy do nieba.

- Co tutaj robisz? - zapytała, wymachując nieostrym jeszcze zdjęciem. Wciąż czuła się rozedrgana i zastanawiała się, czy to nie rezultat wypicia kawy.

- Wózek z taco przy Harrison - wyjaśnił, wskazując ruchem głowy następną przecnicę. Odgarnął z twarzy ciemne, kręcone włosy, które opadły mu na oczy. - To mój niedzielny rytuał. A ty?

- Nic! - wypaliła Hazel. Może i Jasper był jedynym człowiekiem, którego znała wystarczająco dobrze, by pogadać z nim na ulicy, ale nie znaczyło to jeszcze, że ma ochotę mu się zwierzać. - Tak się tylko wałęsam.

- Co tam masz? - zapytał, pokazując fotografię, którą wciąż potrząsała w ręku. Hazel odwróciła zdjęcie i podniosła w górę ze wzruszeniem ramion. Było to zbliżenie przedstawiające trzy książki ustawione obok siebie grzbiet przy grzbiecie. Jej uwagę zwróciła mieszanina rozmaitych krojów pisma i wystrzępione krawędzie.

- Super! - uśmiechnął się Jasper. - Pani Lew miała co do ciebie absolutną rację.

- Jaką rację? - Wetknęła fotografię do kieszeni bluzy i ciaśniej otuliła się w pasie miękką tkaniną. Pani Lew była ich nauczycielką plastyki oraz osobą, która domagała się, aby Hazel od jesienno- zimowego semestru starała się o przyjęcie do szkoły plastycznej w Nowym Jorku. Hazel w końcu uległa, choć to pani Lew wypełniła niezbędne formularze, wysłała jej portfolio, a nawet wypisała czek na pokrycie opłaty wpisowej.

Jej uczennica została przyjęta zaraz po feriach zimowych.

Nauczycielka wpadła w ekstazę, natomiast Hazel udawała, że się cieszy, ale z miejsca wiedziała, że tam nie pojedzie. Nigdy nie wyjeżdżała poza granice Kalifornii, a co dopiero mówić o podróży przez cały kraj na drugie wybrzeże. Zresztą jaki sens miało pójście do szkoły plastycznej? To czysta głupota, nie wspominając już, że przy okazji astronomicznie droga.

Zdjęcia robiła dla rozrywki i dobrego samopoczucia.

Niepotrzebny był jej do tego dyplom. A tym bardziej spłacanie do końca życia pożyczek.

- Powiedziała, że jesteś najbardziej utalentowaną fotografką, jaką kiedykolwiek uczyła - wyjaśnił rzeczowo Jasper, patrząc Hazel prosto w oczy. - Mówiła, że widzisz inaczej niż wszyscy.

Przeszły ją ciarki. Za każdym razem, kiedy słyszała, jak inni rozmawiają na jej temat, doznawała szoku. Nie dlatego, że mówili miłe rzeczy, ale że w ogóle ją zauważali. Może przez to, że nieustannie się przeprowadzała albo dlatego, że niemal przez cały czas wyobrażała sobie, że jej życie wygląda zupełnie inaczej. Ze zna swoje korzenie, wie, kim byli jej rodzice, jak wyglądali, co robili. Hazel nie miała pojęcia, kim właściwie jest, więc jakim cudem inni mieliby to wiedzieć?

- Starąłem się nie obrazić - mówił dalej z uśmiechem. -

Na szczęście, jak wieść niesie, Nowy Jork to całkiem spore miasto. Myślisz, że wystarczy miejsca dla nas obojga?

Dostał się wcześniej na studia filmowe na Uniwersytecie Nowojorskim. Wspólnie pracowali nad krótkim filmem, który był jego przepustką na studia, a podczas kręcenia go przyznał, że zawsze chciał być lepszym fotografem. Hazel uważała, że fotosy, które robił na planie, są naprawdę dobre, ale milczała.

- A zresztą - westchnął teatralnie, jakby rozmowa z nią była nie lada wyzwaniem. Hazel nie rozumiała, dlaczego aż tak się stara. - Wybieram się właśnie do SOMX obadać tę nową wystawę w galerii - powiedział. - O ptakach, zdaje się.

Albo o drzewach. Nie poszłabyś?

- Nie mogę - odparła, pocierając wierzchem tenisówki o półkę z książkami. - Prawdę mówiąc, powinnam się już zbierać.

Przechylił na bok głowę, strzecha ciemnych włosów rzuciła cień na jego twarz.

- Może później? Obok muzeum jest podobno naprawdę dobra tajska knajpka.

Zawsze opowiadał jej o najlepszym nowym tym albo absolutnie niedocenionym tamtym. Wyobrażała sobie, że jego dane muszą figurować na każdej liście adresowej i czytniku RSS w cybermieście, i nie potrafiła się połapać, czy faktycznie chciał spędzić z nią czas, czy po prostu popisać się liczbą czytanych blogów.

- Nie mogę - powtórzyła. - Mam już plany na dzisiejszy wieczór.

Kiwnął głową.

- Jasne. Okej! - Klasnął w dłonie i znów się uśmiechnął, jego usta wygięły się na kształt olbrzymiego serca otaczającego idealnie proste białe zęby. - A jutro?

Hazel spojrzała na zegarek, kawałek plastiku z cyfrowym wyświetlaczem, który wygrała w automacie w Santa Cruz.

Czas odebrać sukienkę.

- Jutro? - powtórzyła jak echo, a do jej głosu wkradła się delikatna nutka zniecierpliwienia. - Jutro jest poniedziałek.

- Super! - wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Na dobry początek tygodnia.

Otworzyła torbę i schowała aparat.

- Hazel - rzekł cicho.

- No? - powiedziała, wyciągając włosy spod paska torby.

- Przepraszam, trochę się spieszę, muszę...

- Kiedyś musisz dać mi szansę - rzucił lekko, nie spuszczać z niej oczu.

Policzki Hazel w jednej chwili zapłonęły. Znow zerknęła na zegarek, lecz tym razem nie widziała nic oprócz zamazanego fragmentu skóry i plastiku.

- Dobra - powiedziała, poprawiając torbę i dając dyla.

- Okej? - zawołał za nią ze śmiechem. - A więc jutro?

Założyła włosy za uszy i modliła się o szybką zmianę świateł, żeby przejść na drugą stronę ulicy. Zmieniły się dopiero po trwającej całe wieki chwili. Wskakując na pasy, krzyknęła przez ramię.

- Dobra, wszystko jedno!

Jasper splótł nad głową dłonie, niczym bokser na ringu po wygranej walce.

- Umowa stoi! - zawołał. - Do jutra!

Rozdział 3

Hazel zamknęła się w kabinie toalety publicznej w Ferry Building i powiesiła na drzwiach nieotwarty pokrowiec na ubrania z pracowni Posey. Wpatrywała się w długi, ciemny kształt, usiłując podać powody, dla których do tej pory nie rozsunęła zamka. Wiedziała bowiem, że rozpięcie go

prowadzić

do

przymierzenia

sukienki.

Przymierzenie sukienki doprowadziłoby do jej włożenia, a skoro miałyby ją już na sobie, nie pozostawałoby nic innego, jak wyjść z kabiny i opuścić toaletę. Wiedziała, jak się to skończy. Jej matka jest w restauracji obok, dzieli je odległość mniejsza niż długość boiska futbolowego. A gdy już znajdzie się w jednym pomieszczeniu z matką - własną matką! -

prawdopodobnie będzie musiała coś powiedzieć.

Najpierw jednak trzeba się ubrać.

Przeczesała palcami włosy, potargała kasztanowe odrosty i ścisnęła dłońmi skronie. Przypomniała sobie rok spędzony u siostry Roya, Rae Ann, która mieszkała nad jeziorem na północy. Rae Ann postanowiła nauczyć ją nurkować i wykrzykiwała słowa zachęty, gdy Hazel stała na pomoście.

Hazel zacisnęła palce stóp na krawędzi deski i obserwowała, jak zmieniają kolor z czerwonego na różowy i później biały.

Nauczyła się pływać zaledwie kilka miesięcy wcześniej i nie potrafiła wyobrazić sobie nic gorszego niż skok na główkę w zimną, mętną wodę. Wszystko w niej krzyczało, żeby tego nie robić. Odwrócić się i odejść.

W końcu uległa i skoczyła. Zimna woda szczypała w skórę, przez kilka chwil z trudem próbowała łapać oddech.

Ale w końcu się udało. Przeżyła.

Teraz zaczerpnęła powietrza i rozsunęła zamek grubej szarej folii, zanurzając następnie w pokrowcu obie ręce.

Od razu zorientowała się, że sukienka jest inna. Nie „inna”

w sensie fantastycznie dokonanej przez Posey naprawy.

„Inna”, ponieważ była to sukienka całkowicie różna od tamtej.

Hazel usiadła na klapie sedesu. Usłyszała dziwny odgłos, jakby dyszenie albo rzeźący chichot. Dopiero po kilku sekundach zdała sobie sprawę, że się śmieje.

Posey wręczyła jej inną sukienkę! Jakżeby inaczej.

Oczywiście teraz nie ma co na siebie włożyć. Oczywiście nie pozna swojej matki tego wieczoru.

Zalała ją fala ulgi. Podarowano jej wymówkę.

Autentyczne usprawiedliwienie, coś, co znajdowało się całkowicie poza jej kontrolą.

Jednak fala szybko się rozbiła, a Hazel pokręciła głową.

Czy rzeczywiście? Jej matka, jej rodzona matka znajduje się w sąsiedniej sali, a ona ma się z nią nie spotkać? Z powodu czyjejś głupiej pomyłki?

Zerwała ubranie z wieszaka i wyskoczyła z dzinsów, zrzucając je na wykafelkowaną w szachownicy podłogę.

Podciągnęła sukienkę na wysokość ramion, włożyła ręce w rękawy, wsunęła stopy w nijakie czarne balerinki, które wyszperała tydzień wcześniej w Goodwillu, i wypadła z kabiny.

W łazience nie było nikogo, na trzech ścianach znajdowały się lustra, które odbijały jej postać ze wszystkich stron. Stała przed rzędem porcelanowych umywalek, oddech uwiązał jej w piersi.

Odwróciła się.

Choć wiedziała, że przeczy to prawom optyki, musiała uznać, że oglądane w lustrze odbicie należy do kogoś innego.

Sukienka była olśniewająca. Teraz to dostrzegła.

Połyskliwa, niebieskawozielona i krótka, podobnie jak tamta w koła. Ale zamiast kończyć się gwałtownie na wysokości kolan, rozszerzała się od bioder, nadając kształt jej bladym, lekko iksowatym nogom. Dekolt opadał swobodnie w luźnych fałdach, a krótkie i zwiewne kimonowe rękawki sprawiały, że patykowate zazwyczaj ramiona wydawały się foremne.

Ale bardziej od wyglądu zaskoczył ją sposób, w jaki sukienka układała się na jej ciele. Zwykle ubrania wisały na niej smętnie. Ta sukienka wydawała się szyta na miarę, w niektórych miejscach ledwo dotykała skóry, w innych spowijała sylwetkę jak mgiełka.

Hazel okręciła się i patrzyła, jak sukienka wiruje. Czowała, jak usta rozciągają się jej w uśmiechu, i miała właśnie wykonać kolejny obrót, gdy usłyszała przytłumione głosy za drzwiami.

Rzuciła się do umywalki i odkręciła kran dokładnie w chwili, gdy drzwi otworzyły się na oścież. Obok niej przeszła drobna kobieta o gęstych blond włosach, ubrana w czerń od stóp do głów, kołysząc na biodrze małą dziewczynkę. Dziecko mogło mieć dwa lub trzy lata, delikatne włosy miało podpięte spinkami ozdobionymi stokrotkami z kryształków.

- Myć ręce! Myć ręce! - pokrzykiwała radośnie mała, klaszcząc w rączki i wyciągając do umywalki pulchne ramionka.

- Wiem, wiem, bąbelku! - zagruchała pieszczotliwie kobieta, szturchając łokciem kurek.

Hazel szorowała ręce pod strumieniem wody, starając się nie gapić. Jej wzrok padł na odbijający się w lustrze naszyjnik kobiety - prosty łańcuszek z fioletowym kamieniem albo muszlą pośrodku.

- Przechodzi teraz etap fascynacji wodą - wyjaśniła kobieta nie podnosząc oczu, Hazel zaś zdała sobie sprawę, że słowa te są skierowane do niej. - Nie wiem, co w tym widzi.

- Co widzi, co widzi! - śpiewała dziewczynka, chlapiąc wodą. Kobieta przewróciła oczami i uśmiechnęła się do lustra, a wtedy Hazel błyskawicznie odwróciła głowę i zaczęła wymachiwać dłońmi pod automatem z papierowymi ręcznikami.

Zabrała z kabiny torbę i ruszyła do drzwi. Kątem oka widziała, jak kobieta kuca i osusza ręcznikiem maleńkie dziecięce rączki, szepcząc coś pieszczotliwie.

Zwykle tego rodzaju scenka budziła w niej chęć wyładowania na czymś frustracji. Bez żadnego ostrzeżenia jej myśli natychmiast płynęły ku przeszłości oraz tego wszystkiego, bez czego musiała się obejść. Do tych wszystkich chwil, kiedy samodzielnie wycierała ręce, do wszystkich zdrobniałych przezwisk, którymi nigdy jej nie określano. Krew zawrzała, żyły na skroniach zaczynały pulsować. Dlaczego ktoś inny miał wszystko to, czego jej poskapiono?

Lecz tym razem było inaczej. Tego wieczoru uśmiechnęła się, gdy kobieta w czerni poprawiała dziewczynce spódnice.

Wreszcie pozna swoją matkę.

Rozdział 4

Hazel stała przed elegancką, przeszkloną restauracją The Slanted Door, czekając na jakiś znak. Nie bardzo wiedziała, jakiego znaku wypatruje. Może mojżeszowego rozstąpienia się mórz, rozdzielenia tłumu nadzianych ludzi i utworzenia przejścia z jednego końca sali na drugi. Może snopa światła skierowanego na jedną kobietę, stojącą samotnie z szeroko rozpostartymi ramionami w oczekiwaniu na uściśnięcie córki - córki, którą porzuciła, lecz o której nigdy nie zapomniała.

Zamiast tego ujrzała chmurę nieznanymi osobami zgromadzonych w czterogwiazdkowej restauracji. Prawdę mówiąc, gdyby nie oprawiony w ramę afisz na drewnianej sztaludze przy drzwiach, mogliby być przypadkową grupą wytwornych gości, którzy wybrali się na niedzielną kolację.

Hazel po raz kolejny zerknęła na swoje odbicie w szybie, mieniące się na tafli szkła oczy odwzajemniły spojrzenie.

Włosy, choć wciąż z odrostami, były proste i jedwabiste, i nawet potargana zwykle grzywka przynajmniej tym razem zachowywała się jak należy. Niebieskie oczy, które zawsze wydawały się jej osadzone zbyt blisko siebie, błyszczały i kontrastowały z jasnokremową cerą, a nos, na co dzień zbyt długi, ni stąd, ni zowąd prezentował się elegancko. Nie mogła tego pojąć, ale jakoś zmieniły się jej rysy. Była niemal ładna.

Uspokoiła drżące ręce, splatając je mocno na wysokości talii, zamrugowała piekącymi powiekami i weszła do środka.

Salę wypełniał gwar przyciszonych rozmów, ludzie krążyli małymi grupkami wokół szykownych restauracyjnych boksów z brązowej skóry. Przy jednej ze ścian ustawiono bufet z przekąskami, na lśniących srebrnych tacach ułożono piętrowo pierożki i smażone w cieście owoce morza.

Odgarnęła włosy z twarzy i zbliżyła się do pustego stanowiska gospodyni wieczoru. Na afiszu

wypisano nazwę fundacji

dużą,

grubą

czcionką:

SZTUKA

DLA

WSZYSTKICH. A poniżej kolorowa fotografia jej założycielki i szefowej, Rosanny Scott.

Było to portretowe zdjęcie kobiety o długich, gęstych, siwych włosach w niemal srebrnym odcieniu. Miała gładką skórę, błyszczące zielone oczy, uśmiech promienny, idealnie symetryczny.

Po raz pierwszy w życiu widziała zdjęcie swojej rodzonej matki, a pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy, brzmiała:

„ładne zęby”.

Wyciągnęła ręce i oparła je o czarną metalową ramę.

Zaczynało jej się kręcić w głowie, wzięła kilka głębokich oddechów i rozejrzała się po sali.

Gdzież ona jest? Co będzie robiła, gdy Hazel wreszcie ją zauważy?

Przy barze zebrał się zwarty tłum ludzi. Hazel podeszła kilka kroków bliżej i dostrzegła w samym centrum zbiorowiska

starszego mężczyznę. Był bezsprzecznie najswobodniej ubraną osobą na sali, miał na sobie dzinsy i granatową koszulę. Szpakowate włosy wyglądały na nieuczesane, stał oparty łokciem o kontuar, zataczając kółka wetkniętą do szklanki słomką.

Hazel stała, przyciskając do boków sztywne ramiona, obok ustawionej pośrodku stołu dekoracji z wysokich białych lilii. Na drugim końcu bufetu jakaś starsza kobieta o krótko ostrzyżonych czarnych włosach kiwała głową, słuchając wysokiego śniadego mężczyzny z niejednolicie posiwiałą brodą.

- Jakie to okropne - mówił mężczyzna. - Wiedziałem, że choruje, ale nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo poważnie.

Hazel skrzyżowała ramiona i odwróciła się, skrzępowana podsłuchiowaniem tak osobistej rozmowy. Lecz para sunęła właśnie wzdłuż stołu w jej stronę, a piskliwego głosu kobiety nie sposób było ignorować.

- To wszystko zdarzyło się tak szybko... - westchnęła. -

Wiesz, widziałam się z nią jeszcze w zeszłym miesiącu.

Wyglądała pięknie, jak zawsze. Rosanna była taka silna.

Oddech uwiązał Hazel w gardle, serce ścisnęło w piersi. Co się tak szybko zdarzyło? Czy ona powiedziała: „była”?

- Przepraszam, moja droga. - Kobieta dotykała właśnie jej ramienia. - Czy mogłabyś podać mi talerz?

Hazel przeniosła wzrok z kobiety na stos talerzy z białej porcelany ze złotą obwódką, które stały tuż przy jej łokciu.

Mechanicznie wzięła jeden z samej góry i podała.

- Przepraszam - usłyszała własny głos. - Czy pani... czy powiedziała pani przed chwilą...

Kobieta wpatrywała się w Hazel życzliwymi, pełnymi zrozumienia oczami, dotykając jej łokcia.

- Byłaś przyjaciółką Rosanny? - zapytała. Mężczyzna za jej plecami przechylał nad talerzem miniaturowy ceramiczny dzbanuszek, lejąc strużkę gęstego ciemnego sosu sojowego na kupkę kleistego białego ryżu.

- Yyy... nie. - Hazel zamglił się wzrok. - Rosanna?

Kobieta kiwała głową, niczym maskotka za tylną szybą samochodu.

- Tak - rzekła, biorąc dwie pary pałeczek owiniętych w czerwone lniane serwetki. - To wspaniale, że postanowili nie odwoływać imprezy. Rosanna co roku poświęcała jej tyle wysiłku. I jestem pewna, że chciałaby, żebyśmy wspólnie ją powspominali.

Hazel poczuła, jak wytrzeszcza oczy, puls dudnił jej w uszach jak szalony. Rozejrzała się po restauracji. Wszyscy w czerni. Posępny mężczyzna przy barze, odbierający kondolencje. To nie było radosne przyjęcie. To było pożegnanie.

Mężczyzna położył ciężko dłoń na ramieniu kobiety i pochylił się, szepcząc coś o wolnym stoliku przy oknie.

Kobieta uśmiechnęła się do Hazel i ścisnęła ją za łokieć, po czym ruszyła za swoim towarzyszem.

Prom miał właśnie odpływać, gdy Hazel dała susa na pokład.

Wypadła

z

restauracji

półprzytomna,

pchnęła

dwuskrzydłowe drzwi i przeciskała się przez tłumy turystów pozujących do zdjęć na tle zachodzącego nad zatoką słońca.

Niewiele się zastanawiając, weszła na nabrzeże, z którego odpływały promy do Marin, przypominając sobie o konieczności kupna biletu dzięki beznamiętnej podpowiedzi biletera z budki.

Nim znalazła miejsce na zewnątrz, miała twarz mokrą od łez. Wieczorne powietrze było chłodne, wiatr smagał luźne kosmyki włosów, które wpadały do szczypiących oczu.

Rosanna Scott umarła.

Przez cały czas mieszkały tak blisko siebie, może nawet były sąsiadkami. Mogły nawet jeździć tym samym tramwajem. Albo stać na czerwonym świetle przed tymi samymi pasami. Przez całe jej życie ta jedyna osoba, której szukała, żyła dosłownie za rogiem.

A teraz odeszła na zawsze.

To niesprawiedliwość, tyle Hazel wiedziała. Ale ileż było w jej życiu sprawiedliwości? Od dawna jej nie zaznała. Gdy każdy dzień wynajduje nowe, ekscytujące sposoby sprawienia ci zawodu, zacznasz spodziewać się kolejnych rozczarowań.

Nie sądziła jednak, że to będzie aż tak bolało.

Nie spotkała nigdy Rosanny. Teraz jednak, gdy wiedziała, że tak już pozostanie, czuła pustkę, głębszą i dotkliwszą niż kiedykolwiek. Była malutka, kiedy zmarła Wendy. Jej relacje z matką adopcyjną przypominały dziurawy gobelin utkany z mglistych wspomnień, garstki opowiadań Roya oraz wiedzy, że Wendy nie żyje.

Choć znała imię swojej prawdziwej matki od bardzo niedawna, przez całe życie wyobrażała sobie, że ta matka gdzieś jest i czeka, aż córka ją odnajdzie. Sama myśl o niej była nikłą pociechą, jak zarysy pasma górskiego na pustynnym horyzoncie. Nadzieja, że gdzieś za tymi szczytami znajduje się coś więcej.

A teraz także i ta nadzieja umarła.

Oparła się o metalowe relingi promu. Na pokładzie nie było nikogo, wszyscy znaleźli już sobie miejsce w środku, osłonięte przed rześkim oceanicznym chłodem. Nie czuła zimna. Schowała głowę w dłoniach i szlochała, łzy kapały na szytą ręcznie sukienkę.

Najpierw Wendy, potem życie niemal samopas, przierzucanie z miejsca na miejsce jak dodatkowy balast. A teraz to? Ile jeszcze miała znosić?

- To nie fair - szepnęła w zgięcie łokcia. - Tak bym chciała poznać ją wcześniej.

Westchnęła i objęła ramionami kolana. Puls stukał w uszach jak metronom, odmierzając czas między każdym pociągnięciem nosa i szlochem.

Z początku poczuła coś jakby łaskotanie. Swędzenie tuż nad kością policzkową.

Sądząc, że to łza uwięziona między rzęsami, uniosła głowę i przyłożyła rękę do twarzy. Ale

łaskotanie ustało.

Zamiast tego poczuła jakieś trzepotanie w okolicy kolan, obok desenia utworzonego przez kapiące łzy, w miejscu, gdzie policzek przywierał do sukienki.

Po chwili dojrzała przy rąbku sukienki maleńką złotą plamkę, jakby metkę. Odciągnęła materiał od skóry i przekonała się, że to mały haftowany motylek.

Dziwne, pomyślała. Wcześniej go nie zauważyła.

A potem stało się coś jeszcze bardziej dziwnego. Była pewna, że śni, ponieważ miała wrażenie - i czuła - że motyl się porusza.

Przysunęła do oczu zielonkawoniebieską tkaninę i...

rzeczywiście, delikatne złociste skrzydełka trzepotały, motyl próbował się uwolnić z jedwabistej materii sukienki.

Hazel zerwała się na równe nogi. To chyba przez doznany szok, pomyślała. Ludzie mają zapewne na myśli coś podobnego, kiedy mówią, że z rozpaczy mieszają się im zmysły.

Kiedy jednak zaczynała odzyskiwać oddech, poczuła ostatnie muśnięcie na kolanie i widziała szeroko otwartymi oczami, jak świetlisty motyl odrywa się od sukienki.

Zatrzepotał delikatnymi skrzydełkami, unosił się przez chwilę na linii wzroku, po czym pofrunął nad wodę i zniknął na tle zachodzącego słońca.

Pokręciła głową i znów osunęła się po relingu, układając sobie torbę na kolanach. Zamknęła oczy i zapadła w drzemkę w chwili, gdy prom odbijał od brzegu, kołysząc ją do snu niskim dudnieniem silnika.

Rozdział 5

Pierwsze, co zauważyła po przebudzeniu, to to, że nadal znajduje się na promie. I że jest rano. Skrawek nieba widoczny z miejsca, w którym zwinęła się przy burcie, w każdym razie zdawał się wskazywać na tę porę dnia: był

bladoniebieski, przyprószone wstęgami chmur. Naprawdę przespała na promie całą noc? W nocy cumował pewnie przy nabrzeżu, ale ile kursów przez zatokę odbyła, smacznie sobie śpiąc?

Hazel przeczesła palcami długie strąki włosów, rozplątując kołtuny na karku i z całej siły zaciskając powieki.

Bolało ją wszystko, częściowo dlatego, że siedziała wciśnięta między słup a metalowe kraty promu, ale głównie z powodu wspomnienia minionego wieczoru.

Sceny i twarze migają przed zamkniętymi oczami: para przy bufecie, mała dziewczynka ze spinkami

w kształcie stokrotek, zastygłe w ramie zdjęcie Rosanny...

Westchnęła i ostrożnie podniosła się na drżących nogach, opierając ręce na relingu i spoglądając na wodę. Była zdezorientowana, zerkała szybko raz przez jedno, raz przez drugie ramię.

Czy prom płynął do Marin, czy wracał do San Francisco?

Wyciągała szyję na wszystkie strony, ale nie widziała ani jednego, ani drugiego. Ani wzgórz Marin ze sterczącym wysoko szczytem Mt. Tamalpais rozciągającym się w oddali.

Ani

portu

z

przeciwnej

strony,

ani

niczego,

co

przypominałoby nieregularne skupiska budynków, tworzące miejski horyzont centrum. Prawdę mówiąc, nigdzie nie było widać żadnego skrawka ziemi. Co wydawało się całkowicie niemożliwe, ponieważ zatoka między portem San Francisco a Marin była usiana wysepkami i zawsze widziało się przynajmniej jeden most.

Podniosła torbę i przewiesiła ją sobie przez ramię, szukając wyjścia. Ale w miejscu, gdzie powinno się znajdować, natrafiła jedynie na litą ścianę.

Rozejrzała się po nieznanym pokładzie, w jej uszach zadźwięczał nagle dziwny świst. Nie było najmniejszych wątpliwości. Znalazła się na innym promie.

Przypominał ten, który kursował między Larkspur a centrum miasta, ale był mniej więcej trzykrotnie większy. I o ile prom z Larkspur miał jedynie otwarty pokład i małą, zaokrągloną kabinę pośrodku, ten był kanciasty i całkowicie zadaszony, z wyjątkiem wąskiego przejścia wzdłuż burt.

Jak mogła tego nie zauważyć wczoraj wieczorem?

Zlustrowała pokład w poszukiwaniu jakiejś osoby w mundurze, mając nadzieję na znalezienie kapitana promu.

Rześka mgielka znad oceanu zraszała jej policzki. W oddali coraz wyraźniej rysowały się kontury

lądu. Wciąż nie było widać ani portu, ani miejskich zabudowań. Jedyne pofałdowane wydmy oraz skupisko obitych białymi deskami domków.

Gdzie ona, do diabła, jest? I jak wróci do domu?

Już miała się cofnąć i obejść prom z drugiej strony, gdy usłyszała nad sobą jakiś trzask. Zadarła głowę i ujrzała mały, zamontowany nad oknem głośnik, ruszyła w jego kierunku.

- Panie i panowie, tu kapitan - zadudnił w głośniku szorstki męski głos. Mówił z akcentem, który był Hazel znany, ale którego nie potrafiła tak od razu przypisać konkretnemu miejscu. - Za kilka minut dobijemy do Oak Bluffs.

Oak Bluffs? Nigdy o czymś takim nie słyszała. Czy to na północ czy na południe od Marin?

- Kierowców prosimy o powrót do pojazdów; pasażerowie piesi są proszeni o udanie się na sterburkę.

To akcent bostoński, uświadomiła sobie ze zgrozą.

- Dziękujemy i witamy na Martha's Vineyard.

Głośnik szumiał i syczał, póki nie rozległo się pstryknięcie i nie umilkł mikrofon. Hazel gapiła się na niego jak sroka w kość, kołyszając się przy dużym bulaju.

Martha's Vineyard?

Nie bardzo wiedziała, gdzie to jest, ale z jakiegoś powodu nazwa ta kojarzyła się jej wyłącznie z kortami tenisowymi i nazwiskami prezydentów. Czy to nie tam bogacze jeżdżą na wakacje?

I czy nie jest to przypadkiem na Wschodnim Wybrzeżu?

Odwróciła się w stronę wody. Przystań pomalutku się przybliżała, w porcie roило się od jachtów. Na starym, rozklekotanym drewnianym pomoście w centrum nabrzeża stały rzędy samochodów oczekujących na następny prom.

Na szczycie wąskich schodków zebrał się tłumek ludzi. To pewnie ta sterburka, pomyślała Hazel i otworzyła drzwi, by ustawić się w kolejce do wyjścia. Gdziekolwiek się znajdowała, nie mogła pozostać na tym promie na wieki.

Staneła na końcu ogonka za dwoma starszymi mężczyznami w pochlapanych farbą koszulkach i czarnych gumowcach. Jeden z nich czytał gazetę. Zajrzała mu przez ramię, chcąc dojrzeć winiętę.

„Boston Globe”.

Kolejka posuwała się krok za krokiem. Hazel odeszła na bok i osunęła się na najwyższy stopień, oparta plecami o ścianę. Patrzyła w osłupieniu na kwadraty łuszczącej się białej farby. Nabrała w płuca powietrza i powoli je wypuściła.

Ja chyba śnię, pomyślała i zamknęła oczy. To musi być jakiś koszmar, z rodzaju tych, kiedy to zdajesz sobie sprawę, że śniesz, ale nie jesteś w stanie się obudzić.

Zbudź się, błagała bezgłośnie. Zbudź się, zbudź, zbudź.

Otworzyła jedno oko. Na widok tej samej nieruchomej ściany promu poczuła, jak żołądek robi salto. Zgarnęła torbę na kolana, krzywiąc się, gdy ta wylądowała z nieeleganckim głuchym łupnięciem. Zawsze tyle ważyła?

Wsadziła rękę do wnętrza torby, automatycznie szukając aparatu. Szybko wymacała obiektyw i odetchnęła z ulgą.

Obok aparatu leżał foliowy pokrowiec na ubrania z pracowni Posey. Przypomniała sobie, jak zmięła go i wcisnęła do torby w toalecie Ferry Building poprzedniego wieczoru. Teraz jednak pokrowiec nie wydawał się pomięty.

Ani pusty.

Wyjęła go z torby i rozłożyła na kolanach. Pociągnęła za suwak, a wtedy ze środka wyfrunął napisany odręcznie list.

Był przymocowany zszywkami do wizytówki, takiej samej, jaką znalazła przy sukience ze sklepu charytatywnego.

MARIPOSA Z MISSION. Odpięła list od kartonika i rozprostowała kartkę.

Droga Hazel,

Jak zapewne się zorientowałaś, sukienka, którą Ci dałam, była inna niż ta, którą mi przyniosłaś. Została uszyta specjalnie z myślą o Tobie i miała moc spełnienia jednego Twojego życzenia.

Które, skoro czytasz ten list, zdążyło się już spełnić.

W pokrowcu znajdziesz jeszcze dwie sukienki, każda z nich posiada tę samą magiczną moc spełnienia tylko jednego życzenia.

Oto zasady:

Ani słowa o spełnianiu życzeń. (To dla Twojego własnego dobra. Dziewczyna, której wydaje się, że ma na sobie magiczny strój, uchodzi za wariatkę).

Jedna sukienka, jedno życzenie. (Sukienka, która już spełniła życzenie, zamienia się w zwykłą sukienkę).

Życzeń nie powtarzamy. (Nuuda).

Żadnych życzeń dla dobra całego świata. (Ja też chciałabym nakarmić głodnych, ale to nie ten rodzaj

czarów).

Nie pragniemy więcej życzeń. (Fe).

I wreszcie, dano ci możliwość spełnienia życzeń, ponieważ na to zasługujesz. Korzystaj więc z nich roztropnie i pamiętaj, by płynęły z głębi serca. Tylko takie życzenia się liczą.

Wszystkiego najlepszego!

(Przepraszam... musiałam).

Posey

Hazel spojrzała na list. Zaczęły drżeć jej ręce. Życzenie?

Jakie życzenie?

Kartka spadła na schodek niżej, a gdy się schylała, by ją podnieść, zauważyła na odwrocie mały złoty obrazek.

Przedstawiał takiego samego motyla, którego widziała zeszłego wieczoru, jak sfruwa z jej sukienki i odlatuje w mrok nocy. Motyla, który, jak sądziła, był tylko przywidzeniem.

Ponownie zamknęła oczy i odchyliła głowę w tył, zmuszając się do skupienia myśli na wydarzeniach poprzedniego

wieczoru.

Rozmyślała

o

Rosannie.

Wypowiedziała na głos jakieś słowa. Ale co takiego...

Nagle zerwała się jak oparzona, prawie wpadając na mężczyznę z gazetą.

„Tak bym chciała poznać ją wcześniej”.

Rosanna. Powiedziała, że chciałaby poznać Rosannę. Czy mogło to mieć jakiś związek z obudzeniem się na promie, którego nigdy wcześniej nie widziała, trzy tysiące mil od domu?

Nic nie trzymało się kupy. Przecież Rosanna nie żyła.

Takim cudem wysłanie Hazel na Martha's Vineyard mogłoby ją wskrzesić?

Z dołu dobiegły głośne mechaniczne dźwięki. Rzuciło ją do przodu, gdy prom dobił do nabrzeża. U

podnóża schodów zaskrzypiały ciężkie metalowe drzwi i do środka przesączył

się kwadrat jaskrawego porannego słońca. Brodaty mężczyzna w kamizelce stanął z boku, wypuszczając niecierpliwy tłum na chybotliwy drewniany trap. Kolejka poruszyła się i Hazel zaczęła ostrożnie schodzić do wyjścia. Gdy dotarła na dolny pokład, mężczyzna w gumiakach złożył gazetę na pół i odrzucił ją na bok. Wylądowała na niskim stoliku między skórzanymi boksami, czarno - szary druk odcinał się wyraźnie na tle błyszczącego czerwonego laminatu.

Wzięła do ręki gazetę i przyjrzała się z bliska drobnemu drukowi. Przesuwała wzrok po ozdobnych czcionkach, aż nagle znikło wszystko prócz daty:

Poniedziałek, 29 czerwca.

I rok... bynajmniej nie bieżący...

Osiemnaście lat wstecz.

Poczuła, jak gazeta wysuwa się jej z rąk, kolana uginają, a ciało składa wpół ponad niewdzięcznymi krawędziami boksu.

Posey powiedziała, że jedno życzenie już się spełniło. Nie wspomniała jednak, że Hazel musi w tym celu cofnąć się do przeszłości.

I to nie do dowolnego momentu...

Do roku, w którym się urodziła.

Rozdział 6

Hazel stała jak wryta na końcu nabrzeża. Porwał ją tłum ruchliwy tłum pasażerów wysiadających z promu i schodzących po metalowej rampie. Zadaszone drewniane moło wyprowadziło ich na ulicę, gdzie niecierpliwy policjant z drogówki gorączkowo wymachiwał ręką, przynaglając ludzi do przejścia przez świeżo malowane pasy.

„Lada chwila, księżniczko”.

Otrząsnęła się z transu i stwierdziła, że jest jedyną osobą pozostałą przy krawężniku. Chciała ruszyć z miejsca, ale nie mogła. Trzymała w dłoni zmięty list od Posey, ściskając go z całej siły, jak gdyby był jedyną rzeczą, która kotwiczyła ją na ziemi.

Oddychaj, nakazała samej sobie. Po prostu oddychaj.

Odwróciła się i spojrzała na prom, na szerokie wrota otwarte niczym paszcza olbrzyma, pożerająca rzędy samochodów i pieszych czekających na podróż powrotną.

Wiedziała, że prom nie zabierze jej z powrotem do Kalifornii, lecz mimo to jakaś jej częśćka pragnęła wrócić na pokład.

Oddychaj, upomniała się kolejny raz. Napotkała wzrok policjanta, który rzucał jej poirytowane spojrzenia i tupał nogą w chodnik. Nie miała pojęcia, dokąd iść, ale nie mogła wiecznie sterczeć przy krawężniku.

Idąc brukowanym chodnikiem w stronę miasteczka, pozwoliła sobie na kilka spojrzeń w bok. Po jej lewej stronie rozpościerał się rozległy trawnik otoczony kolorowymi wiktoriańskimi domami. Po stronie prawej ciągnął się wzdłuż brzegu rząd pensjonatów, malowane tabliczki informujące o braku wolnych miejsc kołysały się leniwie na wietrze.

Mijała stojaki z pocztówkami i breloczkami do kluczy z różnymi imionami, pozabijane deskami budy sprzedawców małży oraz pizzerie wypełniające powietrze ciężką wonią gorącego tłuszczu. Z przodu mrugał neon salonu gier, brzęk i szcęk flipperów dobywał się z okien na piętrze.

Hazel wędrowała chodnikiem, póki nie urwał się gwałtownie

przed

odeskowanym

budynkiem

przypominającym kształtem staroświecki namiot cyrkowy.

Brzękliwa muzyka wylewała się na ulicę, a przez ukośne okna widać było zamazane kontury karuzeli. Muzyka cyrkowa wydała się jej nagle złowieszczą. Uświadomiła sobie, że się boi. Co to za miejsce? Jak się tu dostała? I co ma teraz ze sobą począć?

Nie wiedziała nawet, która godzina. Od momentu przebudzenia na promie na tarczy jej zegarka mrugały tylko poziome kreski. Wydawało się, że jest późny poranek, ale kto wie, jak ta pora dnia wygląda na Martha's Vineyard?

Osiemnaście lat wstecz.

Tępy ból szarpał z głodu jej żołądek, owo znajome uczucie dodało jej otuchy. Nie miała nic w ustach od wczorajszego lunchu. Czując ulgę, że wyklarował się już jakiś plan, odwróciła wzrok od nabrzeża i zerknęła w stronę tętniących życiem bocznych uliczek. Jej spojrzenie padło na wypisany drukowanymi literami szyld „Pucharki i rożki”.

Pora była dość wczesna jak na lody, ale wydawało się, że nie ma innej możliwości. Po tym wszystkim, co dotąd przeszła, zjedzenie lodów na śniadanie wcale nie byłoby najdziwniejsze.

Odetchnęła głęboko i weszła do zatłoczonej kawiarni.

Wzdłuż jednej ze ścian stała długa przeszklona lodówka z lodami o wszystkich smakach, jakich tylko dusza zapagnie, na której stały pojemniki z kolorowymi polewami. Rysunki na ścianach przedstawiały wielkości pucharków i wafelków, ceny oraz reklamowały specjalne desery lodowe o takich nazwach jak na przykład „Świńska rozkosz”. Powietrze przesycił

słodki aromat wypiekanych na miejscu waflowych rożków oraz świeżo ubitej śmietany.

Hałaśliwa grupka kolonijnych dzieci w identycznych pomarańczowych koszulkach przerzucała się zwinętymi w kulki serwetkami nad długim, upačkanym lodami stołem.

Wyglądały na osiem czy dziewięć lat... co znaczyło, że w przyszłości byłyby o tyle starsze od Hazel. Na tę myśl ścisnęło ją w dołku. Zastanawiała się, czy ktokolwiek ją zauważył. Czy zauważyli, że jest inna? Czy w ogóle ktoś ją widział?

Obok przemknęła kobieta. Miała blond włosy związane w gładki wysoki koński ogon. Pchała wózek z jasnorudymi bliźniaczkami, których rozwichrzone kędziory były wilgotne od upału. Gdy zbliżały się do wyjścia, jedna z dziewczynek wyciągnęła lepką rączkę, chwyciła Hazel za sukienkę i figlarnie szarpnęła materiał.

- Violet! - Skarciła dziecko kobieta, strząsając rączkę dziewczynki i odwracając się do Hazel z zakłopotanym wzruszeniem ramion.

- Najmocniej przepraszam. Uwielbia sukienki. Hazel zdobyła się na uśmiech i patrzyła, jak kobieta przepycha wózek przez drzwi. Następnie spojrzała w dół na maleńkie waniliowe paluszki odbite na sukience. Były prawdziwe, więc ona też była tu naprawdę.

- Co podać? - Warknęła zza lady niska dziewczyna.

Oniemiała Hazel patrzyła w osłupieniu na sprzedawczynię, której czekoladowobrązowe włosy były zebrane w bezładny kok i spięte z boku jaskrawożółtym ołówkiem. - Halo? -

Podjęła kolejną próbę, tym razem głośniej. - Podać coś?!

- Yyy, jasne. - Hazel starała się coś wykrztusić, ale ponieważ długo nic nie mówiła, słowa uwięzły w wyschniętym gardle. Wybór był przytłaczający, a niemożność zdecydowania się na coś konkretnego osłabiła jej apetyt. - Jest herbata mrożona?

Dziewczyna w spiętym ołówkiem koczku gapiła się na Hazel przez dłuższą chwilę, a potem przewróciła oczami i wzięła papierowy kubek ze stosu na kontuarze. Przesunęła go po blacie i łokciem wskazała drzwi.

- Saturator jest z tyłu - burknęła. - Osiemdziesiąt dziewięć centów.

Hazel grzebała w torbie, pochyliwszy głowę. Portfel musiał gdzieś tam być. Ale wyczuła tylko aparat fotograficzny, pomietą folię pokrowca i mnóstwo wolnego miejsca.

Kolejka za jej plecami zaczęła się niecierpliwieć, Hazel skurczyła się pod spojrzeniami dziesięciu par oczu, które wwierały się jej w głowę.

- Przepraszam - wyjąkała do dziewczyny za ladą. - Chyba zgubiłam portfel.

Sprzedawczyni wyrwała jej kubek i wcisnęła do góry dnem na stos innych.

- Leserka - rzuciła obojętnie, po czym zwróciła się do następnej osoby z kolejki.

Hazel zacisnęła zęby, serce łomotało jej w uszach.

Odwróciła się na pięcie, lecz utknęła między szybą a szerokimi ramionami stojącego za nią chłopaka.

- Ja zapłacę - wtrącił głęboki głos. Hazel podniosła wzrok i ujrzała silne, opalone ramię wyciągające się w stronę lady.

Zmięty banknot jednodolarowy upadł na szkło, dziewczyna z ołówkiem we włosach zadarła głowę z pełnym irytacji westchnieniem.

- Znalazł się książę z bajki - sapnęła, wsuwając banknot do szufladki kasy i zatrzasnąwszy ją biodrem. Chłopak wyciągnął rękę, do której sprzedawczyni wcisnęła plastikowy kubek.

- Kto następny?

Hazel poczuła, jak zostaje wypchnięta z kolejki, krew napłynęła jej do twarzy. „Książę z bajki” wciąż tkwił u jej boku, ona zaś nie mogła się zdobyć na spojrzenie mu w oczy.

Miał mocny głos i zdecydowany sposób bycia człowieka, który dobrze wygląda i ma tego pełną świadomość.

- Proszę - powiedział, wręczając Hazel plastikowy kubek.

Wreszcie zerknęła w górę i ujrzała kudłatą brązową czuprynę, ciepłe brązowe oczy i dwa głębokie dołeczki w kształcie gwiazdek między wyrazistymi kośćmi policzkowymi i żuchwą.

Określenie „przystojny” było w tym wypadku zbyt powściągliwe.

- Dzięki! - wymamrotała, przeciskając się za nim przez tłum do saturatora na końcu sali. - Nie trzeba. Mam gdzieś portfel.

- Żaden problem. - Wzruszył ramionami. - Zdarza się nawet najlepszym.

Staął obok saturatora i wyciągnął rękę po kubek.

- Ja sama - uparła się, podstawiając kubek pod kranik.

Maleńkie kryształki lodu trysnęły jej na nadgarstki. Policzki płonęły. Od razu musiała zrobić z siebie ofermę.

- Ta maszynka bywa humorzasta - wyjaśnił chłopak.

Walił w boczną ścianę wiekowo wyglądającego automatu, póki maszyna nie wykrztusiła z siebie kilku nienagannie uformowanych kostek lodu. Uśmiechnął się, dwa gwiazdziste dołeczki na policzkach pogłębiły się. - Czasem wymaga odrobiny nadprogramowej czułości.

Chłopak wśliznął się do boksu pod tablicą ogłoszeniową oklejoną wypisanymi ręcznie anonsami. Dał Hazel znak, by usiadła, przycupnęła zatem ostrożnie na skraju plastikowej ławki. Zajęcie miejsca wydawało się łatwiejsze niż wymyślenie powodu, dla którego miałyby tego nie zrobić.

Ściskając w dłoniach kubek, wbiła wzrok w okruszki na blacie stołu.

- Ładna sukienka! - pochwalił chłopak, a Hazel z miejsca pożałowała decyzji przyłączenia się do niego przy stole.

Jedyną rzeczą gorszą od litości były kpiny. Zerknęła z ukosa na jego twarz, gotowa coś odburknąć i wyjść.

Coś ją jednak powstrzymywało. Patrzył prosto na nią, lecz w jego głębokich brązowych oczach nie było niczego onieśmielającego. Żadnej litości, żadnego naigrawania się.

Wyglądał, jakby myślał to, co mówi. Jakby rozmowa sprawiała mu przyjemność.

- To twój pierwszy pobyt na wyspie? - mówił dalej, rozpierając się wygodnie na siedzeniu z klejącej się do ciała czerwonej skóry. - Nadal masz tę przerażoną minę z rodzaju

„wciąż nie mogę uwierzyć, że jestem na wakacjach”.

Uśmiechnęła się mimo woli. Gdyby tylko znał prawdę...

- Przecież to nic złego - tłumaczył. - Widuję takie miny każdego lata. Po pewnym czasie człowiek ma w sobie jakby radar. Wiesz?

- Jasne - kiwnęła głową w nadziei, że uczyniła to przekonująco.

- No więc? - ciągnął. - Skąd jesteś? A tak w ogóle, mam na imię Luke.

Pociągnęła duży haust lekko słodkiej mrożonej herbaty i wypła ją duszkiem.

- Hazel - przedstawiła się. - Hazel Snow. Jestem z...

Przyzwyczajając się do kojącego rytmu własnego głosu, zapominając na chwilę o panice, gdy nagle coś za plecami Luke'a przykuło jej spojrzenie. Był to błyszczący, kolorowy anons na tablicy ogłoszeń, który w chaosie pisanych odręcznie karteczek opiekunek do dzieci oferujących swe usługi oraz ludzi szukających pokoiów do wynajęcia wyróżniał się jak neon na nocnym niebie i kłuł w oczy swoim profesjonalizmem. Jej wzrok szybko prześliznął się po drukowanym tekście. Podskoczyła na widok umieszczonego na dole w osobnej linijce nazwiska:

KONTAKT: ROSANNA SCOTT.

Pochyliła się nad stołem, ledwo zauważając, że niemal dotyka ramieniem ręki Luke'a. Oderwała prostokątny skrawek papieru z perforacją, na którym widniało nazwisko Rosanny obok numeru telefonu.

Siedziała tak z wyciągniętym ramieniem, wpatrując się tępo w trzymaną w rękę karteczkę, gdy usłyszała śmiech Luke'a.

- Gdybym wiedział, że tak desperacko potrzebujesz pracy, kupiłbym ci jeszcze lody. - Uśmiechnął się i nonszalancko odwrócił do okna.

Hazel odsunęła się na swoją stronę boksu, ściskając świstek papieru w wilgotnych palcach.

- Co? - spytała, nie do końca rejestrując, co powiedział.

Przeniosła wzrok na tablicę ogłoszeń i tym razem zobaczyła wypisany tłustym drukiem nagłówek.

POSZUKIWANA POMOC DOMOWA! - głosił napis.

Wyglądało to na ogłoszenie o pracy dla gosposi.

- Och, nie, ja tylko... - zaczęła wyjaśniać, ale urwała. Cóż innego mogła powiedzieć? - To znaczy tak. Potrzebuję pracy -

przyznała nagle zdecydowanym tonem. - A co? Znasz to miejsce? - Rozprostowała karteczkę na stole, imię Rosanny spoglądało na nich z blatu. Luke zerknął na świstek, gwiazdziste dołeczki powróciły na swoje miejsce.

- Tak - rzekł, odchrząknawszy. - Można by tak powiedzieć.

Hazel znów spojrzała na karteczkę, małe drukowane literki wirowały jej przed oczami. Jej serce przypominało podskakującą na wodzie boję, nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu.

- Naprawdę? - rzuciła szybko. - Wiesz, jak się tam dostać?

Luke wyrzwał przez okno, mrużąc oczy i przygryzając kącik ust.

- Podwiózłbym cię, ale przyszedłem do miasteczka pieszo

- powiedział. - Kursuje tam darmowy autobus wahadłowy, który zatrzymuje się naprzeciwko karuzeli. Jedź aż do Chilmark i poproś kierowcę, żeby wysadził cię przy sklepie.

Na lewo będzie ścieżka. Idź nią w dół do samego brzegu, a zobaczysz dom. Trudno go przeoczyć.

Jeszcze nie skończył podawać jej wskazówek, a Hazel była już w połowie drogi do drzwi. Dopiero na zewnątrz przypomniała sobie, że wypadałoby podziękować.

Odwróciła się i zobaczyła, jak chłopak opiera się o szybę, z jedną ręką uniesioną w ostrożnym geście pożegnania.

- Dzięki! - zawołała w stronę okna, po czym pędem pobiegła na przystanek.

Poczuła delikatny ucisk w piersiach i szybko zadała sobie w myślach pytanie, czy go jeszcze kiedyś zobaczy, tego księcia z bajki, który pojawił się jak grom z jasnego nieba i uratował sytuację. Lecz zmięty karteluszek w dłoni przypominał jej, po co się tutaj znalazła. Wkrótce miała odnaleźć to, czego szukała.

Jej rodzona matka mieszkała zaledwie kilka przystanków dalej.

Rozdział 7

Jesteśmy na miejscu.

Po telepaniu się długą, wyboistą, szutrową drogą przez, jak się wydawało, wiele mil, autobus zwolnił i stanął.

Kierowca, pogodny mężczyzna w czerwonej czapce z miękkim daszkiem, otworzył drzwi i Hazel wysiadła na żwirową ścieżkę.

- Idź tą dróżką! - instruował kierowca, wskazując na trawę i niebo ponad ramieniem Hazel. Tuż za szczytami wysokiego zielonego klifu widać było ocean o barwie głębokiego

błękitu,

upstrzony

białymi

grzywami

rozkołysanych fał. - Jeśli znajdziesz się nagle pod wodą, to znaczy, że poszłaś za daleko.

Podziękowała, ale nie ruszyła się z miejsca, tymczasem autobus potoczył się z powrotem żwirowym podjazdem.

Poszła ścieżką w dół, pod stopami chrzęściły pokruszone, gładkie muszle o wyszczerbionych brzegach, z odcieniem bladego fioletu we wnętrzu.

Dom był niski, parterowy, rozpostarty szeroko na trawniku. Zadaszone przejścia łączyły różne jego części, z krytego białym cedrowym gontem dachu wyzierały zaokrąglone kopuły. Hazel stała przy wejściu i odciągała od skóry tlejący się teraz do ciała materiał sukienki. Wzięła głęboki oddech.

Już miała zapukać, gdy usłyszała jakiś odgłos za plecami.

Przypominał trzaśnięcie siatkowych drzwi. Gdy mocniej nadstawiła uszu, dobiegły ją dźwięki cichej muzyki klasycznej, przerywane miarowym rytmem fal toczących się w oddali.

Cofnęła się na ścieżkę i podążyła za harmonijnymi dźwiękami smyczków. Zapach świeżo skoszonej trawy mieszał się ze słonym morskim powietrzem. Szeroko otwartymi oczami chłonęła widok na

pofałdowane wzgórza, wypielegnowany ogród, łagodne fale przyboju. Na skraju klifu dostrzegła przytulny drewniany domek i ruszyła w jego kierunku.

Poczuła ostre ukłucie w sercu. Było to najpiękniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziała. I mogłoby być jej domem. Powinno być jej domem. Gdyby tylko matka jej nie oddała.

Siatkowe drzwi domku były lekko uchylone. Zajrzała do środka. Było tam tylko jedno pomieszczenie wyłożone ciemną drewnianą boazerią, z olbrzymim okrągłym oknem w kształcie koła sterowego, z którego roztaczał się widok aż po horyzont.

Na ścianach wisiały barwne płótna, niektóre w ramach, inne niedokończone, wiele kolejnych tłoczyło się na podłodze, opartych jedno o drugie.

Pod oknem w drugim końcu pomieszczenia stała przy sztaludze kobieta. Była wysoka i szczupła, miała szerokie ramiona i długie ciemnoblonde włosy, które spływały na plecy falistą kaskadą. Splotła ramiona i kołysała się delikatnie na piętach, utkwivszy wzrok w pustym płótnie, jakby czekając, aż samo podpowie jej, od czego zacząć.

Hazel stała za drzwiami z siatki, lekki dreszcz podniecenia odpędzał wszelkie negatywne myśli. Nawet gdyby nie zobaczyła wcześniej zdjęcia Rosanny, wiedziałaby, że oto jest kobieta, na której poznanie czekała całe życie. Znalezienie się tak blisko niej wzbudziło w Hazel uczucie ciepła i spełnienia, bała się odezwać słowem. Bała się uczynić cokolwiek, co mogłoby odegnać to uczucie.

- Słyszę twój oddech, Buster - powiedziała Rosanna, nie odwracając głowy. Hazel zaczerpnęła powietrza i szykowała się, by przemówić. Wtedy jednak kobieta odwróciła się, a na widok stojącej przy drzwiach dziewczyny rozluźniła zmarszczone czoło.

- Mój Boże, myślałam, że to pies - roześmiała się, wrzucając pędzel do blaszanki i wyciągając ramię w stronę drzwi. Miała na sobie obszerny sweter w kolorze miodowym, którego rękaw zwisał z ramienia jak ptasie skrzydło, oraz ciemne dżinsy podwinięte dwukrotnie powyżej opalonych bosych stóp.

- Wejdz! - dodała z uśmiechem, a Hazel natychmiast rozpoznała rząd nieskazitelnych białych zębów.
- W czym mogę pomóc?

Hazel otworzyła na oścież siatkowe drzwi i ostrożnie przestąpiła próg.

- Cześć! - powiedziała, wsuwając włosy za ucho. - Ja właśnie... przeczytałam ogłoszenie. W mieście. I...

- Jasne! - Rosanna pokiwała głową i owinęła się w taliu luźnym swetrem, robiąc kilka kroków w stronę Hazel. - To na pewno sprawka Billy'ego, mojego męża. W tym roku poszalał

z plakatami. Przysięgam, że chyba widziałam nawet jeden w toalecie u weterynarza. - Parsknęła mocnym, zdrowym śmiechem, od którego zatrzęsły się jej ramiona. Część gęstych, jedwabistych włosów opadła kaskadą obok brody.

Hazel starała się skupić uwagę, ale jedyne, do czego była zdolna, to nie sterczeć z wytrzeszczonymi oczami. Niecały metr dalej stała jej biologiczna matka. Kobieta, której nazwisko figurowało na jej akcie urodzenia. Kobieta, do której każdego wieczoru szeptała w ciemności „dobranoc”, wyobrażając sobie, co robi w danym momencie, zastanawiając się, czy są do siebie podobne.

Tak czy nie? Teraz też zadawała sobie to pytanie. Czy jej włosy, które akurat tego dnia wyglądały jak cienkie strąki, będą kiedyś tak gęste i długie? I choć oczy Rosanny były ciemniejsze i wpadały raczej w zieleń niż błękit, czy miały ten sam kształt? Zdecydowanie wyróżniały się podobną, smukłą budową ciała, lecz o ile Hazel czuła się tyczkowato i niezgrabnie, o tyle Rosanna wyglądała na pewną siebie i dumną.

- To twoje pierwsze lato na wyspie? - zapytała Rosanna.

Hazel zamrugała powiekami i dostrzegła pytający wyraz na twarzy Rosanny.

- Tak - wykrztusiła, tuląc łokcie do piersi. - Ja...

mieszkam w Kalifornii...

Słowa wypłynęły z jej ust, nim zdecydowała, czy właśnie to chciała powiedzieć.

- My też! - wykrzyknęła Rosanna, kładąc dłoń na ramieniu Hazel. Dotyk był delikatny i miękki, wywołał ciarki, które przebiegły jej po ręce. - To znaczy przez połowę roku -

ciągnęła Rosanna. - Tę drugą, kiedy nie ma nas tutaj. Billy uczy informatyki w Stanford. Farma należy do jego rodziny od pokoleń, przyjeżdżamy tu każdego lata, żeby podtrzymać jej funkcjonowanie. Ja jestem artystką...

Przewróciła oczami, wskazując ręką na płótna.

- Jak widać! - roześmiała się. - I także prowadzę zajęcia.

W Marin, niedaleko San Francisco.

Hazel starała się zapanować nad mimiką twarzy, ale w głowie jej wirowało. Rosanna uczyła w Marin, co wyjaśnia, dlaczego Hazel została oddana do adopcji w San Francisco, a nie w Massachusetts. Jej wzrok powędrował ku szczupłej talii Rosanny. Był koniec czerwca. Skoro Hazel miała urodzić się w grudniu, musiałyby już rosnać w brzuchu matki. Na tę myśl skrzywiła się i szybko przeniosła spojrzenie na obrazy na ścianie.

- Czeka mnie kilka pokazów - powiedziała Rosanna.

Przed oczami Hazel zaczęły kłębić się pastelowe barwy pejzaży oraz portrety ludzi przedstawianych w ich naturalnym otoczeniu. - Właśnie dlatego potrzebna mi pomoc. Poza pieczę nad sprawami domowymi. Przez cały rok mamy wspaniałą gosposię, jest też para młodych ludzi, którzy pomagają na farmie, ale pracy tu nigdy nie brakuje. Zapowiada się pracowity sezon, dużo... zmian, jak sądzę.

Hazel popatrzyła na Rosannę, która przechadzała się tam i z powrotem po pracowni. Kobieta uniosła zasłonę i wyrzła na zewnątrz, jak gdyby rozproszyło ją coś, co dostrzegła na trawniku.

- Masz jakieś doświadczenie w pracy w galerii? -

zapytała, błędząc gdzieś daleko wzrokiem.

- W galerii? - powtórzyła Hazel, wciąż tkwiąc myślami przy słowie „zmiany”. Jakie zmiany? Czy Rosanna wiedziała już, że jest w ciąży? - Nie - odpowiedziała półprzymtomnie. -

To znaczy, w zasadzie nie, ale...

- To nie jest galeria z prawdziwego zdarzenia, ale wspaniale byłoby mieć przy sobie kogoś, kto pomógłby mi wszystko zorganizować, może wybrać ze mną obrazy... -

Rosanna odwróciła się i przyglądała dziewczynie z uśmiechem, szybko oceniając sukienkę. - Wyglądasz na osobę o dobrym guście.

Hazel się zarumieniła.

- Och, sama nie wiem... - umilkła, czując na czubku głowy czujne spojrzenie Rosanny. To szansa na spędzenie z matką czasu. Nie może jej zaprzepaścić przez swoją skromność. - Mogłabym się nauczyć - dodała stanowczo, patrząc rozmówczyni prosto w oczy.

- Fantastycznie! - uśmiechnęła się artystka. - Masz gdzie mieszkać? Przyjechałaś tu z rodziną?

Hazel pokręciła przecząco głową i wbiła wzrok w podłogę z czereśniowych desek. Uderzyła ją nagle absurdalność całej tej sytuacji. Nie знаła na wyspie nikogo i nie miała grosza przy duszy. Co ona sobie wyobrażała? Co wyobrażała sobie Posey, wysyłając ją na drugi koniec kraju bez żadnych wyjaśnień, kontaktów i pieniędzy?

- Nie - wydusiła wreszcie. - Moi rodzice podróżują. Po Europie. Jestem tu sama.

Wstrzymała oddech, panicznie bojąc się poruszyć albo podnieść wzrok. Po raz pierwszy w życiu wypowiedziała na głos słowo „rodzice”, a kiedy niezręcznie wydobyło się z jej ust, miała wrażenie, że za chwilę uruchomi się jakiś alarm wykrywający kłamstwo. Fałsz! Nierzeczywiste! Nie istnieje!

Jeśli jednak włączył się jakikolwiek alarm, słyszała go tylko Hazel. Rosanna wzruszyła ramionami.

- To nie problem! - zapewniła, dostrzegając wahanie Hazel i biorąc ją delikatnie pod rękę. - W domku dla gości jest mnóstwo miejsca. Nic wyszukanego, ale Jaime, nasza gospodyni, urządziła się tam po swojemu. Możesz tam zamieszkać, będziemy ci wypłacać skromne wynagrodzenie, a oprócz lokum zapewnimy wyżywienie.

Rosanna wyszła przez siatkowe drzwi, przyłożyła do ust zwinięte dłonie i zagwizdała w stronę lasu. Kilka chwil później zza kępy drzew wyskoczył zwalisty czarny labrador i przybiegł do nogi, dysząc i drapiąc trawę pazurami.

- Buster, przedstawiam ci... - Rosanna odwróciła się gwałtownie do Hazel. - Nawet nie zapytałam, jak się nazywasz! To cała ty, Rosanno - zbesztła samą siebie ze śmiechem.

- Nie szkodzi. Mam na imię Hazel - odparła wesoło.

Malarka pokiwała z aprobatą głową i wzięła dziewczynę pod ramię. Szły ścieżką obok domu, na dole fale przyboju toczyły się miarowo po piasku.

- No cóż, Hazel - rzekła. Stawiały teraz swobodne, zsynchronizowane kroki. Szerokim gestem smukłego ramienia zagarnęła przestrzeń wokół nich. - Witaj w domu!

Rozdział 8

Hazel siedziała na swoim nowym łóżku w nowym pokoju, z papierowymi torbami pełnymi ubrań u swych stóp.

Miała się rozgościć. Historyjka o zgubieniu jej bagażu przez linie lotnicze, którą opowiedziała Rosannie, zabrzmiała niemal prawdziwie, Hazel zaś nie mogła uwierzyć, jak szybko zyskała do swej dyspozycji całkowicie nową garderobę. I to nie bile jaką: całe stosy delikatnie przetartych dżinsów oraz miękkich bawełnianych bluzeczek, których Rosanna, jak uparcie twierdziła, i tak zamierzała się pozbyć.

Wysypała na łóżko zawartość jednej z toreb i przerzucała sterty wygodnych swetrów. Każdy z nich nosiła Rosanna.

Były to ubrania po matce. Po raz pierwszy w życiu dostała coś po kimś bliskim.

I po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, miała mamę.

Uśmiechnęła się. Serce jej rosło, gdy wyglądała na zewnątrz przez wysokie okno sypialni. Domek dla gości był

niewielką, lecz pomysłowo zbudowaną chatą z widokiem na ogród, przycupniętą na szczycie wzgórza. Dach był

dwuspadowy, miał konstrukcję z ciemnych drewnianych belek. Grube białe deski, którymi obłożono ściany, przywierały do siebie ciasno, jak elementy układanki. Rosanna szybko oprowadziła Hazel po kuchni i pokoju na dole, nalegając, by częstowała się wszystkim, co znajdzie w lodówce. Dziewczyna patrzyła przez otwarte siatkowe drzwi, jak Rosanna idzie przez trawnik do swojej pracowni, i wciąż jeszcze nie mogła do końca uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Oderwała wzrok od swetrów na łóżku. Domek miał tylko jedną sypialnię, którą miała dzielić z gospodynią. Rosanna nie opowiedziała zbyt wiele o jej współlokatorce, poza tym, że w ciągu dnia pracuje w miasteczku i wróci do domu lada chwila.

Pokój wyglądał na niezamieszany. Żadnych fotografii w ramkach, żadnych plakatów na ścianach. Hazel wysunęła prędko kilka górnych szuflad komody, taksując wzrokiem schludnie ułożone

podkoszulki obok równych stosów szortów i spodni. Nawet szafa, w której ostrożnie powiesiła sukienki od Posey, wyglądała jak wyjęta z hotelu. Prawie wszystkie wieszaki były puste, wisiał tam tylko szlafrok kąpielowy i samotna biała sukienka na ramiączkach, dosunięte do ściany.

Jedyny osobisty akcent stanowiła kolorowa patchworkowa kapa złożona starannie w nogach drugiego łóżka. Hazel stanęła przy nim i dotknęła narzuty. Wyblakła tkanina była miękka i mocno wysłużona.

- Mogę?

Hazel podskoczyła i obróciła się, widząc przed sobą stojącą w progu niską dziewczynę. Miała długie ciemne włosy opadające na ramiona i małe, głęboko osadzone oczy, które zwęziły się w gniewne szparki. Gdyby nowo przybyła nie trzymała w ustach ołówka, Hazel prawdopodobnie nie od razu by ją poznała.

- Zasada numer jeden - burknęła dziewczyna. Wyjęła ołówek z ust i precyzyjnie się obok Hazel, wrywając jej z ręki narzutę. - Moje rzeczy są moje. Nie twoje. Co znaczy, że masz ich nie ruszać.

Hazel cofnęła się i nadziała na ramę łóżka. Opadła ciężko na materac i patrzyła, jak dziewczyna składa kapę nerwowymi, precyzyjnymi ruchami. Miała najwyżej metr pięćdziesiąt wzrostu. Hazel zachodziła w głowę, jak w tak drobnej osobce mogło pomieścić się aż tyle małostkowości.

- Przepraszam - wybąkała, zrozumiawszy, że dziewczyna nie zamierza powiedzieć nic więcej. - Jestem... jestem Hazel.

Ja...

- Herbata mrożona, pamiętam! - warknęła dziewczyna, podchodząc do szafy i ściągając z górnej półki złożony ręcznik. - Ja mam na imię Jaime.

Hazel odwróciła wzrok, gdy Jaime zaczęła zdejmować z siebie firmową koszulkę „Pucharów i rożków”.

- Nie do wiary! - rzuciła Jaime, jakby do siebie. - Rosanna od zawsze powtarzała, że najmie jeszcze kogoś do pracy, ale dotąd kończyło się na gadaniu.

Kątem oka Hazel widziała, jak Jaime zsuwa obcięte na wysokości kolan dzinsy i owija się ręcznikiem.

- No to skąd się tu wzięłaś? - zapytała. - Zwiłaś z domu?

Bo na bezdomną nie wyglądasz.

Hazel przygryzła policzek i poczuła, jak ściągają się jej brwi.

- Na bezdomną? - powtórzyła zdecydowanym, obronnym tonem. - Skąd ci to przyszło do głowy?

Nie cierpiała tego rodzaju dziewczyn. W czterech różnych liceach, do których miała dotychczas

zaszczyt ucześnieć, poznała ich wiele: panienek o ciężym języku, od których była milcząca pogarda i które w każdej sytuacji miały na wszystko gotową odpowiedź. Prawdę mówiąc, sama była dość regularnie brana za jedną z nich. Wierzyła jednak niezłomie, że każdy, kto rzeczywiście jest aż tak nieszczęśliwy, zwykle ze wszystkich sił stara się to ukryć.

- Rosanna przyjmuje tylko takich, których trzeba trochę wyprostować - oznajmiła Jaime, stojąc przed wysoką komodą.

Wyjęła parę białych sportowych skarpet i niebieską bawełnianą bieliznę, po czym zwinęła wszystko w kulkę.

Hazel poruszyła się na łóżku, materac mocno zaskrzypiał

pod jej ciężarem.

- Dobra, nie musisz mi mówić - westchnęła Jaime, głośno zatraskując szufladę. - Zdaje się, że będziemy miały mnóstwo czasu na sekrety. Nie chrapiesz, co? - Zatrzymała się przy drzwiach i odwróciła do nowej współlokatorki, wbijając w nią zimny jak stal, przenikliwy wzrok.

- Nie - odparła chłodno Hazel. Pomysł wzajemnego powierzania sobie tajemnic niemal ją rozśmieszył. - A ty?

Gdy Jaime odwracała się w stronę korytarza, kącik jej ust wygiął się w półuśmiechu.

- Oprowadzę cię, jak skończę! - zawołała z łazienki.

Strumień wody uderzył w zasłonkę prysznicową i szybko przycichł, gdy zatrzasnęła za sobą drzwi.

Hazel potarła czoło i westchnęła, kierując wzrok na stos nowych ubrań na łóżku. Wiedziała, że powinna rozpakować i poukładać rzeczy, ale piekły ją oczy, a ciało bolało.

Przerzuciła nogi przez torbę i zwinęła się w kłębek pod ścianą, spoglądając przez okno na główny budynek po drugiej stronie trawnika. Miękkie żółte światło sączyło się z okien, ona zaś próbowała wyobrazić sobie w środku Rosannę.

Jej myśli błądziły swobodnie, zastanawiała się, jak by to było zamieszkać w głównym budynku, zamiast tutaj, z dziewczyną, która zdawała się postawić sobie za cel maksymalne uprzykrzenie jej wspólnie spędzanego czasu. Ale przecież nie przyjechała tu po to, by zawierać nowe przyjaźnie, przypominała sobie. Miała poznać swoją matkę.

Poczuła, jak zaczynają jej ciężać powieki, i przewróciła się na drugi bok. Kosmyki farbowanych włosów z odrostami opadły na twarz. Nie zaszkodzi chwilę odpocząć, tylko do czasu, kiedy Jaime wyjdzie spod prysznic. Tylko małą chwileczkę i może uda się im zacząć od nowa. Może po prysznicu i króciutkiej drzemce wszystko zacznie wyglądać inaczej.

Pobudka, wstać, śpiąca królewno! Hazel zamruwała powiekami i otworzyła oczy, gdy Jaime rozsunęła zasłony, a słoneczny blask z unoszącymi się w powietrzu drobinkami kurzu zalał pokój. Przewróciła się na drugi bok, twarzą do ściany. Czuła lekkie łupanie z tyłu głowy i dopiero po kilku chwilach wpatrywania się w drewnianą boazerię przypomniała sobie, gdzie się znajduje.

- Ponieważ przespałaś oprowadzanie po włościach, będziemy musiały nadrobić to teraz. - Jaime stała w nogach łóżka Hazel, zwijając garść ciemnych nastroszonych włosów i wbijając w nie ten sam ołówek, co poprzedniego dnia.

Hazel spojrzała na siebie i zobaczyła, że wciąż ma na sobie żółtą koszulę i džinsy Rosanny. Podniosła się na łokciach i mrugała powiekami, podczas gdy Jaime wyciągała bluzę z dolnej szuflady komody. Choć był koniec czerwca, czuła, jak przez okno wsącza się chłód wczesnego poranka.

- Która godzina? - wymamrotała, sprawdzając, czy w kącikach ust nie zebrała się ślina.

- To nie wakacje, Blondyna! - fuknęła Jaime, zaciągając suwak granatowej bluzy i ruszając ku drzwiom. - Teraz jesteś w moim królestwie, a spania w programie nie przewidziano.

Spotykamy się na dole za pięć minut.

Posłała jej sztuczny uśmiech i zamknęła za sobą drzwi.

Hazel z powrotem runęła na łóżko. Niespełna dwadzieścia cztery godziny temu wałęsała się po San Francisco, gdzie wszystko było znajome i miało sens. Teraz znajdowała się w innym miejscu, innym czasie, dzieląc pokój z dziewczyną, która sprawiła, że inność stała się czymś, za co można by strzelać.

Odrzuciła prześcieradła i wciągnęła na siebie džinsy Rosanny oraz sfatygowaną, zapinaną na guziki koszulę.

Materiał był miękki w dotyku i pachniał delikatnie emulsją do opalania. Zanurzyła twarz w tkaninie, wdychając głęboko zapach swojej matki. W łazience ochlapała twarz wodą i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Z przyzwyczajenia popatrzyła w narożnik lustra, gdzie trzymała w domu zdjęcie Wendy, i zaczęła zastanawiać się, co robi w tej chwili Roy.

Czy już się martwi? Czy w ogóle zauważył jej nieobecność?

Wytarła ręce i zbiegła po schodach. Jaime siedziała na schodkach ganku, lecz gdy tylko Hazel znalazła się przy drzwiach, ruszyła przed siebie.

Hazel musiała zeskoczyć ze stopni, by ją dogonić.

Posiadłość wyglądała jeszcze bardziej nieskazitelnie niż poprzedniego dnia, tonęła w bujnej zieleni i niemal drgała w słońcu. Powietrze było chłodne i aromatyczne, trawa wilgotna od rosy.

Powędrowała za Jaime do głównego budynku i weszła do środka przez ciężkie drzwi frontowe. W środku dom prezentował się elegancko, ale bez przepychu. W holu powitał

je zabytkowy żyrandol, a Hazel zajrzała w głąb otwartego, umeblowanego na biało salonu z ogromnym kamiennym kominkiem i przeszkloną ścianą z widokiem na ocean i niebo.

Na końcu wąskiego korytarza otworzyły się drzwi. Jakiś mężczyzna zmierzał w ich stronę.

- Dzień dobry, Jaime! - powiedział. Miał potargane włosy o barwie cynamonu i skupiony, na wpół oszołomiony wyraz twarzy człowieka, który ślęczał wiele godzin przed ekranem komputera.

- Cześć, Billy! - odpowiedziała, odsuwając się na bok, by go przepuścić. - To jest Hazel - dodała z niechęcią. - Wygląda na to, że u nas pracuje.

Jaime odwróciła się i ruszyła głównym korytarzem, zostawiając Hazel w holu sam na sam z Billym. Mężczyzna wyciągnął rękę, którą uściśniła, nie bardzo potrafiąc spojrzeć mu w oczy. Od razu poczuła ściskanie w dołku. To był

mężczyzna z imprezy w Ferry Building. Mężczyzna stojący samotnie przy barze, ze wzrokiem smutno utkwionym w szklance. Przypomniała sobie od razu powód jego obecności.

Stracił żonę. W przyszłości Rosanna już nie żyła.

- Miło cię poznać, Hazel! - uśmiechnął się. Miał drobne, precyzyjnie wyrzeźbione rysy, które zdawały się jakby zagubione na szerokiej płaszczyźnie twarzy.

- Ciebie... ciebie też - wyjąkała. Stała osłupiała, patrząc na mężczyznę, który miał zostać jej ojcem. Szukała podobieństw.

Miał niebieskie oczy, tak jak ona, ale nos drobniejszy i zadarty na czubku.

- Czekam! - zawołała zniecierpliwiona Jaime gdzieś z końca korytarza.

- Lepiej znikaj - szepnął Billy, pochylając się. - I się nie przejmuj. Nawet w połowie nie jest taka groźna, jaką udaje.

Puścił do Hazel oko i poszedł do salonu, pogwizdując i biorąc do ręki gazetę ze szklanego stolika przy sofie.

Poczuła, jak wzbierają w niej emocje. Odwróciła się i poszła poszukać Jaime. Miała tatę. Prawdziwego tatę, który robił klasyczne tatowe rzeczy, czyli gwizdał i czytał gazetę.

Pospieszyła za Jaime do kuchni, olbrzymiego pomieszczenia z mnóstwem okien na każdej ze ścian i widokiem na niezmacony ocean. Z sufitu zwisały wielkie przemysłowe lampy, a długa marmurowa wyspa dzieliła kuchnię na dwie części. Lodówka ze stali nierdzewnej była otwarta, kucał przy niej mężczyzna w białych spodniach oraz czarnym fartuchu i zaglądał do środka.

- Emmett piecze codziennie babeczki - wyjaśniła Jaime, pokazując kosz na blacie. - Mam nadzieję, że się nie odchudzasz.

Mężczyzna przy lodowce wyprostował się i obrócił. Był

niewysoki i schludny. Gdyby nie wyraźne zmarszczki wokół

jasnych zielonych oczu, Hazel pomyślałaby, że jest w jej wieku.

- Kogo my tu mamy? - zapytał Emmett, uśmiechając się przy tym promiennie i szelmowsko. Liryczny irlandzki zaśpiew zamieniał szybko wypadające z ust słowa w melodię.

- Jeszcze jedna do pomocy w kuchni? No, jest dość ładna.

Biorę.

Jaime wybrała z kosza babeczkę i odlepiła z niej pergamin.

- Niestety - westchnęła. - Na nieszczęście Rosanna uważa, że to mnie potrzebna jest pomoc.

Emmett wyszczerzył zęby.

- Pewnie dlatego, że wiecznie hulasz z tym swoim chłopakiem - powiedział z niewinnym wzruszeniem ramion.

Dziewczyna podniosła rękę z babeczką, jakby zamierzała nią rzucić, Emmett udawał zaś, że chowa się za mikserem.

- A skoro już mowa o hulankach - zaskrzeczał ze swojej kryjówki - to robimy dzisiaj znowu ognisko? Przygotowałem pianki żelowe do twoich ukochanych grzanek z czekoladą.

Hazel zobaczyła, że Jaime rzuca Emmettowi gniewne ostrzegawcze spojrzenie.

- Chodź, Blondyna! - rzuciła, odsuwając przeszkłone skrzydło drzwi.

Hazel przygryzła policzek i starała się nie okazywać irytacji. Najwyraźniej ognisko było imprezą wyłącznie za zaproszeniem.

- Jeśli będziesz chciała urwać się jej wysokości, przychodź do mnie - zaproponował Emmett, a mijająca go Hazel zdobyła się na uśmiech. Odniosła wrażenie, że skorzysta z tej oferty, i to już wkrótce.

Jaime była już w połowie kamiennego patia, po drugiej stronie długiego, szklanego stołu, gdy dogoniła ją Hazel.

- Gdzie jest Rosanna? - zapytała Hazel, gdy przechodziły obok pustej pracowni, mając nadzieję, że zabrzmiało to niezobowiązująco. - Kiedy maluje?

Jaime zaprowadziła ją na polanę w lesie, gdzie kończył się szlakznaczony muszlami, a zaczynała kręta ścieżka.

- Kiedy ma na to ochotę - mruknęła, usuwając z drogi kilka cienkich gałązek. Jedna z nich strzeliła do tyłu i niemal smagnęła Hazel po twarzy. Dziewczyna zrobiła błyskawiczny unik i szła dalej pochylona, póki nie wyszły z zarośli.

Na końcu ścieżki, na tle czystego niebieskiego nieba, rysowała się masywna czerwona stajnia. Ogromne wrota stały otworem, ukazując dwa rzędy boksów dla koni oraz częściowo zadaszoną koszarę, w której pasło się spokojnie kilkanaście owiec i kóz.

- Słuchaj no - rzekła Jaime i stanęła w miejscu. - Wiem, że Rosanna zapowiedziała, że masz pomagać jej trochę w pracowni, i słowo daję, nie mam z tym problemu. Ale póki jesteś ze mną, twoja robota jest tutaj. - Wskazała znacząco na stajnię. - Kapujesz?

Hazel przełknęła ślinę. Czy naprawdę odbyła tę podróż w czasie po to, żeby pomagać na farmie jakiejś gburliwej smarkuli?

Tak jednak zdecydowała Rosanna. Na razie Hazel nie miała wyboru. Bliskość matki to zrekompensuje.

- Kapuję - bąknęła do pleców Jaime, wchodząc za nią do stajni.

Zapach końskiego nawozu i siana drażnił nozdrza.

Najbliższy kontakt ze zwierzętami hodowanymi miała w domu siostry Roya nad jeziorem, gdzie był kojec dla kur.

Miała za zadanie karmić je codziennie rano, a po niefortunnym incydencie z niezadowoloną kurą nioską męczyły ją przez wiele tygodni nocne koszmary, że zostaje rozdziobana na kawałki. Przyglądała się teraz podejrzliwie kozom, które sprawiały wrażenie lekko szurniętych, tymczasem Jaime odwróciła się na pięcie i zaczęła piąć się wąskimi schodami.

- Dokąd idziesz? - zapytała Hazel. - Myślałam, że mamy robotę w stajni.

Jaime nie przestała wchodzić na górę, tupiąc na chybotliwych stopniach.

- Tutaj - odparła, otwierając małe drzwiczki na szczycie. -

Zwierzęta to działka Maury i Craiga. Ja nie zajmuję się inwentarzem, nawet na dżentelmeńskiej farmie.

Hazel obejrzała się na konie w boksach, patrzące nieruchomo szeroko otwartymi, ciemnymi oczami.

- Na dżentelmeńskiej farmie?

- Żadnego zabijania, żadnej produkcji żywności. Pełna kultura - wyjaśniła Jaime, dając Hazel znak, by weszła za nią do kantorka. - Co nie znaczy, że mniej śmierdzi, ale się przyzwyczaisz.

Hazel rozejrzała się po kantorku. Było to ciemne pomieszczenie, w którym mieściły się tylko biurko,

krzesło oraz rzędy beżowych segregatorów. Po drugiej stronie znajdowały się kolejne drzwi. Zajrzała i zobaczyła długi, wąski korytarz.

- Latem przemieszkuję tam obsługa farmy. Zawsze znajdzie się wolne miejsce, gdybyś była zainteresowana.

Hazel zmarszczyła nos i pokręciła głową, czując ulgę, że ulokowano ją w domku dla gości. Nawet jeśli oznaczało to spędzanie wolnego czasu w towarzystwie tej opryskliwej dziewczyny.

- Siadaj! - zakomenderowała Jaime, stając ze skrzyżowanymi ramionami przed rzędem segregatorów. Hazel usiadła na wysokim krześle na kółkach.

Jaime wyciągnęła jedną z górnych szuflad. W środku były ułożone w porządku alfabetycznym teczki oznaczone różnymi kolorami.

- Billy znowu zepsuł bieżnię - oznajmiła, szybko przerzucając teczki. - Wiem, że gdzieś tu musi być instrukcja, ale nie miałam jeszcze okazji jej poszukać.

Wsunęła do segregatora obie ręce i wytaszczyła ze środka grubą teczkę pękającą w szwach od pożółkłych instrukcji obsługi chyba każdego urządzenia elektronicznego, jakie Scottowie zakupili w swoim życiu. Rzuciła ją Hazel na kolana, przez co krzesło odjechało do tyłu i zaklinowało się między biurkiem a ścianą.

- Miłej zabawy, Blondyna! - zagruchała, otrzepując kurz z dłoni i ruszając w stronę schodów.

- Mam na imię Hazel - odparowała Hazel, trzaskając teczką o blat.

Jaime wychynęła energicznie zza rogu, aż na jej czole podskoczyły ciemne kędziory.

- Że co?

- Nie nazywam się Blondyna, tylko Hazel - powtórzyła. -

I przykro mi, że ci przeszkadzam, ale Rosanna mnie przyjęła.

Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- O co mi chodzi? O nic mi nie chodzi - rzekła beznamiętnie Jaime. - A nawet gdyby mi o coś chodziło, choć wcale tak nie jest, to jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żebyś miała to zrozumieć. Słyszałam o twoich rodzicach i ich europejskich wojażach. Brzmi bosko! - Głos Jaime ociekał

udawaną szczerością.

Serce Hazel wściekle tłukło się w piersi, nie pragnęła w tej chwili niczego więcej, niż wszystko wytłumaczyć, wyrzucić z siebie prawdziwą historię, tę, w której nie ma miejsca na wojaże i rodziców.

- Jesteś pewna, że już za późno, by do nich dołączyć? -

spytała Jaime, ostentacyjnie wydymając wargi.

Hazel płonęły policzki, czym prędzej powróciła do teczki na biurku.

- Na razie, Blondyna! - zawołała Jaime, zbiegając susami ze schodów. Przez jedyne zamglone okno kantorku Hazel patrzyła, jak dziewczyna sadzi przez pole. Wysokie, bujnie ulistnione dęby kołysały się na wietrze, niebo było bezchmurne. Ocean w oddali wyglądał tak, jakby ktoś pomalował go w paski, słońce odbijało się na jego powierzchni lustrzanymi smugami.

Westchnęła i otworzyła segregator.

Wymarzony dzień na papierkową robotę.

Rozdział 10

Świat wirował Hazel przed oczami, głowa pękała. Gdy Jaime wróciła po instrukcję obsługi ruchomej bieżni, natychmiast wyznaczyła jej nieskończenie długą listę nudnych zadań, od posegregowania niezapłaconych rachunków po przetestowanie całego pudełka nabojev do drukarki.

Na domiar złego Hazel umierała z głodu. Jaime przyniosła jej na lunch suchą kanapkę z indykiem, ale było to wiele godzin temu. Nie miała pojęcia, jak długo powinna siedzieć w kantorku, i zastanawiała się właśnie nad ucieczką, gdy zza prowadzących na korytarz drzwi dobiegły dwa głosy. Zerwała się z krzesła i wyjrzała przez okno, niczym więzień z izolatki, głodna w takim samym stopniu rozmowy, co solidnego posiłku.

W jej stronę zmierzała muskularna dziewczyna z blond warkoczami, a za nią tyczkowaty chłopak z ciemną kozią bródką. Oboje wyglądali na dwadzieścia kilka lat. Zatrzymali się przy drzwiach i już mieli za nimi zniknąć, gdy Hazel wypadła na korytarz jak błyskawica.

- Cześć! - zawołała z odrobinę większym entuzjazmem, niż zamierzała. - Jestem Hazel. Ja... teraz tutaj pracuję. Z

Jaime.

Dziewczyna zrobiła krok naprzód i wytarła dłonie w brudne ogrodniczki.

- O, cześć! Rosanna powiedziała nam, żebyśmy rozglądali się za nową twarzą. - Uśmiechnęła się. Miała buzię usianą piegami. - Ja mam na imię Maura, a to jest Craig. - Chłopak pomachał niezgrabnie ręką i dał nura do jednego z pokoiw przy korytarzu.

- Przepraszam, przeszkodziliśmy ci? - zapytała Maura, zaglądając do kantorka. - W porze karmienia bywa mnóstwo zamieszania.

- Ani trochę! - zapewniła Hazel. - Właśnie zaczynałam dostawać tu lekkiego świra.

Maura wybuchnęła śmiechem, warkocze zakołysały się na plecach.

- Wybieramy się na plażę na ognisko - wyjaśniła. - To taka cotygodniowa tradycja. Też powinnaś pójść.

W swoich stronach Hazel opanowała do perfekcji sztukę odrzucania zaproszeń i rzadko spotykała się z kimkolwiek poza szkołą czy pracą. Jednak tym razem poczuła nagle wdzięczność za samą możliwość znalezienia się wśród ludzi.

Zwłaszcza innych niż Jaime. Uśmiechnęła się.

- Dzięki. Chętnie!

- Super! - Maura kiwnęła głową, ruszając z powrotem do drzwi. - Ogarnę się trochę i spotkamy się na dole?

Hazel skinęła głową i zamknęła się na powrót w ciasnym kantorku. Jaime prawdopodobnie wpadnie w furję, że nie wykonała wszystkich zadań, a pojawienie się Hazel na ognisku rozjuszy ją jeszcze bardziej. Ale miała to w nosie.

Prawdę mówiąc, tym bardziej zapragnęła tam pójść.

Słońce było już nisko, gdy Craig prowadził dziewczyny długą ścieżką pośród drzew. Dookoła głów bzycały komary, Hazel pacnęła owada, który ugryzł ją w okolicy kostki.

Droga kończyła się na leśnej polanie, gdzie parkowało już dziesięć czy dwanaście samochodów, głównie pikapów albo poobijanych hatchbacków. Schodzili na plażę starymi, kiwającymi się schodami, a Hazel pilnowała się, by nie patrzeć w dół.

Na plaży Maura i Craig zrzucili buty na stertę przy wydmach. Hazel uczyniła to samo, zanurzając palce stóp w chłodnym, wilgotnym piasku. W dole wykopanym przy krawędzi klifu zgromadzono drewno. Hazel przyglądała się, jak grupka starszych mężczyzn o zaniedbanych twarzach układała je w piramidę, próbując rozpalić ogień zapalką.

- Są burgery i hot dogi - poinformował Craig, wskazując za ognisko, gdzie Emmett układał mielone kotleciki na węglowym grillu.

- Jest też coś dla wegetarian, jeśli masz ochotę - dodała Maura, pochylając się, by podwinąć nogawki dzinsów.

- Dzięki! - rzekła Hazel, zerkając ukradkiem na grupkę ludzi, gdy podążała za Craigiem w stronę niebieskiej plastikowej lodówki na napoje. - Rosanna i Billy przyjdą?

- Wątpię. - Craig wzruszył ramionami, po czym wyjął

kilka piw i zaczął je rozdawać. Hazel uprzejmie odmówiła, natomiast Maura dwukrotnie puknęła w wieczko puszki, nim otworzyła ją z trzaskiem brudnymi paznokciami.

- Wieczorami dają nam wolną rękę - wyjaśniła Maura. -

Rosanna jest super.

Hazel poczuła mieszaninę rozczarowania i ukrytej dumy.

Pożądała więcej informacji. Skoro nie mogła spędzać czasu z Rosanna, pragnęła przynajmniej jak najwięcej się dowiedzieć.

- Uwaga! - znajomy głos zawołał znad brzegu oceanu.

Popatrzyła w stronę wody. W odległości zaledwie kilku metrów stał jej książę z bajki we własnej osobie, chłopak z lodziarni. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, rzucił jej puszkę piwa, która zatoczyła w powietrzu imponujący łuk.

Złapała ją oburącz, zimne aluminium szczypało w dłoń.

- Cześć, Luke! - zawołała Maura, gdy do nich dołączył.

Włosy miał dłuższe i bardziej kędzierzawe, niż zapamiętała Hazel. Nawet w ciemności widać było błyski w jego ciemnobrązowych oczach.

- Świetny pomysł! - zażartował Craig, gdy chłopcy przybili piątkę. - Ciskać przedmiotami w nową dziewczynę.

Jakbyśmy znów wylądowali w przedszkolu.

Luke parsknął śmiechem. Miał na sobie luźne, sięgające kolan szorty z obniżonym krokiem i zgniłozieloną koszulkę.

Jeden z rękawów podciągnął wyżej; widać było, gdzie kończy się opalenizna. Zaskoczyła ją ulga, jaką poczuła na jego widok

- jak gdyby czekała, aż się pojawi.

- Och, my się już znamy - oznajmił z naciskiem, trącając Hazel łokciem. - Zdaje się, że moje wskazówki okazały się skuteczne.

- Na to wygląda. - Kiwnęła głową. Maura i Craig wyruszyli na spacer po plaży, a Hazel utkwiała wzrok w piasku, rysując wzorki dużym paluchem.

- A więc... - zaczął. - Jak leci?

Usadowił się na piasku i poklepał miejsce obok siebie.

Hazel ostrożnie usiadła, podwijając boso stopy. Żałowała, że nie wystarczyło jej zdrowego rozsądku, by zabrać sweter.

Słońce już niemal całkiem skryło się za horyzont, powietrze zrobiło się rześkie i chłodne.

- W porządku. - Wzruszyła ramionami. - Dostałam pracę.

- Miałem przecucie, że tak się stanie - rzekł, pociągając spory łyk piwa. Hazel spojrzała na puszkę w swoich dłoniach i postukała w nią palcami tak samo, jak wcześniej Maura. W

całym swoim życiu była na zaledwie kilku oficjalnych przyjęciach, w tym z rówieśnikami, z którymi pracowała w drogerii. Wychyliła jednak duży haust, starając się nie skrzywić. Piwo było gorzkie i wcale nie tak zimne, jak można by się spodziewać po puszcze.

- Skąd znasz Maurę i Craiga? - zapytała, głośno przetykając napój. Wcisnęła puszkę w piasek i obracała w kółko.

- To mała wyspa - powiedział, po czym zwrócił ku niej twarz z szelmowskim uśmiechem. - A stodoła jeszcze mniejsza.

Gwałtownie podniosła wzrok, gdy Luke odchylił się w tył

i zagłębił łokcie w piasku.

- Mieszkasz w stodole?

- Owszem. - Kiwnął głową i rozprostował długie nogi.

Miał umięśnione, opalone łydki pokryte warstewką ciemnoblond włosów. - Szukałem cię wczoraj, ale doszedłem do wniosku, że masz przy Jaime pełne ręce roboty.

Jak na zawołanie Jaime przeczłapała obok nich, patrząc na coraz większe płomienie ogniska. Miała na sobie obszerny sweter i obcięte dzinsy, a Hazel po raz pierwszy zauważyła, że dziewczyna lekko wykręca do środka kolana, tak jak ona sama. Nie żeby to miało je do siebie zbliżać w jakikolwiek sposób...

Luke gwizdnął przez zęby i podniósł puszkę, gdy Jaime odwróciła się w jego stronę. Zaczęła do niego machać, ale błyskawicznie wcisnęła rękę do kieszeni, gdy tylko spostrzegła Hazel.

- Zdaje się, że miałem rację - rzekł oględnie.

Hazel westchnęła i pociągnęła kolejny łyk z puszeki. Tym razem przeszedł dość gładko. Czowała lekkość rozchodzącą się w jej ciele.

- Ty też pracujesz na farmie? - zapytała. Wciąż usiłowała dojść do ładu z nowiną, że Luke sypia ledwie parę metrów od kantorka, w którym ona siedziała przez cały dzień. Nie cierpiała być nieświadoma rzeczy, które znajdowały się tuż pod jej nosem. Czowała się wtedy tak, jakby istniał jakiś tajny szyfr znany wszystkim prócz niej.

- Nie - pokręcił głową, otrzepując piasek z dłoni. - W

jachtklubie w miasteczku. Ale od małego dziecka co roku przyjeżdżam do Rosanny na lato.

Poczuła natychmiastowe ukłucie zazdrości. Czy wszyscy w tym majątku mieszkają z Billym i Rosanną od zawsze?

Wyobraziła sobie małego Luke'a pluskającego się w oceanie, karmiącego zwierzęta, zasiadającego do rodzinnych kolacji przy stole na patiu. Przecież to byli jej rodzice, tymczasem wydawało się, że tego chłopaka oraz innych łączyła z nimi jakaś zażyłość, której ona nigdy zazna.

- A twoi rodzice? - zagadnęła. W pytaniu pobrzmiwało większe napięcie, niżby sobie życzyła. - To znaczy, gdzie mieszkasz przez pozostałą część roku?

-

Urodziłem się w Wirginii, ale często się przeprowadzaliśmy - wyjaśnił. - Mój tato jest obrońcą wojskowym. Zdałem chyba do szóstej klasy, kiedy wysłał

mnie do szkoły z internatem. Pewnie powinienem być mu wdzięczny. Po życiu z nim szkoła była jak bułka z masłem.

- Dokąd? - zainteresowała się. Zawsze była ciekawa, jak by to było uczyć się w szkole z internatem. Prawdę mówiąc, brzmiało całkiem nieźle. W trakcie roku szkolnego wszyscy byliby bez rodziców. Może tam by pasowała.

- Do kilku miejsc. - Wzruszył ramionami. - Głównie w Maryland i Columbi. Znalezienie odpowiedniego miejsca zajęło trochę czasu. Ale jakoś przeżyłem.

Wpatrywała się w piasek wokół stóp. Zawsze sądziła, że kiedy zna się swoich rodziców, automatycznie mieszka się na stałe w tym samym miejscu.

- A ty? - zapytał. - Słyszałem, że pochodzisz z Kalifornii.

Jak się tu znalazłaś?

Wsunęła ręce w długie rękawy koszuli i opuściła włosy na ramiona w nadziei, że skutecznie zasłonią jej twarz.

Wypowiadała to kłamstwo już kilkakrotnie, ale wciąż czuła się z nim nieswojo.

- Moi rodzice podróżują - odparła głośno tym samym tonem, którym posługiwała się czasem w szkole, gdy nie uważała na lekcji, a została wywołana do odpowiedzi. Był to rodzaj sztucznej pewności siebie, która miała w założeniu ukryć fakt, że Hazel kompletnie nie wie, o czym mówi. - Nie miałam co robić.

Przynajmniej częściowo było to prawdą, a Luke najwyraźniej kupił resztę.

- A z końcem lata? - wypytywał. - Wracasz do szkoły?

Popatrzyła na wodę i pomyślała o sterylnych korytarzach swojego liceum, o anonimowym bufecie, gdzie w samotności jadła lunch. Od tamtego wieczoru w Ferry Building do ukończenia szkoły pozostało jej zaledwie kilka miesięcy. Nie zastanawiała się zbytnio nad tym, co dalej. Dostała się na uczelnię plastyczną w wielkim mieście, ale wciąż nie miała przekonania co do sensu pobierania tam nauki. I nie potrafiła wyobrazić sobie mieszkania w Nowym Jorku.

- Nie mam pojęcia - westchnęła, a Luke się roześmiał.

Obok nich wylądowało frisbee, złapał je, spojrzał w stronę oceanu i odrzucił je krępemu chłopakowi ostrzyżonemu na jeża, wymachując nad głową drugą ręką.

- Witaj w klubie! - powiedział i otrzepał piasek spomiędzy palców. - Zawsze sądziłem, że w tym wieku będę lepiej zorientowany, czego chcę. Aż tak mnie to nie martwi, ale moja mama jest przekonana, że marnuję sobie życie, nie idąc na studia.

- A miałeś taki zamiar?

- W zasadzie tak. Zdecydowanie nie zamierzam zaciągnąć się do wojska, co według mojego taty powinienem zrobić.

Sam nie wiem. Rozmawiałem o tym z Rosanną. Tylko ona cokolwiek rozumie.

Przycisnęła kolana do piersi i oparła brodę na przedramionach.

- Wydaje się naprawdę fantastyczna - powiedziała, a w jej sercu walczyły ze sobą, tak jak poprzednio, konsternacja i duma. Uwielbiała, jak ludzie mówili miłe rzeczy o jej matce.

Ale w żołądku zaciskał się dobrze znajomy węzeł. Jeśli wszystkie te niesamowite opowieści, które słyszała na jej temat, były prawdziwe, jeśli Rosanna była tak pełna zrozumienia, szczodra i życzliwa, dlaczego ją oddała? Teraz, gdy widziała to wszystko, co ją ominęło, trudno jej było nie odczuwać jeszcze większego rozczarowania.

Luke głębiej zakopał pięty w piasku.

- Jest super! - powiedział bezpretensjonalnie. - Nie wiem, co by ze mną było, gdybym nie mógł wracać do tego miejsca co roku.

Hazel odwróciła głowę. Profil chłopaka jaśniał

pomarańczowym światłem płomieni ogniska. Nigdy nie rozmawiała z nikim w ten sposób, a co dopiero z chłopakiem.

Przemknęło jej przez myśl, że w prawdziwym świecie on jest od niej dwa razy starszy. Ale rozmawiało się z nim tak łatwo i swobodnie, że trudno było pamiętać, iż to wszystko nie dzieje się naprawdę.

Luke oderwał wzrok od oceanu, błysnęły białka jego oczu.

Chciała umknąć spojrzeniem, lecz nie potrafiła.

- Cieszę się, że zobaczyłaś to ogłoszenie w miasteczku. -

Uśmiechnął się, jego brązowe oczy patrzyły ciepło i zachęcająco. - Wiedziałem, że cioci Ro bardzo spodoba się twoja sukienka. - Przysunął się bliżej i szelmowsko trącił ją zgiętą w łokciu ręką.

Hazel odskoczyła i wyprostowała się jak struna.

- Cioci Ro? - powtórzyła.

Wciąż siedział pochylony w jej stronę, muskając dłonią jej palce.

- Rosannie - powiedział cicho. - Jest siostrą mojej mamy.

Po prostu czułem, że wy dwie...

Zerwała się na równe nogi jak oparzona, nieomal rozdeptując rękę Luke'a. Odwróciła się bez słowa i czmychnęła w stronę schodów.

- Co się stało? - zawołał za nią, podnosząc się z miejsca, gdy zaczęła piąć się po stopniach. - Dokąd idziesz?

- Muszę wracać! - krzyknęła przez ramię. - Przepraszam.

Muszę iść!

Czuła, że Luke depcze jej po piętach, przyspieszyła więc kroku, chcąc zwiększyć dzielącą ich odległość. Rosanna jest jego ciotką. On jest jej kuzynem. Dostała mdłości.

- Chcesz, żebym cię odprowadził? - zapytał. Obejrzała się za siebie. Jego szeroko otwarte oczy patrzyły badawczo i ze zdziwieniem. - Jest ciemno.

Przystanęła z dłonią opartą o splekaną poręcz.

- Nie - odparła. Świat wirował jej przed oczami. -

Potrzebuję zostać sama.

Stał jak wryty, przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę, po czym wsadził ręce w kieszenie, przygarbił plecy i cofnął na niższy stopień. Kopnął piasek, odwrócił się i ruszył z powrotem do ogniska.

Hazel obserwowała, jak się oddala; oddychała płytko i z trudem. Zaczęła wchodzić na górę, blade światło księżyca było jej jedynym przewodnikiem, gdy próbowała odnaleźć drogę.

Następnego dnia rano Hazel szła za Jaime do stajni, ziewając i wlokąc się przez trawnik noga za nogą. Była niewyspana. Gdy tylko zamykała oczy, widziała ten urażony wyraz twarzy porzuconego przy ognisku Luke'a. A potem wracały zawroty głowy i czające się gdzieś w brzuchu mdłości. W świetle dnia wydawało się to niemal zabawne. No jasne, pierwszy chłopak, na którym jej zależało, musi być jej krewnym. Jakżeby inaczej.

- Rosanna potrzebuje dzisiaj twojej pomocy - oznajmiła Jaime, zatrzymując się raptownie przed pracownią i szarpiąc siatkowe drzwi.

Hazel szybko podniosła wzrok, nie potrafiąc powstrzymać uśmiechu. Nie wiedziała, co uradowało ją bardziej: perspektywa spędzenia czasu z Rosanną czy całego dnia bez towarzystwa Jaime.

- Masz przygotować metki z ceną do kilku prac na pokaz

- dodała Jaime, pochylając się nad niskim mahoniowym stołem przy drzwiach i przerzucając wysoki stos papierów.

- Na pokaz? - powtórzyła Hazel, gdy Jaime dźwignęła ciężki czarny segregator i wcisnęła go jej w rękę.

- Jutro wieczorem - wyjaśniła, znalazłszy się już prawie za drzwiami - Rosanna organizuje w mieście pokaz prac. W

zeszłym roku ściągnęły tłumy ludzi, choć jestem w stu procentach przekonana, że przede wszystkim dla darmowej wyżerki.

Hazel pokiwała głową i otworzyła segregator. Masy arkuszy kalkulacyjnych i cyfr oddzielonych kolorowymi przekładkami i zakładkami indeksującymi. Poczwała, jak uśmiech zamiera jej na ustach, gdy wzrok padł na drobny druk. Kolejna robota papierkowa. Cóż za atrakcja.

- W kieszonce są nalepki - poinstruowała Jaime. -

Porównaj numery z cennika z tymi na odwrocie płócien. To nie jest wyższa szkoła jazdy.

Jaime wypadła przez drzwi i ruszyła w stronę lasu. Hazel patrzyła za nią, póki dziewczyna nie zniknęła pośród drzew, po czym ciężko rzuciła segregator na stół. Po raz pierwszy znalazła się sama w pracowni i nie miała zamiaru zmarnować takiej okazji, ślęcząc nad arkuszami kalkulacyjnymi.

Przynajmniej nie od razu.

Uklękała przy stole i zaczęła przeglądać stos obrazów Rosanny, z których część była ukończona i oprawiona w ramy, inne zaś na blejtramach, czekające na swoją kolej. Były tam pejzaże, z których wiele przedstawiało farmę i pobliskie stawy, oraz intymne portrety. Jednak nawet obrazy o szerszej tematyce zdawały się skupiać na osobie, twarzy.

Wyciągnęła niewielki portret starszego mężczyzny łowiącego ryby na nabrzeżu. Bruzdy na jego twarzy były głębokie, stapiały się z zarysem horyzontu za jego głową. Nie mogła wyjść z podziwu,

jak wielką ekspresję Rosanna zawarła w jego ciemnych, zadumanych oczach.

Po raz pierwszy od momentu przebudzenia się na promie pomyślała o swoim aparacie. Nigdy nie fotografowała ludzi, przenigdy. Nie poświęcała temu faktowi wiele uwagi, po prostu nigdy nie nadarzyła się okazja. Kogo miałyby poprosić o pozowanie? Przecież nie będzie zaczepiała nieznajomych na ulicy. Nigdy też nie widziała związku między fotografią a ludźmi na zdjęciach. Pstrykała zdjęcia, ponieważ tylko dzięki temu czuła, że istnieje. „Tu byłam”. Chodziło o zakotwiczenie się w danym momencie, podczas gdy wszystko inne zdawało się odpływać w dal. Była to dziwna, osobista relacja i nie potrafiła sobie wyobrazić, by mogło znaleźć się w niej miejsce dla kogokolwiek innego.

Jednak gdy tak przyglądała się poranej twarzy wędkarza, poczuła inspirację. Portrety miały w sobie wielką siłę. Może powinna

spróbować

poszerzyć

swe

fotograficzne

zainteresowania.

Oparła portret wędkarza o ścianę i wyprostowała się, przypadkowo potrącając stopą inne oprawione w ramy płótno i wywracając je na bok. Podniosła obraz i aż wstrzymała oddech, gdy zdała sobie sprawę, że płótno przedstawia Luke'a.

Kucał na dziobie małej żaglówki, mocował linę na metalowej knadze, w skupieniu zaciskał usta. W jego profilu udało się Rosannie wyeksponować dołek w policzku i figlarny błysk w oku.

Czym prędzej odstawiła obraz namalowaną stroną do tyłu i chwyciła ze stołu segregator. Czas zabrać się do pracy. Nie chciałyby zawracać sobie głowy naklejkami i cennikiem, kiedy zjawi się Rosanna.

Dwie godziny później, gdy wszystkie obrazy zostały zaopatrzone w naklejki z cenami, a Rosanny nadal nie było, Hazel zaczęło nużyć to czekanie. Jaime nie wyznaczyła jej następnego zadania, ona zaś miała powyżej uszu siedzenia tyle czasu w samotności. Do tego nie były jej potrzebne ani dobra wróżka pod postacią krawcowej, ani podróż w czasie, ani przemierzanie wszere całego kraju.

Odłożyła segregator na stół i ruszyła przez trawnik w stronę głównego budynku. Rozsunęła przeszkłone drzwi do kuchni, mając skrytą nadzieję, że zastanie tam Emmetta uzbrojonego w śniadaniowe smakołyki. Ale w domu panowała cisza. Jedyne odgłosami były ciche wirowanie wentylatora przy suficie oraz echo rozbijających się o skały fal.

Miała już dać za wygraną, gdy usłyszała szmer głosów na drugim końcu holu. Przeszła na palcach wzdłuż długiej obwieszanej fotografiami ściany. Było tam kilka zdjęć Rosanny i Billy'ego, wiele fotek Billy'ego z psem Busterem oraz jedno przedstawiające Luke'a z kobietą, która mogłaby być

bliźniaczą siostrą Rosanny - najwyraźniej jego mamą. To moja ciotka, pomyślała Hazel z dreszczem niedowierzania.

Wisiąło tam nawet zdjęcie Jaime, młodszej, radosnej, dosiadającej grzbietu karuzelowego konia.

Korytarz zakręcał do drugiego skrzydła budynku, a w miarę jak Hazel posuwała się naprzód, stąpając ostrożnie po wyfroterowanych deskach podłogi, głosy stawały się donośniejsze i przybierały na intensywności. Jeden brzmiał

dużo głośniej i gniewniej niż pozostałe, a ona uświadomiła sobie, że wszystkie dobiegają zza drzwi na końcu korytarza.

Dostrzegła cień migający w szparze pod drzwiami i zrobiła błyskawiczny zwrot w tył, ale było już za późno.

Drzwi otworzyły się na oścież, ze środka wypadła jak bomba Jaime z płonącymi policzkami i zaczerwienionymi oczami. Hazel odsunęła się na bok, mając już na końcu języka usprawiedliwienie, że potrzebowała skorzystać z toalety jednak, Jaime uciszyła ją jednym spojrzeniem.

Chwilę później w korytarzu pojawił się Luke, miał

ściągnięte brwi, zaciśnięte usta, wyraz powagi na twarzy.

- Jaime! - zawołał. Ale dziewczyna była już przy drzwiach frontowych. - Jaime, zaczekaj!

- Zostaw mnie w spokoju! - Hazel usłyszała krzyk przez otwarte okno w holu. Czowała na ramieniu oddech Luke'a, gdy patrzyli razem, jak dziewczyna znika w lesie.

- Pozbiera się - dobiegł zza ich pleców wątyły głos. Hazel odwróciła się. W otwartych drzwiach stała Rosanna.

Wyglądała na opanowaną, jak zwykle w swoim białym kardiganie z warkoczowym splotem i ciemnych dżinsach, lecz jej oczy wydawały się zmęczone, skóra bardziej ściągnięta, twarz zmizerowana.

Hazel nie widziała dotąd pokoju, z którego wyszła Rosanna, ale masywne komputery i ciemne skórzane meble kazały się jej domyślać, że jest to gabinet Billy'ego.

Rosanna położyła dłoń na ramieniu Luke'a i zacisnęła palce.

- Po prostu daj jej trochę czasu - poprosiła.

Jej wzrok padł na postać Hazel. Zatrzymała się, jak gdyby wążac w myślach, czy powinna dodać coś jeszcze, po czym weszła z powrotem do gabinetu. Drzwi zamknęły się za nią z lekkim trzaskiem.

Hazel stała jakby przyklejona do podłogi. Krew pulsowała jej w skroniach, nie wiedziała, co powiedzieć.

Luke wsadził ręce w kieszenie i utkwiał wzrok w drzwiach gabinetu. Zwiesił ramiona i wydawał się niższy niż poprzedniego wieczoru.

- W porządku? - zapytała Hazel. Czuła, że powinna się odezwać. Odkąd uciekła od niego przy ognisku, przynajmniej tyle była mu winna.

Luke podniósł wzrok, jak gdyby zapomniał o jej obecności.

- Tak - odparł, siląc się na uśmiech. - Przyda mi się trochę świeżego powietrza.

Kiwnęła głową i obserwowała, jak Luke rusza przed siebie.

- Idziesz? - zapytał przy wyjściu.

Zaskoczona tym zaproszeniem spiesznie dołączyła do niego na werandzie.

Szli ścieżką w stronę plaży, minęli drewniane schody przy klifie i wkroczyli między drzewa. Leśny dukt prowadził do polany i małego stawu, który Hazel rozpoznała z obrazu Rosanny.

Zerkała ukradkiem na Luke'a. Szedł ze spuszczoną głową i wydawał się nie widzieć nic poza swoimi japonkami w zielone paski.

- Przepraszam - odezwał się wreszcie i zatrzymał przy pochyłym drewnianym pomoście, który wcinął się w wodę. -

Czasem potrzebuję się przejść.

Stała obok niego, jej wzrok powędrował za jego spojrzeniem. Woda w stawie była nieruchoma, upstrzona liśćmi lilii. Wyglądała jak z obrazka.

- Nie szkodzi - rzekła Hazel. - Nie moja sprawa. Nie musisz nic mówić, jeśli nie chcesz.

Pokręcił głową. Jasne oczy były smutne i chmurne.

- Prędzej czy później i tak się dowiesz - powiedział. - A teraz jesteś częścią tutejszego życia. To jest także twoja sprawa.

Przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem poczłapał na koniec pomostu. Podreptała za nim, kręciło jej się w głowie.

Nigdy dotąd nie była częścią czegoś. Nawet gdyby miała usłyszeć złe wieści, nie potrafiła nie czuć maleńkiej iskierki nadziei na myśl, że zostanie w coś wtajemniczona.

Usiedli na skraju pomostu, zwieszając stopy nad wodą.

Odbicie rzędu wysokich drzew iglastych marszczyło się na powierzchni stawu, między nogami przefruwały ważki. Luke bawił się znalezionym patyczkiem, skubiąc drobinki drewna.

- Rosanna jest chora - powiedział. - Ma raka.

Hazel zamarło serce, dłonie nagle zrobiły się zimne.

Zamknęła oczy, powróciła myślami do tamtego wieczoru przed opuszczeniem Kalifornii. Do rozmowy podsłuchanej przy bufecie.

„Wszystko potoczyło się tak szybko”.

„Rosanna była taka silna”.

Jej śmierć wydawała się nagła. Była zaskoczeniem. Hazel w ogóle nie przemknęła przez myśl możliwość, że choroba zaczęła się osiemnaście lat wcześniej.

- Jesteś... - czuła gonitwę myśli, nie wiedziała, o co właściwie chce zapytać. - Jesteś pewien?

Skinął głową.

- Wiedzieliśmy wszyscy już od pewnego czasu - wyjaśnił.

- Ale teraz się pogorszyło. Potrzebna jest kolejna terapia, lecz lekarze nie są pewni, czy zadziała.

Hazel wpatrywała się w drzewa za Lukiem, jego profil rozmył się w niewyraźną smugę. Nagle przetoczyła się przez nią fala ulgi, wygładzając bruzdę na czole, rozluźniając mięśnie, które bezwiednie napięła.

Zadziała, pomyślała. Lekarze się mylą. Choroba się nie rozwinie, przynajmniej na razie. Rosanna ma przed sobą jeszcze osiemnaście lat życia. A kiedy alternatywą jest dzień jutrzejszy, osiemnaście lat to szmat czasu.

Szybko przeniosła spojrzenie na Luke'a, patrząc szeroko otwartymi i pełnymi nadziei oczami. Ale nie mogła zupełnie nic powiedzieć. Jak wytłumaczyć, że wie to, co wie. I nie wyjść przy tym na wariatkę.

- Przykro mi - wydusiła wreszcie. I naprawdę tak było.

Żałowała, że nie może zrobić nic, by zrozumiał, że nie jest tak źle, jak wszyscy się obawiają.

- To nie wszystko - powiedział cicho. - Sprzedają tę posiadłość. Rosanna będzie musiała być cały czas w San Francisco, do zakończenia terapii. A potem jeżdżenie tam i z powrotem będzie dla nich zbyt dużym obciążeniem. Moja mama dziwiła się nawet, że Rosanna wybiera się tu w tym roku - mówił w zadumie, patrząc na wodę. - Pewnie chcieli się z tym miejscem pożegnać.

Zacisnęła palce na krawędzi pomostu. Tak bardzo pragnęła mu powiedzieć, że nie będzie musiał się żegnać.

Jeszcze nie teraz. Miała nawet ochotę pobiec i poszukać Jaime, by i jej zdradzić dobrą nowinę.

- Jaime przyjęła to chyba najgorzej - rzekł Luke, jak gdyby czytał w jej myślach. - Jako jedyna z nas mieszka tu przez cały rok. I zawsze były sobie z Rosanną bliskie.

Hazel pokiwała głową. Pamiętała, jak wybiegła z Ferry Building i płakała na promie. Wydawało się jej, że nie ma nic gorszego niż stracić kogoś, zanim jeszcze miało się okazję tę osobę poznać. Teraz zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest w błędzie. Może trudniej jest wtedy, gdy się kogoś zna.

Luke poruszył się i pochylił do przodu, by wrzucić patyczek do stawu.

- W każdym razie - podsumował - uznałem, że powinnaś wiedzieć. Prawdę mówiąc, pewnie zatrudniła cię przede wszystkim z tego względu. Rosanna i Jaime będą potrzebowały dużej pomocy przy przygotowywaniu wszystkiego.' Nie będzie łatwo.

Mówił głosem łagodnym, ale pobrzmiewał w nim jakiś dystans. Jakby rozmawiał z koleżanką z pracy. Spojrzała mu prosto w twarz. W jego oczach wciąż płonęły iskierki, ale wydawały się przygaszone i dalekie. Czuł się przy niej skępowany, ona zaś wiedziała dlaczego.

-

Luke...

Przepraszam

za

wczorajszy

wieczór.

Natychmiast spłoszył, różowe plamy rozlały się po gładkiej, opalanej skórze. Błyskawicznie umknął wzrokiem nad wodę.

- Nie przejmuj się - bąknął. - Rozumiem. Roześmiała się nerwowo, zanim zdołała się powstrzymać.

- Nie - zaprzeczyła. - Nie rozumiesz. Ale mniejsza o to.

Chcę tylko, żebyś wiedział, że to nie tak, jak myślisz. Jesteś...

świetny. Naprawdę świetny. A ja oczywiście ze swej strony pomogę. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Dobrze?

Zerknął na nią, ściągając z konsternacji brwi.

- Tak - odparł z wahaniem. - Dobrze. Dzięki. Hazel przygryzła wargę i machała nogami nad taflą wody.

- Powiniennem wracać do pracy - powiedział, gramoląc się z pomostu. - To do miłego.

Uśmiechnęła się.

- Będę w pobliżu - zapewniła.

Pomachał jej na pożegnanie i ruszył w stronę oceanu.

- Luke! - zawołała za nim z pomostu. Odwrócił się.

- Tak?

Przełknęła ślinę i odgarnęła zbłąkany kosmyk włosów, który przykleił się do policzka.

- Będzie dobrze - powiedziała. - Okej ?

Pokiwał głową i pomachał do niej ponownie, a następnie zniknął za drzewami.

Znów patrzyła na wodę. Zaczęła bardziej energicznie machać stopami, czując, jak bosa pięty muskają chłodną, wilgotną powierzchnię.

Teraz wszystko nabrało sensu. Rosanna wiedziała już, że jest chora. Sądziła, że nie zostało jej wiele czasu. Dlatego oddała Hazel. Nie chciała, by córka dorastała bez matki, postąpiła więc tak, jak musiała. Znalazła dla niej nową mamę.

To jedyne możliwe wytłumaczenie. Bo dlaczego ktoś tak cudowny i najwyraźniej w pełni przygotowany na macierzyństwo miałby zrezygnować z wychowywania własnego dziecka?

Hazel zerwała się z miejsca. Po raz pierwszy od przebudzenia na promie poczuła, że wie, w jakim celu wysłano ją na wyspę.

Najpierw jednak będzie potrzebowała drugiej sukienki.

Rozdział 12

Słońcu nie spieszyło się do zachodzenia. Hazel przycupnęła na skraju łóżka, podrygując kolanami. Po kolacji

- kotlecikach krabowych i letniej sałacie Emmetta, które zjedzono na patiu - pognęła do domku dla gości i zamaszystym ruchem otworzyła szafę. Jaime zniknęła jeszcze przed deserem. A Hazel kamień spadł z serca. Nie miała pojęcia, jaką wymyśliłaby wymówkę, gdyby Jaime przyłapała ją siedzącą samotnie w pokoju, wystrojoną w wieczorową suknię i gapiącą się przez okno. Nie była to bowiem sukienka, a prawdziwa suknia. Uszyta z różowego jedwabiu, z delikatnymi akcentami: stonowanym kwietnym szlaczkiem wokół rąbka oraz delikatnym łańcuszkiem zwisającym przy klamercie. Hazel zaparło dech w piersi, gdy wyjęła ją z pokrowca. Była to bezsprzecznie najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziała.

Ale tłumaczenie się z takiego stroju zakrawałoby na koszmar.

Dlatego czekała do zmierzchu. Gdy słońce w końcu schowało się za płonący różowo horyzont, a okolicę spowił

cień, wybiegła bosą z domku i skierowała kroki ku leśnej ścieżce.

Od razu wiedziała, że celem jej wędrówki jest staw. Było to idealne miejsce na wypowiedzenie drugiego życzenia.

Przecież to właśnie tam zaświtał jej ten pomysł, a nieruchoma tafla wody oraz osłona strzelistych drzew przydawały otoczeniu jakiejś magii.

Szła ścieżką w stronę pomostu, na którym siedziała wcześniej z Lukiem. Księżyc w pełni świecił białą na atramentowym niebie. Zamknęła oczy, leciutki wietrzyk szeleścił chłodnym jedwabiem ocierającym się o nogi.

Była gotowa wypowiedzieć życzenie. Przez całe popołudnie zastanawiała się nad doborem słów, idealnym wyrażeniem. Gdyby tak Rosanna wiedziała. Gdyby wiedziała, że ma przed sobą całe osiemnaście lat, nie byłaby tak przerażona. A kiedy zorientowałyby się, że spodziewa się dziecka - co, jeśli jeszcze nie nastąpiło, a musiało nastąpić już wkrótce - nie oddałyby jej do adopcji. Zostawiłyby ją przy sobie. Hazel była tego pewna.

I

wszystko

mogłoby

się

potoczyć

inaczej.

Wychowywałyby pod opieką swoich prawdziwych rodziców.

Kochano by ją, otaczano troską, nie przerzucano z miejsca na miejsce jak zagubiony bagaż. Dorastałaby pośród pewników zamiast samych niewiadomych. Mając wyobrażenie, kim jest.

Właśnie tego zawsze pragnęła, a teraz nadarzała się okazja, by to pragnienie urzeczywistnić.

Hazel przez cały dzień przypominała sobie treść listu Posey. Życzenie całkowitego wyleczenia Rosanny nie wchodziło w rachubę; była to sprawa zbyt poważna, zbyt

„uniwersalna”. A gdyby tak wyrazić życzenie, by Rosanna dokonała innego wyboru? By zatrzymała ją przy sobie i wychowywała ją tak długo, jak długo byłaby w stanie!

Odetchnęła głęboko. Widziała słowa, zapalające się w jej głowie jak świetliki. Już miała wypowiedzieć je na głos, gdy usłyszała ciche kwilenie dochodzące gdzieś zza jej pleców.

Z początku wydawało się jej, że to ptak. Otworzyła oczy i rozejrzała się, czekając na kolejny dźwięk. Ale wszędzie panowała cisza.

Znów odwróciła się w stronę stawu i zamknęła powieki.

Gdy tylko uspokoiła nerwy, nabierając w płuca powietrza, odległe kwilenie powróciło, a tym razem towarzyszył mu szelest liści.

Hazel uniosła rąbek sukni i wróciła na brzeg, stary pomost skrzypiał pod jej stopami.

Dźwięk przybierał na sile, szła za nim skrajem bagniska.

Tuż za kępą buków stała zardzewiała metalowa ławka. Na jej skraju kuliła się jakaś postać, a po zarysie ciemnych, przypominających sprężynki loków zorientowała się, że to Jaime.

Stała jak wryta. Jaime jej nie zauważyła. Był jeszcze czas zawrócić. Jaime prawdopodobnie i tak wolałaby zostać sama. Przez cały dzień była poirytowana i zamknięta w sobie.

Może Hazel udałoby się wymknąć z powrotem do domku dla gości, a Jaime nawet by się nie

zorientowała, że ktoś tu był.

Lecz nogi jakby odmówiły jej posłuszeństwa i nie chciały pójść w żadną inną stronę poza spowitą w mroku ławką. Serce wiedziało dlaczego. Hazel dość się napłakała w samotności i ani razu nie dziękowała losowi, że przechodzi przez to sama jak palec. Nawet nieprzemyślane słowa są lepsze niż ich brak.

- Jaime? - odezwała się cicho, stając przy drugim końcu ławki z kutego żelaza. Nie było to szczególnie wygodne siedzisko, a Hazel nie mogła się nadziwić, jaka drobna wydawała się Jaime skulona między szerokimi metalowymi prętami. - Nic ci nie jest?

Jaime siedziała z głową wtuloną w rękaw bluzy z kapturem i nawet się nie poruszyła.

- A wyglądam na kogoś, komu nic nie jest?

Hazel obejrzała się na staw, po drugiej stronie majaczył

dwuspadowy dach domku. Mogła wypowiedzieć życzenie i być już dawno w swoim pokoju. Gdyby tylko się nie zatrzymywała.

- Chcesz, żeby tu kogoś przyprowadzić? - zapytała Hazel.

Może gdyby mogła przekazać Jaime komuś innemu, jakiejś osobie, z którą Jaime zechciałaby rozmawiać, mogłyby udawać, że ta sytuacja nigdy się nie przydarzyła. - Rosannę?

Jaime prychnęła, sarkastyczny śmiech wstrząsał jej ramionami, przechodząc stopniowo w cichy, przeciągły szloch. Hazel odwróciła wzrok. Było coś niestosownego w patrzeniu, jak płacze ktoś tak twardy jak Jaime, coś takiego w ogóle nie powinno mieć miejsca. Jaime po raz pierwszy dała się zaskoczyć, nawet jeśli stało się to przypadkowo, Hazel zaś rozumiała, że obecny stopień wtajemniczenia nie pozwala jej tak po prostu odejść.

Powoli usiadła na ławce obok płaczącej dziewczyny. Choć wiedziała, że są ludzie typu „po prostu bądź przy mnie, kiedy płacę”, miała silne przeczucie, że Jaime do nich nie należy.

Trzeba będzie coś z siebie wykrztusić.

- Luke powiedział mi o Rosannie - zaczęła cichym, niskim głosem. Tak cichym, że kiedy Jaime nie zareagowała, Hazel zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle ją usłyszała. -

Przykro mi - dodała, tym razem głośno, głos się jej łamał.

Jaime odwróciła głowę, oddychała płytko i nierówno.

Hazel ścisnęła kolana i zaczęła od nowa.

- Mieszkasz tu od dość dawna, prawda? Na pewno ciężko myśleć o odejściu.

- Guzik mnie to obchodzi! - fuknęła Jaime, pociągając nosem i ocierając mokre kąciki oczu. - W ogóle nic mnie nie obchodzi, jasne?

Hazel poczuła pulsowanie krwi w żyłach. Coś w głosie dziewczyny brzmiało bardzo znajomo. Chłód, zagubienie, rezerwa. Był to głos, który słyszała w sobie przez tak wiele samotnych nocy. Przekonując samą siebie, że nic się nie liczy.

Ze nic nikogo nie obchodzi. Dlaczego miałoby obchodzić akurat ją?

- Jaime - ponowiła próbę, chwytając się chłodnego oparcia ławki. - Wiem, że cała ta choroba Rosanny przeraża. I wiem, jak wiele ta osoba dla ciebie znaczy, ale...

- Nic nie wiesz! - wybuchnęła Jaime i odwróciła twarz w stronę lasu, kołysząc ramionami opartymi na kolanach zgiętych nóg.

Hazel siedziała obok niej w milczeniu. Jaime jest w błędzie, Hazel wie bardzo wiele. Nie mogła jednak nic więcej powiedzieć, a jej blade wyrazy współczucia najwyraźniej pogarszały jedynie sytuację. Westchnęła, gotowa do odejścia, lecz coś kazało jej podjąć jeszcze jedną, ostatnią próbę.

- Posłuchaj, wiem, że za mną nie przepadasz. Ale jeśli kiedykolwiek będziesz miała potrzebę o tym pogadać...

- Nie będę! - wypaliła Jaime, podnosząc głowę i zwracając ku niej wściekłe spojrzenie zaczerwienionych oczu.

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać. Przecież nawet cię nie znam! Jak miałabym cię polubić? Najlepiej zostaw mnie w spokoju!

Twarc Hazel płonęła. Wstała z ławki. Zamiast próbować pocieszać Jaime w ciemnościach, mogłaby robić tysiąc innych rzeczy. A teraz jeszcze na nią krzyczą? Za to, że stara się być życzliwa?

Pokręciła głową i ruszyła w stronę pomostu. Była już nad brzegiem stawu, gdy usłyszała głos Jaime. Dziewczyna wciąż chowała twarz w ramionach, zatem słowa były ciche i stłumione. Hazel stanęła.

- Mówiłaś coś? - zapytała półgłosem, mając nadzieję, że tylko się jej wydawało.

Jaime uniosła głowę i spojrzała na Hazel. Szeroko otwarte oczy ziały pustką, ramiona uniosły się, gdy wzięła głębszy, uspokajający oddech.

- Zabiję cię, jeśli komuś wypaplasz - rzekła. - Nie żartuję!

Hazel pokiwała głową. Poczwała, jak napina się jej skóra na czole, oczy piekły od długiego niemrugania.

- Okej! - odezwała się wreszcie. - O co chodzi? Jaime spoglądała w dal na wodę. Świecący nad stawem księżyc odbijał się w jej oczach, skóra na twarzy wydawała się miękka i gładka. W ciszy i księżycowym blasku nie pozostawało miejsca na jakiegokolwiek wątpliwości. Była piękna. Jeszcze raz

odetchnęła głęboko i tym razem spojrzała na Hazel.

- Nie martwi mnie konieczność wyprowadzki. Nawet nie denerwuję się Rosanną. To nie nerwy - powiedziała z naciskiem. - To ciąża.

Rozdział 13

Poczekaj tu - rzekła Jaime następnego dnia rano. - Jeśli czegoś zaraz nie zjem, to się zrzygam. Hazel stała przed obłożoną deskami budą w porcie, obserwując tępo, jak z promu wyjeżdżają tłumnie samochody powracające z wyspy na ląd. Poprzedniego wieczoru zgodziła się pojechać z Jaime do kliniki, nie zdając sobie sprawy, że będzie to wymagało wzięcia wolnego od pracy dnia, wyprawy autobusem do miasta, powrotu promem i sterczenia na przystanku autobusowym przez niemal cały ranek.

Jaime wróciła z kupionym w automacie batonem i klapnęła na drewnianą ławkę. - Nie wierzę, że dałam ci się na to namówić.

Hazel przewróciła oczami.

- Nie możesz poprzestać na jednym teście z apteki -

powiedziała. Co prawda, nie była zbyt zorientowana w temacie, ale na podstawie kilku filmów telewizyjnych i niesłuchanie krępującego semestru zajęć ze zdrowia i biologii wydawało się, że badanie lekarskie powinno być następnym istotnym krokiem. - A jeśli tak okropnie boisz się pójść do kliniki na wyspie...

- Mówiłam ci, że się nie boję - syknęła Jaime. - Po prostu nie mam ochoty się z tym patyczkować. Sekretarka stamtąd uczyła mnie w czwartej klasie. A pielęgniarka jest macochą Maury.

Dzień był wyjątkowo słoneczny, woda się skrzyła. Fakt, że Hazel zgodziła się odbyć tę wycieczkę z Jaime, wydawał

się wręcz surrealistyczny. Ale w zasadzie nie bardzo mogła odmówić. Gdyby Jaime miała się do kogo zwrócić, toby to zrobiła. Hazel nie schlebiała sobie mniemaniem, że została wybrana na pierwszym miejscu.

Autobus wreszcie nadjechał. Jaime zajęła miejsce z przodu, moszcząc się przy oknie. Hazel patrzyła, jak wyjmuje zdezelowanego discmana - ona sama ledwo przypominała sobie epokę sprzed iPodów - i włożyła na uszy czarne pękate słuchawki. Hazel znalazła wolne miejsce w drugim rzędzie foteli.

Czuła częściowo ulgę, że nie będzie musiała silić się na rozmowę, ale z drugiej strony cisnęło się jej na usta tak wiele pytań. Jak to się stało? Kto jest ojcem? Czy chłopak, o którym napomknął Emmett? Dlaczego jeszcze nigdy go nie widziała?

Wyrzała przez okno, opierając się w fotelu, gdy autobus wziął ostry zakręt i wyjechał z parkingu. Co ona tu robi? Nie czuła się kompetentna do udzielania jakichkolwiek rad, zwłaszcza że Jaime wcale o to nie prosiła. Hazel całowała się w życiu tylko z jednym chłopakiem, Maxem, sąsiadem z San

Francisco, który ciągle zapraszał ją na gry wideo, gdy rodzice byli w pracy. Doszło do tego tylko raz, a trwało niewiele ponad sekundę. Później go unikała, wybierając okrężną drogę do następnej przecznicy, żeby tylko ominąć jego blok, i na tym się skończyło.

W całej tej sytuacji nie było za grosz sensu. Zaczynała już przywykać do myśli, że obudziła się w przeszłości, na drugim krańcu kraju i dostała szansę poznania swojej matki. A co robi teraz? Jeździ na wycieczki z Jaime, jedyną osobą, od której próbuje trzymać się z daleka od momentu wylądowania na wyspie.

Nie chodziło o to, że nie było jej żal Jaime. Było. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jakie myśli kłębią się w głowie dziewczyny. Rosanna zachorowała, sprzedawali posiadłość, a teraz na dobitkę jeszcze to? Jednak cała ta eskapada wydawała się gigantyczną stratą czasu.

Autobus zahamował z piskiem, wysiadły na przystanku.

Falmouth Center okazało się uroczym małym miasteczkiem ze sklepami z pamiątkami i kawiarniami podobnymi do tych na Martha's Vineyard. Ale chociaż Hazel spędziła na wyspie zaledwie kilka dni, z miejsca wyczuła różnicę. Może polegała na innym tempie życia. Albo na podświadomej wiedzy, że to miejsce jest połączone z resztą kraju, w przeciwieństwie do wyspy, gdzie miało się nieustanne wrażenie dryfowania. Nie wiedziała dlaczego, ale już za nią tęskniła:

Jaime dała susa na drugą stronę dwupasmowej ulicy, a Hazel pomknęła za nią, by nie zostać w tyle. Stał tam lekko cofnięty od ulicy niewielki budynek z cegły, na którego froncie kołysał się owalny szyld. BEZPŁATNA KLINIKA DLA KOBIET W FALMOUTH. Zatrzymała się przy szyldzie, bacznie mu się przyglądając.

- Co tam marudzisz? - zołdkowała się Jaime ze szczytu schodów. - Może daj lepiej ogłoszenie do gazety? Jaime Wells zaciążyła!

Podbiegła pod drzwi. Jaime stała z ręką na klamce, patrząc na swoje brudne tenisówki. Była w stroju roboczym, połatanych, obciętych džinsach i spłowiałej czerwono -

niebieskiej koszulce Coca - Coli. Nie wyglądała na osobę, którą wpuszczono by na film dozwolony od lat 15, a co dopiero na kogoś, kto ma powód do wizyty w klinice dla kobiet. Bezpłatnej czy nie.

Hazel weszła pierwsza i otworzyła drugie drzwi.

- Gotowa? - zapytała, starając się ze wszystkich sił

okazywać życzliwość i wsparcie.

Jaime przewróciła oczami i wepchnęła się do środka.

- Rusz się!

W poczekalni kliniki panował tłok i gwar, czego nie zakładał ich plan. Młode matki (w większości nie tak młode jak Jaime, ale zdecydowanie jeszcze niedorosłe) pchały wózki i podrzucały na

kolanach rozkapryszone niemowlaki. Na niskiej sofie w rogu leżała kobieta bliska rozwiązania, z przyłożonym do czoła ręcznikiem. W zasadzie atmosfera w poczekalni mogła kojarzyć się z publicznym wiecem na rzecz przedmałżeńskiej wstrzemięźliwości.

Albo wiecznej wstrzemięźliwości.

Jaime szybko zlustrowała pomieszczenie, a uznawszy, że nie rozpoznaje żadnej znajomej twarzy, ruszyła w stronę recepcji. Tęga kobieta o mocno kręconych jasnych włosach i zbyt mocno wytuszowanych rzęsach podała Jaime podkładkę z formularzem.

- Proszę to wypełnić i usiąść - poleciła między jednym a drugim łykiem gazowanego napoju pomarańczowego z puszki.

Hazel znalazła dwa wolne miejsca przy drzwiach. Usiadła w milczeniu, Jaime zaś studiowała formularz, wściekle postukując końcem długopisu o metalową klamerkę podkładki. Po przekątnej siedziała para młodych ludzi mniej więcej w ich wieku. Dziewczyna miała proste czarne włosy do pasa, chłopak ścisnął poręcze krzesła, jakby tylko one powstrzymywały go przed ucieczką. Oboje rozpaczliwie próbowali nie nawiązywać kontaktu wzrokowego ani ze sobą, ani z nikim innym. Hazel głośno przełknęła ślinę i wbiła wzrok w brudną szarą wykładzinę. Młoda para wyglądała tak, jakby miała niejedno do powiedzenia, Hazel zaś była absolutnie pewna, że nie chciałaby tego usłyszeć.

- No to wkrótce będzie po zawodach - odezwała się zniecka Jaime. - Po wizycie będę wiedziała na sto procent.

Hazel podniosła na nią wzrok, wyęzając umysł w poszukiwaniu jakichś słów otuchy.

- Lepiej wiedzieć, niż... mmm... nie wiedzieć - brzmiała jej wymuszona konstatacja.

Jaime zwróciła ku niej twarz. Miała mocno podkrążone oczy, kręcone włosy sterczały przy skroniach. Wyglądała na przerażoną.

- No, no! - rzuciła oschłym tonem. - Mam nadzieję, że nie wiążesz

swojej

przyszłości

z

wygłaszaniem

mów

motywacyjnych.

Hazel aż skręciło, ale nagle kąciki ust Jaime wygięły się do góry i dziewczyna się roześmiała. Tego dźwięku Hazel dotąd nie słyszała i może za sprawą szoku doznanego na widok wesołej Jaime także

parsknęła śmiechem, nim zdążyła się zorientować, co się dzieje. Po chwili musiały zasłaniać sobie usta, żeby nie ryczeć na całe gardło. Nagle Hazel poczuła, że znów oddycha pełną piersią. Nie potrafiła sobie uzmysłowić, od jak dawna się nie śmiała.

- No dobra! - powiedziała Jaime, biorąc kolejny głęboki oddech i wypuszczając stopniowo powietrze z płuc. - Raz kozie śmierć.

Położyła formularz na poręczu krzesła i wstała, odpychając się rękami. Podkładka spadła na podłogę, Hazel się po nią schyliła. Gdy podawała ją Jaime, coś przykuło jej uwagę, przytrzymała ją zatem chwilę dłużej.

- Co robisz? - zapytała Jaime, szarpiąc podkładkę. Ale Hazel nie wypuściła jej z dłoni. Utkwiła wzrok w drukowanym formularzu i nagle wszystko dookoła niej ucichło. Świdrujące w uszach piski zniecierpliwionych dzieci, przyciszone rozmowy, nijaka muzyka dobiegająca przez ściany z windy. Wszystko się zatarło, Hazel widziała tylko dwa słowa.

Na samej górze formularza, gdzie powinno figurować nazwisko Jaime, były wpisane dwa słowa. Dwa słowa, które Hazel już widziała.

W rubryce „imię i nazwisko pacjentki” widniało: ROSANNA SCOTT.

Dwa słowa, które już raz odmieniły życie Hazel, miały uczynić to po raz kolejny.

Rozdział 14

Przeszkadzam?

Hazel siedziała skulona za zielonym kontenerem na śmieci przy budynku kliniki, gdy usłyszała głos Jaime. Oparła się ręką o ceglana ścianę, dźwigając swoje ciężące ku dołowi ciało.

Wszystko, co wydarzyło się od chwili wybiegnięcia na oślep z kliniki, całkowicie zatarło się w pamięci.

Przypominała sobie widok pleców Jaime oddalającej się długim korytarzem, a potem ni stąd, ni zowąd znalazła się na klęczkach za kontenerem, męczyły ją mdłości, przed oczami skakały plamki.

W głowie huczało, rwące się, niespokojne myśli domagały się uwagi.

Rosanna jest moją matką.

Rosanna nie jest moją matką.

Moją matką jest Jaime.

To po prostu niemożliwe. Jaime jest za młoda. I zupełnie niepodobna do Hazel.

Jaime jest złośliwą małpą.

Tak czy owak, jedno było pewne: że ta mała stoi właśnie za przyciętym nisko żywopłotem, jej twarz pojawia się i znika między gałęziami krzewów, oczy są wpatrzone w Hazel.

- Co ty tam wyprawiasz? - zapytała ostrym i zdumionym głosem, gdy Hazel powlokła się w stronę wąskiej ścieżki.

- Nic! - burknęła w odpowiedzi, ocierając usta rękawem cienkiego bawełnianego sweterka. - Zrobiło mi się trochę niedobrze po tej przeprawie promem.

Jaime skrzyżowała ramiona, przecinając na pół obrazek butelki coca - coli zdobiący koszulkę. Przewróciła oczami i sięgnęła do kieszeni.

- Wygląda na to, że teraz ja będę miała monopol na poranne mdłości - rzekła beznamiętnie, wciskając Hazel w rękę pakiet złożonych kartek papieru. Odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie, zostawiając ją z dokumentami.

Zawierały informacje o klinice, wymaganych badaniach, wizytach lekarskich oraz listę publikacji do przeczytania.

Czego oczekiwać, gdy spodziewasz się dziecka. Hazel znów popadła w chwilowe odrętwienie, przeszył ją ostry ból w boku.

- Idziemy, Blondi! - zawołała Jaime ze środka jezdni. -

Musimy zdążyć na prom.

- Czekaaj! - odpowiedziała na tyle głośno, by Jaime mogła ją usłyszeć.

Starsza para w kabriolecie zahamowała z piskiem opon, gdy Jaime dała susa z powrotem na chodnik.

- No, co jest? - złościła się.

Hazel stała, nie odrywając wzroku od trzymanyh w ręku dokumentów, po czym spojrzała na Jaime znużonym, ale czujnym wzrokiem.

- Rosanna - wykrztusiła. - Dlaczego posłużyłaś się jej nazwiskiem?

Dziewczyna znów skrzyżowała ręce i wzruszyła ramionami, jak gdyby chodziło o błahostkę.

- Nie wiem - mruknęła. - Pewnie z nerwów. Przecież Rosanna nigdy się tu nie zjawi. Nie może mieć dzieci.

Rzuciła zniecierpliwione spojrzenie, a Hazel poczuła, jak schodzi z niej całe powietrze.

- Nie może mieć dzieci? Ale... dlaczego?

Głowa pękała jej z bólu. Jaime na pewno się myli.

Rosanna jest jej matką. Musi tak być.

Jaime wzniosła oczy do nieba i wyrzuciła w górę ramiona.

- Nie znam szczegółów, wiem tylko, że nie może zająć w ciążę. W przeciwnym razie, po co by nas wszystkich tyle czasu trzymała? Roboty nie ma tam aż tyle. - Obejrzała się na przystanek autobusowy.
- Proszę, czy możemy już iść?

Hazel przełknęła ślinę, apatycznie skinęła głową i przeszła przez ulicę.

Na promie prawie się do siebie nie odzywały. Jaime osunęła się na krzesło w kabinie i od razu zaczęła grzebać w torbie w poszukiwaniu słuchawek, tymczasem Hazel postanowiła przejść się po pokładzie. W żaden sposób nie była w stanie usiedzieć spokojnie i patrzeć na dziewczynę, która nagle okazała się jej matką. Prom nie zdążył jeszcze odbić od nabrzeża, a już poczuła, że zanosi się na najdłuższe trzy kwadransy w jej życiu.

Weszła na górny pokład. Znalazła wolne miejsce w pierwszym rzędzie niskich plastikowych krzeseł, gdzie najmocniej dmuchało. Gwałtowne porywy morskiego wiatru ledwo pozwalały otworzyć oczy, ale jej to nie przeszkadzało.

Przynajmniej mogła zмагаć się z czymś realnym.

Powróciła myślami do zatłoczonej poczekalni. Jaime posłużyła się w klinice nazwiskiem Rosanny. To zaś oznaczało, że wszystkie informacje w karcie zdrowia będą figurowały pod tym nazwiskiem. Co z kolei znaczyło, że przy przekazywaniu dokumentacji medycznej do szpitala, w którym urodziła się Hazel, na jej akcie urodzenia wpisano nazwisko Rosanny, a nie Jaime. Czy się jej to podobało, czy nie, jej matką była Jaime.

A nie podobało się jej ani odrobinę. Nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje, lecz jedynym uczuciem, które potrafiła w tej chwili zidentyfikować, jedynym uczuciem, które potrafiła nazwać, była wściekłość. Roznosiła ją złość na Jaime. Za to, że była tak lekkomyślna. Najwyraźniej postanowiła iść z kimś do łóżka bez zabezpieczenia. Albo przynajmniej użyła go w niewłaściwy sposób. Hazel nie miała, co prawda, wielkiego doświadczenia, nie potrafiła jednak sobie wyobrazić, by ona sama zachowała się równie niefrasobliwie.

Przede wszystkim dlatego, że nie wyobrażała sobie nic gorszego niż urodzenie dziecka w tak młodym wieku.

Wszystko wskazywało na to, że główną ludzką aktywnością są zmienność i popełnianie błędów. W szkole chodziła korytarzem ze spuszczoną głową, ukradkiem obserwując pary trzymające się za ręce w szatni albo liżące się w ciemnych kątach za salą gimnastyczną. I choć wiedziała, że gdzieś pewnie tkwi w niej jakaś odrobina zazdrości, zwykle czuła się z tym lepiej. Ponieważ kilka miesięcy czy nawet tygodni później patrzyła, jak te same osoby ciskają na siebie gromy z oczu z dwóch przeciwnych krańców stołówki, bo coś się między nimi popsuło. A psuło się zawsze, zawsze.

Później, kiedy każda połówka pary postanawiała zacząć wszystko od nowa, Hazel nadal przyglądała

się temu z boku.

Trzymaniu nowych rąk, całowaniu nowych twarzy i udawaniu, że tym razem uczucie będzie trwało.

Kto chciałby powoływać dziecko na taki świat? Co ta Jaime sobie wyobrażała? To wszystko nie miało sensu.

Rosanna to co innego. To ona miała być jej matką. Były do siebie podobne. Miały podobne zainteresowania. Nie wspominając o tym, że Rosanna była zamężna i ustatkowana oraz wystarczająco dorosła, żeby zostać jej matką.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej sobie uświadamiała, że nie jest wściekła tylko na Jaime. Jest także wściekła na Rosannę. Dlaczego nie mogła zajść w ciążę? Dlaczego to ona nie mogłaby być jej matką? Wiedziała, że to nie fair, a już z pewnością nie było w tym winy Rosanny, ale nie umiała się opanować. Czuła tak i już.

Otworzyła oczy i podeszła do relingu. Faliste kontury wyspy zaczynały wyłaniać się na horyzoncie. Zaczerpnęła w płuca powietrza i weszła do środka. Jaime spała, podciągnąwszy pod brodę kościste kolana. Sznurówka tenisówki rozwiązało się i niemal dotykało pokrytej linoleum podłogi.

Bez zastanowienia sięgnęła po aparat. Wrzuciła go wczoraj do torby, zainspirowana portretami w pracowni Rosanny.

Podniosła aparat do oka, kadrując twarz pogrążonej we śnie Jaime. Lecz jej wzrok przyciągnęła niczym magnes niezasznurowana tenisówka. W zwisającym sznurówadłe było coś smutnego, a zarazem młodzieńczego.

Skomponowała kadr w wizjerze i zrobiła zdjęcie. Jaime ani drgnęła. Odłożyła aparat i usiadła w kabinie. Za sprawą tego jednego pstryknięcia coś w niej złagodniało. Nie mogła winić Jaime za to, że była taka wystraszona. Może podanie nazwiska Rosanny było jej sposobem samoobrony. Sposobem na odseparowanie się od zaistniałej sytuacji na tak długo, jak to możliwe.

Hazel wyobrażała sobie, że sama mogłaby zachować się podobnie w takich okolicznościach.

W dodatku trudno było gniewać się na kogoś tak przerażonego i samotnego.

Zwłaszcza gdy ten ktoś miał zostać jej matką.

Rozdział 15

W natłoku porannych zajęć Hazel kompletnie zapomniała o wieczornym pokazie Rosanny. Jaime miała popołudniową zmianę w lodziarni, więc sama złapała autobus i dotarła w sam raz na czas, by pomóc Luke'owi oraz reszcie załadować ciężarówkę i wrócić do miasteczka.

Wernisaż miał się odbyć w starym hotelu na końcu Main Street, a Hazel, Maura i Craig spędzili niemal całe popołudnie, wieszając obrazy w holu oraz na ścianach krętych korytarzy na każdym piętrze. Zgodnie z założeniem goście mieli przechadzać się korytarzami w drodze do urządzonego na

dachu budynku baru, udekorowanego skrzącymi się białymi lampkami oraz różowymi orchideami ustawionymi w każdym narożniku tarasu. Luke stał za barem, a reszta ekipy miała służyć za kelnerów.

Dopiero podczas trzeciego kursu windą na górę dziewczyny uzbrojone w tace grzanek z krewetkami i minitarty odważyły się porozmawiać o tym, co zaszło wcześniej.

- Jak się czujesz? - wydusiła z siebie wreszcie Hazel, patrząc na własne odbicie w lustrze. Kasztanowe odrosty sterczały na czubku głowy, reszta włosów była oklapnięta, przesuszona od słońca i przypominała siano.

- Nie wiem - wymamrotała Jaime. - Okropnie.

Obrzydliwie. Tak samo.

Hazel śledziła połyskujące metaliczne cyferki w jadącej w górę windzie.

- Przejrzałaś coś z tego pakietu? - zapytała. Gdy wysiadały z promu, Jaime groziła, że wyrzuci za burtę wszystkie materiały informacyjne z kliniki, ale Hazel wymusiła na niej obietnicę, że przynajmniej raz rzuci na nie okiem.

- Od deski do deski - odparła Jaime gładko fałszywym tonem. - Wiedziałaś, że moje dziecko jest już wielkości kulki śrutu?

Hazel poczuła rosnącą gulę w gardle, nogi ugięły się jej w kolanach. Tego było za wiele. Kulka śrutu? Przecież tam rosła ona. I jak tu zachowywać się jak gdyby nigdy nic, skoro żyje w świecie jakiejś futurystycznej opery mydlanej ?

- Super! - wysiliła się, ale zabrzmiało to tak niepewnie, jakby za chwilę miała się udławić.

- No jasne! - odparła z udawaną powagą Jaime, gdy winda zatrzymała się z trzaskiem na piętrze. Drzwi zaczynały się rozsuwać, lecz ona dźgnęła kciukiem w przycisk, by je zamknąć.

- Słuchaj - rzekła, poważniejąc nagle i patrząc Hazel prosto w oczy. - Oczywiście nie zamierzam nikomu o tym mówić, póki, no wiesz, lepiej wszystkiego nie przemyśle. Co oznacza, że i ty nie możesz latać z jęzorem. Jasne?

Hazel szybko pokiwała głową.

- Jasne! - potwierdziła. - Dotarło.

- To dobrze - powiedziała Jaime z westchnieniem. Przez chwilę jej ciemne oczy wydawały się łagodne, Hazel niemal dostrzegła w nich swoje odbicie.

Drzwi się rozsunęły, ukazując fioletowe niebo o zmierzchu. Hazel zrobiła krok, lecz Jaime przytrzymała ją, mocno ściskając za łokieć.

- Stój! - warknęła, wciągając Hazel do środka. - Jeszcze jedno.

Hazel obróciła się, przekładając ciężką tacę do drugiej ręki.

- Co? - szepnęła, błyskawicznie lustrując tłum gości na dachu. Jaime nabrała w płuca powietrza i odgarnęła z twarzy kilka opadających loków.

- Ja... - powiedziała tak, że ledwo było ją słyszeć -

dziękuję. Za dzisiaj. Okej?

I minęła Hazel, wkraczając pewnym krokiem w tłum kobiet w lnianych sukienkach i mężczyzn w letnich garniturach.

Hazel poszła w jej ślady, przystając raz po raz i częstując przekąskami każdego, kto trzymał w ręku mały papierowy talerzyk. Czuła, jak usta machinalnie wyginają się w uśmiechu i starała się uciąć z każdym krótką, kurtuazyjną pogawędkę.

Ale myślała tylko o jednym.

- Zapewne jesteś zadowolona z pracy u Rosanny -

zagadywali goście. A ona kiwała głową, dodając w duchu kilka słów.

„Owszem. Sądziłam, że jest moją matką”.

- Tegoroczne portrety są wprost cudowne. Rosanna jest niezwykle utalentowana, prawda?

„Tak. Jest. Ale nie jest moją matką”.

Wieczór minął jak we mgle. Po powitalnej mowie Rosanny Hazel wymknęła się do baru i poprosiła Luke'a o szklankę wody. Miał pełne ręce roboty przy przygotowywaniu drinków i był po prostu ujmujący. Zdawało się, że wszystkie obecne na pokazie starsze panie ustawiały się przy barze, rozpluwając się w zachwytach nad jego elegancką marynarką w kolorze khaki i jedwabnym krawatem w paski albo targając jego kudłatą brązową czuprynę.

Hazel naląła sobie wody z dzbanka, przyznając w duchu rację wielbicielkom Luke'a. Z pewnością było z niego ciacho.

Nagle dało o sobie znać obezwładniające, znajome przypomnienie, że jest jej kuzynem... i w tym samym momencie uświadomiła sobie, że to nieprawda.

Nie jest jej kuzynem, ponieważ Rosanna nie jest jej matką.

Nie łączy ich żadne pokrewieństwo...

To odkrycie było tak gwałtowne i wstrząsające, że z wrażenia oblała sobie wodą nadgarstek. Odstawiła dzbanek i otrząsnęła rękę za barem w nadziei, że nikt nie zauważył.

- Spragniona? - zapytał Luke, szczerząc w uśmiechu zęby.

Wyciągał z lodówki butelkę toniku, gdy przyłapał ją, jak otrzepuje się z wody. - Spróbuj tym - rzekł, rzucając jej lnianą ściereczkę, którą miał zatkniętą w tylnej kieszeni spodni.

Złapała ściereczkę i osuszyła rękę.

- Dzi...dzięki - wyjąkała. Czowała, jak pąsowieją jej policzki, i miała nadzieję, że Luke na nią nie patrzy. Jeszcze wczoraj byli kuzynostwem, a już dziś on wywołuje rumieniec na jej twarzy? Wszystko to było zbyt dziwne, by potrafiła ogarnąć to rozumem. Wypiła duszkiem kilka łyków wody i pospieszyła do gości.

Rosanna zatrzymała Hazel w korytarzu na pierwszym piętrze, gdy dziewczyna donosiła gościom półmiski serów.

- Jak uważasz? - zapytała, sięgając po krakersa i wrzucając go sobie do ust. - Wszyscy dobrze się bawią?

Hazel przytaknęła ruchem głowy i wbiła wzrok w hotelową wykładzinę.

- Mam nadzieję - rzekła.

Nie do końca uporała się z tym irracjonalnym gniewem, który ogarnął ją na promie, dlatego unikała Rosanny przez cały wieczór. Za każdym razem, gdy dostrzegała ją w przelocie, jak rozmawia z przyjaciółmi na tarasie, przypominała sobie, jak się czuła przy ich pierwszym spotkaniu. Wszystkie jej pytania doczekały się odpowiedzi w jednej chwili. A teraz musiała zacząć stawiać je od nowa.

- Pięknie się spisaliście przy wieszaniu obrazów! -

pochwaliła Rosanna, wskazując portret na ścianie.

Przedstawiał starszą kobietą na leżaku. Miała na głowie ogromny kapelusz przeciwsłoneczny, który przytrzymała ręką, chroniąc go przed podmuchami morskiej bryzy.

- To mój ulubiony - Hazel usłyszała własne słowa. I były prawdziwe: widziała ten obraz w pracowni i z miejsca go pokochała.

- Naprawdę? - odparła zadowolona Rosanna. - To Adele.

Łatwo ją malować. Ma szalenie ekspresyjną twarz.

Hazel znów spojrzała na postać na portrecie. Rosanna miała stuprocentową rację. Na obliczu Adele igrał cały wachlarz różnych emocji. Było tam zaskoczenie, a nawet odrobina lęku, może z powodu nagłego porywu wiatru, lecz także pełna nadziei tęsknota w oczach, jakby tęskniła za kimś, kogo jeszcze nie poznała.

- Jest jak opowieść! - stwierdziła raptownie Hazel. -

Uchwyciłaś chwilę, ale stoi za nią cała historia. Historia tej kobiety. I jest piękna.

Hazel czym prędzej wbiła wzrok w podłogę, czując nagle zażenowanie, że powiedziała tak wiele. Czują, jak wzrok Rosanny odrywa się od obrazu i przenosi na jej spuszczoną głowę.

- Przechodziłam dziś rano obok waszego pokoju, żeby podrzucić ci jeszcze trochę ubrań - powiedziała malarka, a Hazel głośno przełknęła ślinę. Nie wiedziała, jak Jaime usprawiedliwiła ich poranną nieobecność w pracy i martwiła się, że zostaną przyłapane na rozbieżności. - Widziałam kilka polaroidów na twoim łóżku - ciągnęła. - Ty je zrobiłaś?

Hazel odetchnęła z ulgą, że Rosanny wcale nie interesowało jej alibi.

- Och! - rzekła, przypominając sobie kilka zdjęć ogrodu, które pstryknęła z okna domku. - Tak. Zapomniałam je schować.

Artystka pokiwała głową.

- Masz niesamowite oko - pochwaliła, delikatnie ściskając Hazel za łokieć. - Pokazywałaś już publicznie swoje zdjęcia?

Hazel poczuła, jak na jej twarzy rozkwita nieśmiały uśmiech.

- Publicznie? - powtórzyła. - To polaroidy. Po prostu lubię bawić się w fotografowanie.

Uśmiech na twarzy Rosanny powoli przygasał, dłoń zsunęła się z ramienia Hazel.

- Szkoda - powiedziała. - Miałam nadzieję na włączenie kilku twoich prac do następnego pokazu.

Talerze serów przesunęły się po tacy, Hazel rzuciła się do przodu, by je ratować.

- Hmm... - zwlekała z odpowiedzią. - Sama nie wiem, to znaczy, ja nigdy...

- Zastanów się - zaproponowała Rosanna, obracając się i machając do dwóch starszych, stojących na końcu korytarza mężczyzn w piaskowych garniturach. - Wystarczy pięć lub sześć twoich ulubionych. Tych, które twoim zdaniem wyrażają cię najlepiej. Daj znać, jeśli zmienisz zdanie.

Rosanna ruszyła korytarzem, żeby przywitać się z przyjaciółmi.

Hazel

obserwowała,

jak

mężczyźni

komplementują obrazy, wyobrażając sobie przez chwilę, że to jej prace wiszą na ścianach.

Taca ciążyła w rękach, Hazel zawróciła więc w kierunku schodów. „Jej prace”. Brzmiało to pretensjonalnie, pyszałkowato i nie przystawało do głupich zdjęć, jakie zwykle pstrykała. Kto niby chciałby kupić zdjęcie sznurowadła?

Pokręciła głową, spychając tę myśl gdzieś na dno umysłu.

Miała teraz inne zmartwienia, na przykład tacę pełną serów w ręku. Nie wspominając o Jaime, jej prawdziwej matce, która czekała na tę tacę, zniecierpliwiona jak zwykle, przytupując nogą na szczycie schodów.

Rozdział 16

Możesz nas tu wysadzić! - zawołał Luke z tyłu samochodu Craiga.

Na pokazie było tak wiele prac Rosanny i tyle osób pracujących na co dzień w posiadłości, że trzeba było zaaranżować kilka kursów z i do miasta, żeby odwieźć wszystkich do domu.

Luke i Hazel załapali się na pierwszy kurs i siedzieli stłoczeni w srebrnym pikapie Craiga między niesprzedanymi płótnami. Hazel po raz pierwszy w życiu jechała na pace samochodu, a kiedy przemogła w sobie strach przed wypadnięciem za burtę, zaczął podobać się jej wiatr smagający twarz. Dobrze było znaleźć się na zewnątrz w rześkim wieczornym powietrzu, a jeszcze lepiej oderwać się myślami od dziwnych wydarzeń dnia.

- Na pewno? - spytał Craig z okna, gdy Luke przeskakiwał przez tylne drzwi wozu. Gdy z głuchym odgłosem wylądował na ziemi, wyciągnął do Hazel rękę i pomógł jej wysiąść ostrożnie przez burtę samochodu. - A co z obrazami? Mogę podwieźć was pod sam dom.

- Chyba żartujesz - droczyła się siedząca z przodu Maura.

- To i tak cud, że pozwolił się podwieźć tak daleko.

Craig wzruszył ramionami, a Luke i Hazel pomachali im na do widzenia z pobocza drogi. Luke wytaszczył z pikapa sporo obrazów i teraz zmagął się z nimi, próbując nieść je przyciśnięte do boków.

- Pomóc? - zapytała, wyciągając rękę.

- Nie, myślę, że... - zaczął Luke, lecz umilkł, gdy parę płócien zsunęło się mu po nodze. Hazel chwyciła je, nim zdążyły wylądować na zwirowym podejździe. - A właściwie -

dodał z uśmiechem - byłoby wspaniale.

Wsadziła sobie pod pachę dwa mniejsze, oprawione w ramy obrazy i ruszyli wąską drogą prowadzącą do posiadłości.

Nad ich głowami rozpiął się baldachim drzew, bujnie ulistnione wierzchołki migotały w chłodnym blasku księżyca.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko spacerowi -

powiedział na tle głuchego chrzęstu stóp na żwirze. - Czasem zapominam, że nie wszyscy uwielbiają chodzić tak jak ja.

Uśmiechnęła się. Pewnego ranka, gdy wychodziła z Jaime do pracy, widziała go idącego samotnie na końcu podjazdu.

Pamiętała też dzień, w którym poznała go w lodziarni. Wtedy także przyszedł do miasteczka na piechotę.

- Codziennie chodzisz pieszo do pracy, prawda? -

zapytała.

Skinął głową.

- Wiem, trzeba mieć świra - odparł, niemal zawstydzony.

- Z początku robiłem to po prostu dlatego, że nie miałem prawa jazdy, a nie cierpiałem dręczyć ludzi prośbami o podwiezienie. A teraz to w zasadzie moja ulubiona część dnia.

Jest spokój, widzę rozmaite rzeczy, których nigdy bym nie spostrzegł z samochodu.

Patrzyła na nogi stąpające po żwirze, słysząc, jak słowa Luke'a odbijają się echem w jej myślach. Czowała dokładnie to samo podczas robienia zdjęć. Patrzenie przez obiektyw było tym jedynym momentem, w którym miała wrażenie, że naprawdę odkrywa to, co znajduje się wokół niej, choćby było tam od zawsze.

- Maura miała rację - ciągnął. - Miałem dzisiaj zamiar przebyć całą drogę do domu na piechotę.

- Co cię powstrzymało? - zapytała, przekładając płótna z ręki do ręki.

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami z pełnym zakłopotania uśmiechem. - Zobaczyłem, jak wsiadasz do samochodu.

Stwierdziłem, że w ten sposób będzie łatwiej zmusić cię do wspólnego powalęśania się.

Uśmiechnęła się. Zmusić? Od kiedy zrobiła z siebie w barze offermę, kombinowała, jak by tu znowu znaleźć się z Lukiem sam na sam. Miała nadzieję, że jeśli będzie przy nim sobą, może uda się rozpocząć wszystko od nowa i udawać, że paniczna ucieczka podczas ogniska nigdy się nie zdarzyła.

Teraz jednak, choć znaleźli się tylko we dwoje, nie wiedziała, od czego zacząć. Co to w ogóle znaczy „być sobą”

? Może powinna po prostu dalej udawać, że są kuzynami.

Rozmawiało się jej na pewno łatwiej, kiedy sądziła, że są ze sobą spokrewnieni.

Odsłonięty korzeń wił się przez drogę niczym wąż, zahaczyła o niego palcami. Potknęła się, zrobiła kilka chwiejnych kroków, po czym odzyskała równowagę i z trudem przytrzymała obrazy przed upadkiem na ziemię.

- Spokojnie! - roześmiał się Luke. - To nie wyścig. Jego głos zabrzmiał bez troski, lecz ona miała ochotę zapaść się pod ziemię. Zrobiło się jej gorąco, bardzo chciała powiedzieć coś normalnego. Lecz jedyne myśli, które przemykały jej przez głowę, nie należały do kategorii normalnych.

„Przepraszam, że tak nagle wtedy uciekłam; sądziłam, że jesteśmy kuzynami”.

Albo:

„Jeszcze się nie urodziłam”.

Albo:

„Nie uwierzysz! Jaime jest moją mamą!”.

Kręciło się jej w głowie, poczuła, jak zaczynają cisnąć się jej do oczu łzy bezsilności. Luke zatrzymał się i oparł obrazy o sękaty pień drzewa.

- Stań na chwilę - poprosił, biorąc od niej obrazy i dokładając je do pozostałych. - Chcę ci coś pokazać.

Dał nura między dwa wysokie i chude iglaki, przytrzymując niższe gałęzie, by Hazel mogła bezpiecznie między nimi przejść. Szli ścieżką w stronę polany na samym skraju klifu. W oddali było widać zapalone światła w domu Rosanny, cień stodoły, a nawet światełko na ganku domku gościnnego, migoczące na tle granatowoczarne nieba. Nad ich głowami skrzył się gwiazdny kobierzec. A przed nimi bezkresny ocean rozpościerał się daleko i niknął w mroku nad horyzontem. Jakby tam kończyła się ziemia.

- Czy to nie cudowne? - zapytał, siadając niebezpiecznie blisko krawędzi klifu. Kawałek skały o fantazyjnym kształcie obsunął się pod stopami Hazel i potoczył ciężko w dół. Wpadł

do wody i został pochłonięty bezgłośnie przez żarłoczne fale.

- Zawsze odnoszę tu wrażenie, jakbym żeglował - rzekł z zadumą. - Albo latał.

- Tak - szepnęła nieśmiało.

Nigdy nie była miłośniczką wysokości. Roy nawet się z niej śmiał, że zamyka oczy za każdym razem, gdy przejeżdżają przez most Golden Gate. Powoli, ostrożnie usiadła obok na skale.

- Nie bój się - zazartował Luke, mocno chwytając ją za kolano. - Trzymam cię.

Uśmiechnęła się i poczuła, jak z wolna opuszcza ją napięcie. Rzeczywiście. Przy nim czuła się bezpiecznie.

- Posłuchaj - odezwał się po chwili milczenia. - Wiem, dlaczego tak dziwnie się porobiło. Więc się nie przejmuj.

Okej?

Hazel poczuła szarpnięcie w żołądku i wbiła paznokcie w wilgotne szczeliny między skałami.

- Tak? - powiedziała drżącym, cichym głosem. Czyżby widział ją w sukience przy stawie? Znalazł list od Posey?

Myśli, że uciekła z psychiatryka?

Luke odetchnął głęboko i splótł dłonie na kolanach.

- Jaime mi powiedziała - oznajmił wreszcie. - Wiem, że jest w ciąży. I wiem, że jej pomagałaś.

Siedziała wpatrzona w połyskującą smugę księżycowego światła odbitego w szklistej powierzchni oceanu. Odczuła nagłą ulgę, że nie będzie musiała się tłumaczyć (i to zapewne bez powodzenia). Ale była zarazem mocno zaskoczona, że Jaime zwierzyła się Luke'owi ze swoje) ciąży.

- Powiedziała? Kiedy? Sądziłam, że nie chce, by ktokolwiek się dowiedział.

Wzruszył ramionami.

- Znam Jaime, od kiedy mieliśmy po dwa lata. Razem się kąpaliśmy - odparł z prostotą. - Uwierz mi, wiem o tej dziewczynie

więcej,

niż

wypadałoby

wiedzieć

jakiemukolwiek chłopakowi.

- Aha - rzekła półgłosem Hazel. - Nie miałam pojęcia.

Cieszyła się, że nie będzie musiała dochowywać tajemnicy w pojedynkę. I raptem ciepłej pomyślała o Jaime. Skoro Luke przyjaźni się z nią od tak dawna, to ona nie może być aż tak okropna.

Chłopak kopnął lekko skałę i spojrzał na swoje splecione dłonie.

- Mówiła też, że to miło z twojej strony, że pojechałaś z nią dzisiaj do kliniki, ale to cała Jaime -

rzekł, patrząc z boku na Hazel. - To nie było tak zwyczajnie miłe. To prawdziwa wielkoduszność.

Zaczerwieniła się i szybko odwróciła wzrok.

- I chciałbym, żebyś wiedziała, że w pełni rozumiem, jeśli wolisz, żebyśmy pozostali tylko przyjaciółmi - dodał

wyrozumiale. - Tak czy owak, naprawdę cieszę się, że tu jesteś.

Uśmiechnęła się. Poczuła, jak serce łomocze w piersi.

Obróciła się do Luke'a i zobaczyła, że patrzy prosto na nią.

- Przez wzgląd na Jaime... - wyjąkał. - Cieszę się, że jesteś...

Nim zdążyła odwieść samą siebie od tego pomysłu, pochyliła się ku Luke'owi i musnęła jego wargi. Przytuliła się do niego, czując słone ciepło jego skóry i zaraz się odsunęła.

Twarz chłopaka zastygła w pełnym zdumienia półuśmiechu, morska bryza wichrzyła brązowe włosy.

- Przez wzgląd na Jaime - dokończyła za niego. Luke roześmiał się, jego silna dłoń poszukała po omacku jej ręki. W

dole fale przybijały do brzegu i odpływały, miarowy łoskot poprzedzał

grzechotanie

niesionych

przez

wodę

i

uderzających o brzeg kamyczków. Hazel spojrzała w rozgwieżdżone niebo. Nigdy nie przypuszczała, że jej pierwszy prawdziwy pocałunek odbędzie się pod kobiercem gwiazd, przy szumie otwartego oceanu, na krańcu ziemi, z nogami dyndającymi nad przepaścią. W gruncie rzeczy w ogóle sobie tego nie wyobrażała. Ale to pewnie normalne.

Żadne wyobrażenia pod słońcem nawet w połowie nie byłyby tak przyjemne jak prawdziwe doznanie.

Rozdział 17

Hazel stała przed lodziarnią, czuła ucisk w dołku. Rosanna wysłała ją do miasteczka w kilku sprawach, a w drodze powrotnej Hazel postanowiła odwiedzić Jaime w pracy.

Wtedy uważała, że to dobry pomysł, teraz jednak opadły ją wątpliwości.

Nie miały okazji porozmawiać ze sobą od wczorajszego wieczornego pokazu - było późno, gdy Luke odprowadził ją do domu, Jaime już spała. Hazel wierciła się i przewracała z boku na bok, postać Jaime zawiniętej jak mumia w swoją patchworkową narzutę raz po raz migał jej przed oczami, a jej cichy, miarowy oddech był jedynym odgłosem w pokoju.

Pośród nocy w tej sennej, przymglonej przestrzeni między jawą a snem wszystko zaczynało wyglądać inaczej. Wszystko było inne. Jaime nie była już upartą współlokatorką, którą musiała znosić. I nagle Hazel opuściła całą złość. Minęło rozdrażnienie. Poczuli się jak szczęściara. Dostała tę jedyną rzecz, której zawsze pragnęła.

Dostała szansę poznania własnej matki. Wcale się nie łudziła, że będzie łatwo. Wstał nowy dzień, wyprawa do kliniki wydawała się sceną z jakiejś zamierzchłej przeszłości.

A teraz oto miała wstąpić do Jaime niezapowiedziana i przypomnieć jej, że to wcale nie przeszłość. Z jakiej racji uważała, że dziewczyna się ucieszy na jej widok? To, że zyskała nagle powód do lepszego jej poznania, nie oznaczało jeszcze, że Jaime będzie miała ochotę jej na to pozwolić.

Zamknęła oczy i oparła się o szybę. Oddychała głęboko, gdy obok zjawiała się Jaime i klapnęła u jej stóp na krawężniku.

- Nie zdzierzę dłużej! - burknęła na powitanie. - Tu jest jak w wydziale drogowym. Można by się spodziewać, że ludzie będą w lepszych humorach. Przecież tu się sprzedaje lody, a nie wlepia mandaty za złe parkowanie.

Hazel się uśmiechnęła. Stwierdzenie, że Jaime znów jest sobą, przyniosło jej zaskakującą ulgę.

- Co ty tu robisz? - zainteresowała się Jaime.

- Rosanna wysłała mnie do miasta. Pomyślałam, że wpadnę powiedzieć „cześć”.

- Cześć! - mruknęła Jaime, skubiąc lepka strużkę lodów zasychających na skórze pod łokciem.

- Masz czas na zjedzenie lunchu? - spytała ostrożnie Hazel. Nie przemyślała do końca planu i wiedziała, że musi szybko coś wykombinować. Może zaproponowanie przekąski uratuje sytuację.

Wykręcając głowę na wszystkie strony, zauważyła pizzerię na rogu, z której długa kolejka wiała się aż na ulicę.

- Chyba powinnaś coś zjeść, no wiesz.

Ruszyła przed siebie chodnikiem, schodząc na bok, by przepuścić grupę młodzieży studenckiej ubranej w nieznacznie różniące się między sobą wersje tej samej rudo -

czerwono - szarej koszulki uniwersytetu w Massachusetts.

- Stój! - usłyszała za sobą wołanie Jaime. - Nie ma mowy.

Nie, nie, nie. Absolutnie nie!

- Co: absolutnie nie? - zapytała, stając w miejscu.

- Absolutnie nie będziesz mi matkować! - oznajmiła Jaime, stanowczym ruchem krzyżując ręce na piersi. -

Gdybym potrzebowała przewodniczki i niańki, zwierzyłabym się Rosannie.

- O co ci chodzi? Spytałam tylko, czy nie chcesz czegoś zjeść.

- Zjem, jak będę głodna! - odparowała Jaime. - Nie zapomnę nagle o sobie samej tylko dlatego, że rośnie we mnie to... to coś.

Hazel nie wiedziała co odpowiedzieć. To coś? Dziecko nie było czymś. Ona nie była jakimś czymś. Poza tym miała dobre intencje.

- No dobra - westchnęła ciężko. Zdała sobie sprawę, że kiedy są razem, to Jaime będzie dyktować warunki. A warunki Jaime były lepsze niż żadne. - Co chcesz zrobić?

- Na początek... - powiedziała Jaime, gramoląc się z chodnika i ruszając w przeciwnym kierunku - jak najdalej stąd uciec.

Hazel przyspieszyła kroku, by za nią nadążyć. Szły w stronę portu i dalej wzdłuż nabrzeża z ciągiem kawiarnianych ogródków i hałaśliwych wypożyczalni motorowerów. Przez większość drogi milczały, ale Jaime raz po raz pokazywała miejsca, gdzie serwują najlepsze smażone małże i najbardziej tłustą pizzę, a także sklepiki dla turystów z najohydniejszymi pod słońcem koszulkami i pamiątkami o skandalicznie wyśrubowanych cenach. Wreszcie znalazły się na głównym skrzyżowaniu, tuż przy karuzeli, na którą Hazel natknęła się przypadkiem podczas swojej pierwszej chaotycznej wędrówki przez miasto.

- Latające konie - oznajmiła z dumą Jaime. - Najstarsza karuzela w całym kraju.

Przeskakiwała po trzy szerokie stopnie naraz, a za nią Hazel. W otwartych drzwiach powitał je gęsty maślany zapach prażonej kukurydzy. Karuzela wibrowała kolorami i dźwiękami, cyrkowa muzyka oraz dziecięce piski nadpływały falami z kręcącej się platformy.

- Rzecz polega na zdjęciu mosiężnej obręczy - wyjaśniła Jaime, wskazując na długie metalowe ramię wystające z obitej deskami ściany. Gdy karuzela się kręciła, jeźdźcy dosiadający rumaków w zewnętrznym kręgu wyciągali ręce, by chwycić obręcz i zarzucać je na krótki srebrny drążek sterczący z długiej końskiej grzywy. Niektórym udawało się złapać jedną obręcz, podczas gdy inni atakowali zwinnymi, zachłannymi palcami, łowiąc trzy lub cztery za jednym zamachem.

- Mój rekord to siedem naraz - oznajmiła rozpromieniona Jaime. - Nie byłam tu całe wieki.

- No to chodźmy! - zaproponowała Hazel, zaskakując samą siebie. Nigdy nie jeździła na karuzeli. Miała w życiu jedną jedyną okazję, gdy pojechała na wiejski jarmark z wycieczką zorganizowaną przez internat, w którym mieszkała kiedyś przez rok pod Santa Rosa. Inne dzieciaki szalały z radości, ale ona nie widziała w tym sensu. Kręciło się toto w kółko w samym środku pokrytego warstwą kurzu opuszczonego

boiska

piłkarskiego,

a

z

wielkiego

radiomagnetofonu ustawionego obok na składanym krzeselku leciała zawodząca muzyka country.

Coś jej podpowiadało, że tym razem będzie inaczej.

Stały w wijącej się kolejce i już wkrótce dosiadały swoich koni. Jaime usiadła z przodu na jasnobrązowym koniu w cętki. Rumak Hazel mienił się fioletem i różem i miał gęstą blond grzywę.

Karuzela szarpnęła do przodu, Hazel wczepiła się całymi dłońmi w sztywną żółtą grzywę. Obrotowa platforma powoli nabierała prędkości, aż świat dookoła zamazał się przed oczami. Patrzyła na sylwetkę Jaime przed sobą, dostrzegając w przelocie jej twarz, gdy konie wchodziły w zakręt. Jej ciemne loki powiewały z tyłu na wietrze, szeroko otwarte oczy błyszczały. Wyglądała tak samo jak na fotografii powieszanej w domu Rosanny. Jakby za żadne skarby nie zamieniła tej karuzeli na cokolwiek innego.

Hazel usiłowała naśladować ruchy Jaime, ale była spięta, zbyt długie zastanawianie się nad skutecznym ułożeniem ciała sprawiało, że zupełnie nie trafiała w dystrybutor pierścieni.

W końcu znalazła sposób, czekała do ostatniej chwili i trzema palcami zahaczała o jeden pierścień. Zanim rudowłosy chłopak stojący przy okienku z biletami ogłosił, że mosiężna obręcz jest już w dystrybutorze, Hazel zgarniała cztery pierścienie za każdym podejściem.

Jeźdźcy spowaźnieli, gdy karuzela robiła kilka ostatnich okrążeń, ich twarze wyrażały determinację i zaangażowanie, kiedy z zapałem wyciągali ręce po pierścienie.

Po chwili było już po wszystkim. Bileter doskoczył

jednym susem do automatycznego ramienia i przygiął je do ściany, karuzela powoli stawała w miejscu.

Jaime przerzuciła nogę przez koński grzbiet i podeszła zygzakiem do Hazel, która próbowała zsiąść ze swego rumaka i nie spaść przy tym z platformy. Jaime podwinęła dół czarno -

białej firmowej koszulki lodziarni, tworząc coś w rodzaju siatki wypchanej naręczem pierścieni.

- Nieźle, co? - rzekła, po czym wskazała na wysypujące się stosy zebranych przez Hazel obręczy. - Trzeba je tam wrzucić.

Ruchem głowy pokazała olbrzymi brezentowy kubel, przy którym zebrał się tłum ludzi wrzucających do środka pierścienie z metalicznym brzękiem. Obejrzała się na konia Hazel.

- Hazel? - przemówiła powoli, kręcąc głową. - Widzisz ten pierścień na szczycie twojej kupki? Ten ciemniejszy od innych?

Hazel popatrzyła na czubek sterty i skinęła głową.

- To właśnie mosiężny pierścień, matołku - roześmiała się Jaime. - Wygrałaś!

*

Nagrodą za zdobycie mosiężnego pierścienia była darmowa przejażdżka, lecz Jaime nie miała zbyt wiele czasu do powrotu do pracy. Hazel schowała do kieszeni ostemplowany kupon. Jaime czekała już na schodach na zewnątrz, z dwiema pękatymi bułkami z homarem, walczącymi o miejsce na papierowym talerzyku, który trzymała na kolanach.

Hazel poczuła delikatny smak zwycięstwa i uśmiechnęła się - Jamie mimo wszystko postanowiła coś zjeść - wiedziała jednak, że nie należy tego komentować.

- Siadaj! - zakomenderowała Jaime, gdy stanęła nad nią na drewnianych schodkach. Usadowiła się obok, Jaime podsunęła jej talerz.

- Przygotuj się na nokaut.

Hazel wzięła bułkę. Była to standardowa bułka do hot dogów, z której wysypywało się pomarańczowo - różowe mięso homara, upstrzone maleńkimi kawałeczkami selera naciowego i spojone kleksami kremowego majonezu.

- Ostrożnie! - ostrzegła, podsuwając Hazel talerz. - Do tego potrzebne są obie ręce.

Hazel podniosła do ust rozmiękłą bułkę i odgryzła kęs.

Poczuła maślaną cytrynową pychotę. Rozpłynęła się w zachwycie.

- Ale dobrze - wybełkotała, ocierając kąciki ust. Nie było po prostu dobre. Było niebiańsko pyszne, smakowało właśnie tak, jak powinno, jej zdaniem, smakować lato.

- No, jest w porządku - przyznała Jaime i wzruszyła ramionami między jednym a drugim kęsem. - W porcie w Menemsha mają lepsze. Ale to osobna wycieczka.

Hazel sięgnęła po serwetkę upchniętą przez Jaime pod oszronioną puszką sprite'a. Jadły przez chwilę

w milczeniu, co jakiś czas przysuwając się bliżej poręczy, ustępując miejsca przyszłym jeźdźcom zmierzającym w stronę karuzeli.

- Chyba będę trochę tęsknić za tym miejscem - przyznała nagle Jaime z westchnieniem, przekrzywiając bułkę w taki sposób, by wygodnie odgryźć kolejny kęs i przy tym się nie ubrudzić. Powiedziała to tak, jakby znajdowały się w samym środku rozmowy, z której prowadzenia Hazel nie zdawała sobie sprawy.

- Dokąd pojedziesz? - zapytała Hazel, nie potrafiąc ukryć zainteresowania. Pytanie wymknęło się za jednym wydechem, zadała je tonem wysokim i piskliwym.

Jaime znów wzruszyła ramionami.

- Tutaj nie mogę zostać. Kiedy Rosanna i Bill sprzedadzą farmę, zostanę zarazem bez pracy i dachu nad głową.

- A twoja rodzina? - Hazel nigdy nie słyszała, by Jaime wspominała cokolwiek o miejscu swego pochodzenia.

Najpierw wydawało się, że mieszka u Rosanny od zawsze, a potem Hazel uważała, że nie wypada pytać.

Jaime się zachnęła.

- Rodzina? - prychnęła. - No to się przyjrzyjmy. Jest mama, ale zadekowała się w Indiach, od kiedy skończyłam cztery lata. Szuka tam Buddy albo idealnego kwiatu lotosu, czy też innych takich bzdetów.

Hazel chłonęła każde słowo Jaime. Ma babcię, uświadomiła sobie nagle. Nieobecną babcię, gdzieś daleko, włóczącą się po hinduskich świątyniach, niemniej jednak prawdziwą.

Jaime machnęła kanapką w powietrzu, na schody spadły małe kawałeczki homara.

- A może pytasz o mojego tatę? Mogłabym do niego zadzwonić, ale musiałabym złapać go między ósmą a ósmą trzydzieści rano. To w zasadzie jedyna pora, kiedy byłby na tyle trzeźwy, by przypomnieć sobie, jak się nazywam. -

Potrząsnęła głową. - Musiałabym także wiedzieć, gdzie mieszka. Ostatnim razem, kiedy miałam o nim jakieś wieści, sypiał u przyjaciela na kanapie, na tyłach stacji benzynowej w New Bedford.

Hazel przełknęła z trudem i wbiła wzrok w drewniane schodki. Mama Jaime ją zostawiła, a tato jest pijakiem.

Historia życia Hazel nie wyglądała dokładnie tak samo, ale była cholernie podobna. Może to prawda, co ludzie mówią o jabłku padającym niedaleko od jabłoni. Skoro Hazel wyrosła na takiej jabłoni, to jak wróży to na przyszłość?

Popatrzyła na Jaime.

- Jak trafiłaś do Rosanny?

- Przez babcię. - Jej spojrzenie złagodniało, całe rozgoryczenie ulotniło się w jednej chwili jak kamfora. -

Mieszkałam z nią w jej plemienu do jedenastego roku życia.

- W plemienu? - spytała zaintrygowana Hazel.

- Jesteśmy Wampanoagami - wyjaśniła. - Rdzenni Amerykanie byli na tej wyspie pierwsi, zresztą jak wszędzie indziej. W Gay Head jest rezerwat.

Hazel pokiwała głową, próbując skupić się na powolnym, miarowym przeżuwanym pokarmu. Ale żołądek ścisnął się nagle tak mocno, że o mało się nie zadławiła.

Skoro Jaime jest Indianką, to ona też.

- Była artystką, tak jak Rosanna. Uszyła tę narzutę, która leży na moim łóżku.

Jaime strzepnęła z kolan kilka okruszków. Hazel przypomniała sobie swój pierwszy dzień na wyspie, kiedy Jaime przyłapała ją na myszkowaniu po pokoju. Nie krzyknęła na nią wtedy z powodu zwykłej małostkowości. Krzyknęła, ponieważ ta narzuta była dla niej czymś wyjątkowym. Jedyłą częścią rodziny, jaka jej pozostała.

- W każdym razie przyjaźniły się z Rosanną - opowiadała.

- I Rosanna obiecała zaopiekować się mną po śmierci babci.

To jeszcze jedna zaleta tej wyspy - powiedziała, przyciskając kolana do piersi. - Nawet jeśli nie masz rodziny, to jakaś się znajdzie.

W głowie Hazel tłoczyły się myśli. Jakby otworzyła się tama i pytania lały szeroką strugą. Ale jedna rzecz ciekawiła ją przede wszystkim. Dlaczego, będąc na pół Indianką, miała kasztanowe włosy, niebieskie oczy i skórę tak bladą, że niemal prześwitującą.

- A... yyy... ojciec? - wykrztusiła. Zaschło jej w ustach, puls tłukł się w uszach. - To znaczy chodzi mi o ojca dziecka.

Kto to?

Jaime zwinęła w kulkę resztę serwetek i cisnęła je w stronę przepełnionego kosza na śmieci. Serwetki odbiły się od metalowej krawędzi i upadły na chodnik.

- Masz chłopaka, prawda? Emmett coś mówił... - drażyła Hazel. Wiedziała, że nie powinna być taka wścibska, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- W zasadzie tak - westchnęła Jaime i powoli wstała, przechylając się nad poręczą, by podnieść

zgniecione serwetki. - Reida. Ale nie widziałam się z nim, od kiedy wyjechał parę miesięcy temu. A teraz zza Atlantyku niewiele może działać.

Hazel kręciło się w głowie, serce zaczęło walić jeszcze mocniej. Jej ojciec. Reid. Ma ojca o imieniu Reid. Kim jest?

Co to za człowiek?

- Co tutaj robił? - Ze wszystkich pytań, jakie pragnęła zadać, akurat to wydawało się budzić najmniej podejrzeń.

Jaime znów westchnęła i przeczesła palcami ciemne kręcone włosy. Cokolwiek sobie pomyślała, najwyraźniej sprawiało ból.

- Jest na obozie futbolowym w Anglii - wyjaśniła i umilkła, po czym zaśmiała się krótkim, smutnym śmiechem. -

Przepraszam, piłkarskim. Jesienią ma zamiar grać w Dartmouth. Myślałam, że przynajmniej spędzimy razem lato, ale nadarzyła się okazja, której pewnie nie mógł odrzucić.

Hazel widziała, jak Jaime odwraca wzrok i patrzy na korek na ruchliwym skrzyżowaniu na wprost nich. I wyraźnie błądzi myślami gdzie indziej.

- Ale wraca, tak? - dopytywała się. Nadzieja w jej głosie była aż nadto oczywista.

Jaime wzruszyła ramionami.

- Nie sądzę - powiedziała. - To chłopak na lato. Co, jak przypuszczam, oznacza, że byłam dla niego tylko głupią letnią przygodą.

Zmieniło się coś w wyrazie jej twarzy, szybko zerknęła na zegarek.

- Niech to szlag! - zaklęła, wstając i zeskakując na chodnik. - Muszę lecieć. Lody dla mas i słodkie co nieco.

- Poczekaj - zaczęła Hazel. Chciała więcej informacji. O

wiele więcej. Wiedziała, że będzie jeszcze czas na zadanie tych 'wszystkich pytań, jakie w niej dojrzewały, ale czekała już osiemnaście lat. Skoro już zaczęła, nie umiała się powstrzymać. - Dokąd pojedziesz? To znaczy, kiedy sprzedadzą farmę?

Jaime chwyciła się drewnianej poręczy i zakołysała, gęste ciemne włosy opadły z ramion.

- Na ile znam Rosannę, a uwierz mi, znam ją dobrze, nie ma mowy, żeby pozwoliła mi zrobić cokolwiek innego, niż pojechać z nimi do Kalifornii. - Wzruszyła ramionami. -

Dlatego zwlekam z powiedzeniem jej. No i dlatego, żeby uniknąć niańczenia.

Hazel głośno przełknęła ślinę i przysunęła się bliżej uwieszanej na poręczy Jaime.

- A co z dzieckiem? - zapytała cicho. - Już wiesz, co zrobisz?

Jaime podparła się pod brodę, jej małe ciemne oczy wydały się nagle spoglądać gdzieś daleko.

- Nie za bardzo - odparła. - To znaczy, zamierzam je urodzić, jeśli o to pytasz.

Hazel skinęła głową. Ulżyło jej, choć wiedziała, że to głupie. Oczywiście, że urodzi. Przecież Hazel już się urodziła.

- Ale prawdopodobnie będę musiała je oddać - mówiła dalej Jaime. - Nie jestem raczej dobrym materiałem na matkę, na wypadek gdybyś nie zauważyła.

Roześmiała się; krótki, ostry chichot nie zabrzmiał

szczerze. Hazel zmusiła się do cierpkiego uśmiechu, gdy Jaime machnęła ramionami i ruszyła ulicą.

- Zobaczymy - powiedziała. - Zamieszkanie w San Francisco chyba nie będzie najgorszą rzeczą pod słońcem -

rzuciła przez ramię. - Może na przykład zostałybyśmy sąsiadkami.

Hazel omal się nie udławiła, opierając się plecami o schody.

- Aha - wykrztusiła. - No jasne.

- Do zobaczenia w domu! - zawołała Jaime z przejścia dla pieszych. Hazel podniosła rękę i odmachnęła jej nieśmiało.

Co ma z tym wszystkim począć? Po prostu siedzieć i patrzeć, jak Jaime podejmuje jedną decyzję po drugiej, decyzje, które wpłyną w określony sposób na bieg wydarzeń, decyzje, które doprowadzą ostatecznie do zostawienia Hazel na oddziale położniczym w San Francisco? Wydawało się to nie tylko niemożliwe, ale i całkowicie niesprawiedliwe. Nie pragnęła poznać matki po to, by być świadkiem wszystkich okropnych błędów, jakie popełniła. Któż by marzył o czymś takim?

Kobieta w letniej sukience w tureckie wzory wchodziła powoli po schodach prowadzących do karuzeli. Trzymała za ręce dwójkę maluchów o policzkach okrągłych jak jabłuszka: około czteroletniego chłopca i mniej więcej dwuletnią dziewczynkę. Oboje wyciągali rączki do malowanych koni, podczas gdy matka przykucnęła i poprawiała im bluzeczki, przygotowując do jazdy w towarzystwie dużych dzieci. Hazel odwróciła się i obserwowała, jak dzieci biegną na swoich krótkich pulchnych nóżkach, lawirując w tłumie i klaszcząc w ręce.

Powróciła myślami do czasów, kiedy sama była w ich wieku. Wendy nie żyła już wtedy od paru lat. Roy oddał ją wówczas po raz pierwszy, zgłosił się na odwyk i zawiózł do swojej niemłodej już matki. Matka Roya była miłą starszą panią, ale cierpiała na okropny artretyzm i nie mogła sprawnie chodzić po schodach. Najwcześniejsze wspomnienia Hazel to stanie rano w łóżeczku i żalotne

wołanie kogoś, kto by ją stamtąd wyjął.

Bywało, że nie zjawiał się nikt.

Tutaj wszystko potoczyłoby się inaczej. Gdyby Jaime znalazła sposób pozostania na wyspie, Hazel miałaby szansę na zupełnie inne życie, życie pełne rozków z lodami, przejażdżek na karuzeli i pałaszowanych na plaży bułek z homarem.

Nawet

gdyby

Rosanna

wyjechała,

wyspa

emanowała jakąś dziwną energią, która sprawiała, że trudno było uwierzyć, iż Jaime mogłaby tu zaznać jakiegóś krzywdy.

Wyspa otoczyłaby je obie opieką, tak jak wcześniej zatroszczyła się o Jaime.

Coś w głębi Hazel zaskoczyło, zerwała się na równe nogi.

Marzyła o poznaniu swojej matki, ale mogło to wyglądać bardzo różnie. Mogłaby poznać Jaime w dowolnym miejscu i czasie. Może istniał jakiś powód, dla którego przeniesiono ją do czasów, zanim zapadły wszystkie decyzje. I może nie miała tylko siedzieć z boku i biernie się przyglądać.

Może została wysłana w przeszłość, żeby coś zmienić.

Może została wysłana w przeszłość, żeby wszystko naprawić.

Rozdział 18

Jesteś pewna, że tego chcesz? - spytała Jaime, leżąc w poprzek łóżka. Było sobotnie popołudnie i Hazel już była spóźniona. Poprzedniego wieczoru wybrała się z Lukiem na spacer po plaży. Siedzieli na klifie o zachodzie słońca, gdy w pewnym momencie zaczęły mu drgać usta. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale nie potrafi znaleźć słów. Wreszcie opowiedział jej o sobotnim przyjęciu z okazji Dnia Niepodległości, które organizowano dorocznie w jachtklubie.

A następnie poprosił, by mu towarzyszyła.

Zgodziła się, naturalnie, choć na myśl o towarzyskich pogawędkach z nadętymi sztywniakami z klubu jachtowego żołądek zawiązywał się jej na supełki od samego rana. W

dotatku Jaime wcale nie ułatwiała sprawy.

- Co masz na myśli? - spytała Hazel. Stała owinięta ręcznikiem, z mokrymi włosami leżącymi ciężko na ramionach, i wyjmowała z wiszącego pokrowca drugą sukienkę od Posey.

- No wiesz, mam nadzieję, że jesteś przygotowana na poważną snobistyczną fetę. - Jaime przerzuciła swe krótkie nogi przez krawędź łóżka. Ledwo dotykały podłogi. - I mam szczerą nadzieję, że nie jesteś głodna. Jedzenie na takich imprezach to wielkie faux pas. Pewnie uda ci się uszczknąć jakąś marchewkę. Może oliwkę, jeśli dopisze ci szczęście.

Hazel powiesiła sukienkę na drzwiach szafy. Już przez sam fakt znalezienia się w jej pobliżu mrowiła ją skóra. Od czasu ich rozmowy na schodkach karuzeli miała mgliste pojęcie, jak chciałyby wykorzystać drugie życzenie. Uważała, że jeśli znajdzie sposób, by nakłonić Jaime do pozostania na wyspie, dziewczyna postanowi w końcu zatrzymać dziecko, a Hazel uda się zmienić przyszłość.

Zdawało się jednak, że to nazbyt wiele jak na jedno życzenie. Czy powinna pragnąć pozostania Jaime na wyspie?

A jeśli zostanie, a i tak odda dziecko? Może należy wypowiedzieć życzenie, by matka zatrzymała ją przy sobie bez względu na to, dokąd się uda. Ale jak wyglądałoby wtedy życie Hazel?

Możliwości

były

nieskończone

i

nieskończenie

skomplikowane. Wiedziała, że cokolwiek przyniosą jej życzenia, nic nie będzie gorsze od dzieciństwa - jeśli w ogóle można nazwać je dzieciństwem - które przypadło jej w udziale za pierwszym razem. Teraz jednak, gdy otrzymała szansę rozpoczęcia wszystkiego od nowa, chciała mieć pewność, że nie popełni błędu.

- Co to za heca z tymi kieckami? - spytała zniecierpliwiona Jaime, a Hazel ścisnął się żołądek.

- Żadna heca - mruknęła w odpowiedzi. Poczula wypieki na twarzy i spuściła głowę, sięgając po ręcznik i wycierając nim wilgotne włosy. - Zwykłe sukienki.

- Tak, ale miałaś ją na sobie kiedyś wieczorem - nie dawała się zbyć Jaime. - A w tej zielonej tu przyjechałaś. I dlaczego cały czas trzymasz je w pokrowcach? Są drogie? Na takie wyglądają.

Hazel przewróciła oczami, nadal stojąc z głową zwieszoną w dół, odwrócona twarzą do drzwi. Zażęknęła nagle za czasem, kiedy Jaime prawie się nie odzywała. Nowa Jaime bezsprzecznie zadawała okropnie dużo pytań.

- Nie! - odparła z naciskiem. - Nie były drogie. Dostałam je tuż przed przyjazdem tutaj.

Była zdumiona, z jaką pewnością wypowiedziała te słowa.

Ostatecznie były prawdziwe. Nie wspomniała tylko o podróży w czasie, o czarodziejskiej mocy spełniania życzeń. Takich tam drobnostkach.

Odrzuciła włosy do tyłu, zdjęła sukienkę z wieszaka i zaczęła ją na siebie naciągać.

- Pomożesz mi się zapiąć? - poprosiła i usłyszała skrzypienie łóżka, gdy Jaime stanęła na materacu i dotknęła jej karku.

Pogładziła • dłońmi chłodną tkaninę spływającą na jej biodra. Lekko uniosła ramiona i okręciła się.

- I jak?

Twarz Jaime rozjaśniła się i Hazel właściwie po raz pierwszy ujrzała jej uśmiech.

- Wyglądasz jak jakaś cholerna księżniczka z bajki -

powiedziała i kopniakiem zamknęła drzwi szafy, odsłaniając sięgające podłogi lustro ukryte za nimi na ścianie.

Sukienka była tak samo olśniewająca, jak zapamiętała ją Hazel, a teraz, kiedy nadarzyła się wymarzona okazja, by ją włożyć, wydawała się jeszcze piękniejsza. Różowy jedwab prezentował się szykownie, a przy tym bardzo letnio; sukienka idealnie pasowała na letnie przyjęcie pod gołym niebem. Jak gdyby Posey wejrzała w przyszłość - bądź w przeszłość - i zaprojektowała ją specjalnie z myślą o przyjęciu w jachtklubie.

- Nie do wiary, że chcesz ją marnować na Luke'a! -

zazartowała Jaime. - Przecież ci mówiłam, że ssął kciuk do siódmego roku życia!

Hazel roześmiała się, unosząc rąbek sukienki i wsuwając stopy w sandały Rosanny. Na dole, dokładnie w tym samym miejscu, co na pierwszej sukience, był wyhaftowany mały motyl.

- Co tor - zainteresowała się Jaime i schyliła się, by przyjrzeć się z bliska. Hazel prędko opuściła brzeg sukienki i przycisnęła materiał do boku.

- Nic! - odparła pośpiesznie. - Zwykła metka.

Jaime wcisnęła się głębiej na łóżko i usadowiła w kącie, skrzyżowała nogi i opadła na stos poduszek.

Hazel okręciła się jeszcze raz, podziwiając w lustrze sukienkę. Nie mogła przestać myśleć o życzeniu. Kiedy je wypowie? Jak będzie brzmiało? Zostały jej tylko dwa, nie mogła sobie pozwolić na jego schrzaniecie.

Jaime wychyliła się w stronę nocnego stolika ustawionego między dwoma pojedynczymi łózkami. Z

przekrzywionego stosiku wzięła do ręki książkę w foliowej okładce i otworzyła ją na kolanach. Był to jeden z ciężowych podręczników, które Hazel wypożyczyła z biblioteki dzień wcześniej. Zamarło jej serce na wspomnienie oczekiwania w kolejce, kiedy to miała ochotę skurczyć się albo zniknąć i czuła się jak ostatnia degeneratka.

Bibliotekarka

obrzuciła

ją

krzywym

uśmiezkim, a ona stała jak na cenzurowanym.

Biedna Jaime, pomyślała. W jej wypadku osąd trwał dwie minuty. Jaime będzie mu poddawana przez najbliższe miesiące, a niewykluczone, że jeszcze wiele dłużej.

Musi istnieć jakiś sposób, by można było coś naprawić.

Musi istnieć coś, co uszczęśliwiłoby Jaime. A może nawet coś, co obudziłoby w niej entuzjazm do urodzenia dziecka i pozostania na wyspie, by je samodzielnie wychować.

Wpadł jej raptem do głowy pomysł, gotowy i w pełni ukształtowany. Szybko zajrzała do szafy. Odsunęła na bok pokrowiec, odsłaniając jedyną sukienkę Jaime i zdejmując ją z wieszaka.

- Ruszaj się! - rzekła niespodziewanie, rzucając Jaime jej białą sukienkę. - Nie mamy zbyt wiele czasu, a ty musisz jeszcze wziąć prysznic.

- Co? - wymamrotała Jaime, nie odrywając wzroku od książki. - Co ty wygadujesz?

- Idziesz z nami. Nie mam czasu na dyskusje! - oznajmiła z taką stanowczością, że ledwo rozpoznała własny głos. -

Cuchniesz jak cap. Jazda. Bierz prysznic. No już.

*

- Ostrygi, lekcja pierwsza! - ogłosił Luke. - Patrzcie i się uczenie.

Luke, Hazel i Jaime zajęli pozycje przy długim bufecie na werandzie jachtklubu. Stary, kwadratowy budynek z widokiem na port Edgartown był oświetlony czerwonymi, białymi i niebieskimi mrugającymi lampkami, a rozłożystą werandę udekorowano chorągiewkami i draperiami w barwach narodowych.

Tłum tworzyło morze męskich garniturów z gnieczonego lnu oraz falbaniastych sukienek koktajlowych. Kobiety lekko cmokały się nawzajem w upudrowane policzki, mężczyźni mieszały w

szklankach trunki i poklepywali się serdecznie po plecach. Ściany wewnątrz budynku obwieszane były czarno -

białymi

fotografiami,

pozowanymi

zdjęciami

przedstawiającymi łodzie i żeglarzy minionych pokoleń. Hazel rozejrzała się po werandzie i westchnęła. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Jaime miała rację co do snobizmu tego towarzystwa.

Ale definitywnie myliła się w kwestii jedzenia. Bufet był

dobrze zaopatrzony i bynajmniej nie ignorowany. Goście częstowali się wspaniałymi sałatkami owocowymi, świeżymi warzywami i parującymi kolbami kukurydzy. Na drugim końcu bufetu znajdował się zaś bar z surowymi owocami morza, niekończąca się parada małży i ostryg, oczyszczonych i ułożonych między cząstkami cytryn oraz niewielkimi miseczkami sosów.

Luke wybrał dwie ostrygi i podał Hazel mniejszą z nich.

- Przykro mi, Jaime - powiedział, gdy nakładała na talerz grillowanego kurczaka i sałatkę. - Dla ciebie żadnej morskiej surowizny.

Wzruszyła ramionami i naląła sobie szklankę musującego jabłkowego cydru. - Cięża to superubaw - rzekła z westchnieniem, taksując ich kieliszki z szampanem.

- Okej! - rzekł, doprawiając ostrygi kilkoma kroplami wyciśniętego z cytryny soku i sporą porcją czerwonego sosu koktajlowego. - No to chlup!

Jednym szybkim ruchem odchylił głowę w tył, podniósł

muszlę do ust i wessał ostrygę jednym siorbnięciem.

- Takie proste, a jakie pyszne! - westchnął z przebiegłym uśmiechem. - Teraz twoja kolej!

Było to wyzwanie. Hazel spojrzała niepewnie na Jaime, która ponagliła ją uniesieniem ciemnych, gęstych brwi. Hazel miała problem z surowizną, nie wspominając już o oślizgłości, z jaką to morskie żyjątko pławiło się w swej gruzłowatej muszli. Wiedziała jednak, że Jaime i Luke nie dadzą jej spokoju, póki przynajmniej nie spróbuje.

Zamknęła oczy i oparła brzeg muszli o dolną wargę, przechylając jej zawartość do otwartych ust. Poczula na języku wilgoć i chłód, od których początkowo się wzdrygnęła, kiedy jednak ostryga zsunęła się do gardła, pozostawiła po sobie słonawy, świeży posmak, a Hazel była zaskoczona, że prawie jej smakowała.

- I co ty na to? - zapytała Jaime. Hazel się uśmiechnęła.

- Niezłe! - odparła z niedbałym wzruszeniem ramion, jak gdyby codziennie połykała żywe stworzonka. - Ma smak oceanu.

- Zuch dziewczyna! - roześmiał się Luke, otaczając ją ramieniem.

Sączyła mały łyk szampana, gdy zaczęli schodzić z werandy na prywatną plażę klubu. Na piasku odgrodzono miejsce do tańczenia, kwartet dęty grał na zaimprovizowanej scenie przy wejściu. Luke pomachał do znajomego z pracy, Jaime wplątała się w absurdalnie niekłęjącą się rozmowę z członkiem obsługi, ćpunem, którego знаła ze szkoły. Hazel miała idealną okazję, żeby się wymknąć.

- Zaraz wracam - szepnęła do Luke'a i weszła do budynku klubu, jak gdyby szukała toalety. Ale w ostatniej chwili dała nura za werandę, sprawdzając, czy nie widać jej z parkietu do tańca.

Oparła się o balustradę, pogniecione papierowe chorągiewki przykleiły się do boku sukienki. Serce podskoczyło jej do gardła. Wiedziała, że to życzenie jest ryzykowne. Mogło zadziałać na milion różnych sposobów.

Albo nie zadziałać wcale. Ale musiała podjąć ryzyko. Jeśli nie zrobi nic, Jaime z pewnością wróci z Rosanną do San Francisco, gdzie urodzi dziecko, a potem się go zrzeknie.

I życie Hazel nie zmieni się ani na jotę.

Zacisnęła powieki. Wiatr łaskotał ją w twarz; powietrze pachniało oceanem i dymem z węgla drzewnego palącego się pod grillem. Chwyciła się balustrady i wzięła głęboki oddech.

- Chciałabym - szepnęła cicho - chciałabym, żeby zjawił

się tu mój ojciec. Teraz. Natychmiast.

Otworzyła raptownie oczy i spojrzała na rąbek sukienki.

Po chwili poczuła znajome trzepotanie i zobaczyła, jak maleńki złoty motyl macha delikatnymi skrzydełkami, sfruwając z sukienki ku niebu.

Motyl zawisł na chwilę w powietrzu, jak gdyby chcąc się zorientować w nowym i nieznanym otoczeniu, po czym pomknął w dal między dwiema drewnianymi belkami werandy. Hazel zbiegła ze schodów na plażę, podążając za jarzącym się światełkiem i obserwując, jak leci wzdłuż brzegu.

Powoli mijała małe grupki balowiczów, kobiet na wysokich obcasach zapadających się w grząskim piasku. Szła szlakiem wytyczonym przez frunącego nad jej głową motyla, póki nie zatrzymał się przy jednym z długich drewnianych pirsów klubu. Na końcu pomostu zobaczyła dwie pochylone postaci Jaime i Luke'a, siedzące ze stopami zanurzonymi w wodzie. Luke wykradł butelkę szampana i trzymał ją teraz na kolanach, spoglądając wraz z Jaime w gwiazdy.

Motyl prowadził ją w ich kierunku.

Hazel miała tak mocno zaciśnięte zęby, że aż zaczynała boleć ją szczęka. Zrobiła jeszcze jeden krok w stronę pomostu, lecz stanęła, gdy poczuła, jak coś - a raczej ktoś - ociera się o jej ramię.

- Przepraszam - odezwał się uprzejmy cichy głos, którego właściciel minął Hazel i zmierzał prosto na pomost. Był to młody wysoki mężczyzna w białej koszuli z podwiniętymi rękawami; szedł na sam koniec drewnianego pirsu.

Ujrzała, jak motyl pikuje i trzepocze skrzydełkami z większą intensywnością tuż nad głową chłopaka. Owad zakreślił na niebie szybką ósemkę, a potem pomknął nad oceanem i znikł w ostatnich pomarańczowych obłokach, które unosiły się nad horyzontem.

Rozdział 19

Przykro mi, ale będę musiał skonfiskować tę butelkę.

Chłopak stał na końcu pomostu ze skrzyżowanymi ramionami, przemawiając sztucznie oficjalnym tonem. Hazel szła bezszelestnie w ślad za nim, serce łomotało jej w uszach.

Luke obrócił się pierwszy, zerkając zmieszany na zwędzoną butelkę szampana, nim na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia.

- Reid? - wyjąkał, Jaime zaś odwróciła się gwałtownie i zerwała z desek pomostu, wywracając przy tym szklanekę cydru. Rzuciła się w wyciągnięte ramiona chłopaka z płonącymi oczami.

- Reid! - zapisztzała, zaciskając drobne ramiona na jego szyi. - Co ty tutaj robisz?

Na widok przytulających się rodziców Hazel poczuła falę ciepła przenikającą ją od stóp do głów. Oto jej matka. Oto jej ojciec. Są razem. A jednak wrócił.

Jaime wyrwała się z objęć Reida i oblała rumieńcem, przypomniawszy sobie, że nie są sami. Spojrzała znad ramienia Reida i napotkała wzrok Hazel.

- To jest Hazel - przedstawiła, wykonując szybki gest za plecami chłopaka. - Pracuje z nami u Rosanny.

Chłopak odwrócił się i podał rękę. Po raz pierwszy Hazel mogła mu się dobrze przyjrzeć. Był wysoki i szczupły, miał

długi nos i mocno zarysowany podbródek. Jasnoniebieskie oczy i ciemnokasztanowe włosy.

Innymi słowy, mogliby być bliźniętami.

- Cześć! - wymamrotała Hazel, wyciągając dłoń i czując, jak obejmują ją palce Reida. - Naprawdę miło cię poznać.

Reid się uśmiechnął.

- Ciebie także - odparł. - Jestem pewien, że Jaime naopowiadała o mnie całe mnóstwo okropnych rzeczy.

Właśnie dlatego wróciłem. Żeby się bronić.

Jaime dała mu lekkiego kuksańca, gdy Reid i Luke przybijali piątkę nad jej głową.

- Myślałem, że wyniosłeś się stąd na dobre - powiedział

Luke.

- Też tak sądziłem. - Reid wzruszył ramionami, przyciągając do siebie Jaime. - Przebrnąłem przez pierwszy semestr, ale bycie tak daleko stąd zrobiło się trudne do zniesienia.

Jaime wzniosła oczy do nieba i żartobliwie trąciła go biodrem, lecz wprost promieniała na twarzy. Hazel pochwyciła jej spojrzenie i się uśmiechnęła.

Chłopcy rozmawiali o planach na lato, ich głosy zacierały się w uszach Hazel, gdy przyglądała się swemu ojcu. Reid. Do tej pory nie знаła nikogo o tym imieniu. Brzmiało dostojnie, jak codzienne alter ego jakiegoś superbohatera. Jej ojciec, superbohater.

Mogłaby się przyzwycząić.

Metaliczne dźwięki orkiestry płynęły z plaży w ich kierunku. Coś ogłaszano, Luke podniósł wzrok.

- Wkrótce rozpocznie się pokaz fajerwerków - oznajmił, łapiąc Hazel za rękę. - A ja mam obiecany taniec.

Poprowadził ją w stronę klubu, porozumiewawczo puszczając oko. Reid krzyknął coś o spotkaniu się później, Hazel zaś odwróciła się i patrzyła, jak sylwetki Jaime i Reida maleją w oddali. Siedzieli na skraju pomostu, ona wsparła głowę na jego ramieniu. Nawet z dala wyglądała jak zupełnie inna osoba. Jak ktoś bez wątplenia szczęśliwy. Gdy znaleźli się na piaszczystym „parkiecie”, Luke okręcił Hazel i przyciągnął ją ku sobie. Sukienka zaszeleściła przy kostkach, Hazel poczuła na plecach jego ciepłe i silne dłonie.

- Mówiłem ci już, jak pięknie dzisiaj wyglądasz? -

szepnął. Orkiestra zaczęła grać jakiś skoczny, szybki kawałek, lecz oni nadal tańczyli w wolnym tempie, nie zważając na nic.

- Tylko jakieś siedemnaście razy w samochodzie! -

roześmiała się. Ponownie rzuciła spojrzenie w stronę pirsu.

Nie wiedziała, co jest bardziej zdumiewające: fakt, że jej rodzice, prawdziwi rodzice, tulą się do siebie zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej, czy to, że chłopak, który się jej podoba, powiedział, że pięknie wygląda. I to siedemnaście razy.

- Już zaczynałem się bać, że Jaime nigdy nie wygrzebie się z tego dołka - powiedział, podążając za wzrokiem Hazel.

Reid i Jaime tańczyli teraz, kołysząc się pod niebem usianym milionem gwiazd. Reid pochylał się, ugiąwszy lekko kolana, jego długie ramiona otulały wąską talię Jaime.

- Reid wydaje się sympatyczny - rzekła. - Znasz go od dawna?

Luke wzruszył ramionami i znów okręcił ją w tańcu.

- W zasadzie nie - odparł. - Jego rodzice są członkami tego klubu. Myślałem, że to kolejny nadęty chłopak na letnią przygodę. Ale Jaime on naprawdę się podoba. A ją niełatwo zadowolić...

- Tak - roześmiała się. - Zauważyłam.

Luke też parsknął śmiechem i wykonał z Hazel jeszcze kilka tanecznych obrotów, ich ciała wpadły w przyjemny rytm, to zbliżając się do siebie, to oddalając. Nie mogła uwierzyć, z jaką łatwością odprężała się w jego ramionach.

Orkiestra umilkła, tancerze stanęli i nagrodzili muzyków oklaskami. Nad głowami rozległ się trzeszczący odgłos wystrzałów. Hazel zadarła głowę i zobaczyła eksplozję światła

na niebie. Rozpoczął się pokaz fajerwerków.

- Możemy oglądać z wami? - Reid pojawił się za ich plecami, trzymając Jaime pod ramię. - Tam się robi niebezpiecznie. Strużka białych iskier spadła z nieba do wody.

Cała czwórka znalazła długą ławkę na plaży. Hazel zajęła miejsce między Lukiem a Jaime.

Eksplozje bieli, czerwieni i błękitu wstrząsały niebem ponad ich głowami. Hazel poczuła, jak Luke ściska ją za ramię. Zwróciła się ku niemu i uśmiechnęła.

- Szczęśliwego lata, Hazel! - powiedział i pochylił się, by ją pocałować.

*

Tej nocy po sztucznych ogniach i wznoszonych szampanem toastach Hazel po raz pierwszy nocowała „u kogoś”.

Nie tak, jak nocuje się u chłopaka. I oczywiście nie po raz pierwszy dzieliła z kimś pokój. Wcześniej spędziła już wiele nocy w jednym pokoju z Jaime. Nie wspominając całej masy współlokatorek, jakie miała w internatach albo nocowania u rozmaitych przyszywanych kuzynek i kuzynów, do czego była zmuszana przez lata.

Tym razem było inaczej.

Po dotarciu do domu Hazel i Jaime błyskawicznie przebrały się w piżamy, nie zwracając sobie

głowy odwracaniem się do ściany albo strategicznym zasłanianiem się podczas zdejmowania ubrań. Jednocześnie umyły zęby, chichocząc przy wypluwaniu na zmianę pasty do umywalki. A potem zgasiły światła i wskoczyły do łóżek.

Hazel patrzyła, jak Jaime podciąga pod brodę narzutę babki. W pokoju było ciemno, ale przez otwarte okno wpadało światło księżyca, które pozwalało dostrzec jej nieschodzący z twarzy uśmiech. Wyglądała jak zupełnie inna osoba, jak gdyby rysy jej twarzy przeszły transformację i złagodniały.

Hazel poczuła nagle wyrzuty sumienia, że z początku tak bardzo nie lubiła Jaime, która zmagala się przecież z wieloma trudnymi problemami. Problemami, o których Hazel nie miała bladego pojęcia.

- Dzisiejszy wieczór rzeczywiście się wydarzył -

powiedziała teraz cicho Jaime, opuściwszy ciężkie powieki. -

Prawda?

Hazel uśmiechnęła się w mroku.

- Mam nadzieję - odparła, przewracając się na bok.

- Wiesz, co powiedział mi Reid? - zapytała Jaime.

Otworzyła raptownie oczy i utkwiała wzrok w suficie. Raz po raz poruszała przykrytymi kocem nogami, jak gdyby była zbyt podekscytowana, by spokojnie leżeć. - Po fajerwerkach, kiedy siedzieliśmy na plaży. Powiedział, że myślał o mnie przez cały czas. Ze kiedy nie byliśmy razem, czuł się tak, jakby brakowało mu kawałka samego siebie.

Jaime mówiła ściszym, beznamiętnym głosem, jakby wciąż nie mogła uwierzyć, że dziewczyna, o której wspominał

Reid, była rzeczywiście nią. Hazel знаła to uczucie doskonale.

- Nawet nie myślałam, że tak mnie lubi - ciągnęła. - To znaczy, owszem, dobrze się bawiliśmy latem zeszłego roku. I tej wiosny, kiedy przyjechał w odwiedziny. Ale byłam przekonana, że na tym koniec. Kiedy wyjechał jesienią do Dartmouth, pomyślałam...

Usiadła na łóżku i zwróciła twarz ku Hazel, obejmując kolana nagimi ramionami.

- Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że tak potoczą się sprawy - mówiła w zadumie. - Chyba nie chciałam podsycać w sobie nadziei.

Hazel uśmiechnęła się w ciemnościach. Jej życzenie to strzał w dziesiątkę. Powrót Reida zmieni wszystko, dla nich wszystkich. Jaime urodzi dziecko na wyspie i będzie je wychowywać wspólnie z Reidem. Hazel potarła stopę o stopę, nie mogąc spokojnie uleżeć.

- Jaime? - rzekła zniecka, podpierając się na łokciu. -

Zastanawiałaś się, kiedy mu powiesz? No wiesz, o dziecku?

Jaime przewróciła się na plecy i wbiła wzrok w sufit, wzdychając ciężko i przeciągle. Hazel miała nadzieję, że nie zepsuła tej chwili.

- Jeszcze nie - odparła miękkim, przyciszonym głosem. -

Ale będę wiedziała, kiedy nadejdzie odpowiedni moment.

Mam wrażenie, że wszystko dzieje się tak a nie inaczej z jakiegoś konkretnego powodu. Tak jakby spełniały się wszystkie moje marzenia. Wiem, że brzmi to dość wariacko...

Hazel zamknęła oczy i położyła głowę na poduszce.

- Nie - wyszeptała z uśmiechem, głosem spowolnionym od ogarniającej ją senności. - To wcale nie brzmi wariacko.

Dochodziła trzecia nad ranem, gdy dziewczyny zapadły wreszcie w sen, i to nie dlatego, że skończyły się im tematy, ale ponieważ były zbyt wyczerpane, by kontynuować rozmowę. Hazel leżała z otwartymi oczami kilka minut dłużej, wsłuchując się w cichy oddech Jaime.

A potem zasnęła jak kamień i spała twardo, jakby odbyła długą, pełną meandrów podróż i wreszcie położyła się we własnym łóżku, a jej ciężkie ze zmęczenia ciało odnalazło dobrze znane zagłębienia w ciepłym materacu. W domu, nareszcie w domu.

Rozdział 20

Proszę cię, czy mógłbyś przestać się wiercić? - Hazel zapytała Luke'a ze śmiechem. Była sobota kilka tygodni później, pierwszy od prawie miesiąca całkowicie wolny od pracy dzień Jaime. Obudziła Hazel wczesnym rankiem, przetrząsając szuflady komody w poszukiwaniu stroju kąpielowego i powtarzając uparcie, że jest to ich jedyna szansa na podwójną randkę na plaży. Luke'a i Reida nie trzeba było długo namawiać, zatem po przestoju spowodowanym niemożnością znalezienia miejsca na zatłoczonym parkingu najpopularniejszej plaży w Chilmark cała czwórka rozłożyła koce w ustronnym zakątku na miękkim białym piasku.

Reid już rzucał się na sięgające głowy fale, Jaime wybrała się na spacer wzdłuż czerwonych gliniastych klifów wyrastających majestatycznie za ich plecami, natomiast Luke wiercił się na ręczniku, podczas gdy Hazel usiłowała zrobić mu zdjęcie.

- Wcale się nie wiercę! - twierdził z uporem, oparty na łokciach w teatralnej pozie, obracając kwadratową szczękę to w jedną, to w drugą stronę. - Staram się ustawić moim lepszym profilem.

Przewróciła oczami i podciągnęła Luke'a do pozycji siedzącej.

- Niepotrzebny mi twój lepszy profil - westchnęła. - Chcę, żebyś siedział spokojnie.

Od kiedy Rosanna zaproponowała włączenie kilku jej prac do następnego dużego pokazu, Hazel

usiłowała zdecydować, co powinna fotografować. Przecież nie mogła zaprezentować przypadkowych, nonszalanckich zdjęć, na których zwykle się kończyło. Skoro pragnęła wyrzucić na odbiorcach wrażenie i być artystką z krwi i kości, tak jak Rosanna, będzie musiała spróbować nowego podejścia.

I wtedy przypomniała sobie o portretach. Pełna ekspresji twarz rybaka w pracowni Rosanny, opowieść zawarta w oczach starej kobiety. Czy można wyobrazić sobie coś lepszego niż powieszenie obok obrazów Rosanny przedstawiających ważne osoby z jej życia fotografii osób ważnych dla Hazel?

I niech się dzieje, co chce, postanowiła zacząć od Luke'a.

- Proszę cię, przestań się ruszać - błagała, a Luke zgiął

kolana, udając, że pilnie się w coś wpatruje. - Patrz przed siebie na wodę, jakbyś zobaczył coś, co cię przeraziło.

Zwrócił twarz ku Hazel i uniósł rudawozłote brwi.

- Co? Dlaczego?

- No, proszę - nie poddawała się. - Jeśli chcę, żeby Rosanna pokazała moje prace na wystawie, muszą być dobre.

Zechciałbyś potraktować to poważnie ?

Odchrząknął i odwrócił się do oceanu. Hazel przyłożyła do oka obiektyw i ustawiła ostrość na twarz chłopca.

Obserwowała, jak na jego czole pojawia się wyraz skupienia, a brązowe oczy mrużą się i patrzą czujnie.

- Dobrze - rzekła cicho. Przycisnęła spust, a w tej samej chwili Luke wytrzeszczył oczy, otworzył szeroko usta i ryknął

na całe gardło.

- Rekin! - wrzeszczał. - Wyłazić z wody!

Opuściła aparat na kolana i błyskawicznie odwróciła głowę w stronę oceanu. Fale rozbijały się o brzeg, a dalej woda była gładka, spokojna i na pewno wolna od rekinów.

Jedynym kąpiącym się był Reid i albo nie był tak łatwowierny jak Hazel, albo zbyt absorbowano go uchyłaniem się przed nadpływającymi falami, by mógł usłyszeć fałszywy alarm.

Rzuciła spojrzenie Luke'owi, który wyszczerzył zęby w szelmowskim uśmiechu, a gwiazdziste dołeczki w policzkach podrygiwały w miejscu.

- Przepraszam - rzekł i wzruszył ramionami. - Staralem się znaleźć motywację.

Żartobliwie trącał nosem szyję Hazel, gdy suszyła w powietrzu zmarnowane zdjęcie. Próbowwała zachować powagę, ale się nie udało.

- Hej, Blondyna! - zawołała Jaime za ich plecami. Hazel ujrzała ją, jak kuca przy krawędzi czerwonego gliniastego klifu. - Podejź tu. Chcę ci coś pokazać.

Hazel podparła się rękoma i wstała, lekko obsypując piaskiem ręcznik Luke'a, gdy go mijała.

- Dzięki za pomoc - rzuciła z udawaną powagą, wsadzając do torby aparat i dosychającą fotografię. Może będzie miała więcej szczęścia z Jaime.

Dotarła do krawędzi klifu, gdzie Jaime przycupnęła zgarbiona na piasku. Grube ramiączka czarnego stroju pływackiego wyzierały spod obszernej podkoszulki z logo Boston Celtics. Hazel próbowała namówić ją na włożenie dwuczęściowego kostiumu, ona jednak była przekonana, że Reid zauważy ledwo widoczne poszerzenie w okolicy bioder.

Wciąż nie czuła się gotowa powiedzieć mu o dziecku, a nie chciała ryzykować, że sam się połapie.

- Popatrz na to - rzekła Jaime, wodząc dłonią po fragmencie skalnej ściany, gdy Hazel przysiadła obok. - Jeśli przyjrzesz się uważnie, znajdziesz tu mnóstwo różnych rzeczy. - W jej głosie pobrzmiwała nostalgia. - Babcia zawsze zabierała mnie tutaj na spacer.

Hazel przymrużyła oczy, obserwując ciemne szczeliny, ukryte w piaszczystej skalnej ścianie.

- Czego szukamy? - spytała. Nie widziała nic prócz ziemi i kamyczków.

- Wszystkiego, co wydaje się tu nie pasować - wyjaśniła Jaime i wzruszyła ramionami. Przesunęła ręką po krzywiźnie skały, po czym oderwała suchą dotąd dłoń, teraz pokrytą cienką warstwą kruszącego się czerwonego błota. - Niektórzy uważają, że glina leczy. A ja lubię po prostu badać, co w sobie kryje.

Hazel przyglądała się twarzy Jaime, która uważnie lustrowała powierzchnię klifów. Każdy spędzony z nią dzień był nowy i zaskakujący. Od chwili powrotu Reida zagościła w niej jakaś lekkość, zmysł zabawy, który wcześniej był

nieobecny. Nawet kiedy pracowały razem u Rosanny, wykazywała

większą

cierpliwość

i

była

mniej

przewrażliwiona na punkcie wypełniania wszystkich obowiązków. I mimo że większość wolnych wieczorów spędzała z Reidem na kolacjach w mieście albo przesiadując u niego w domu, co noc przed zaśnięciem relacjonowały sobie nawzajem wydarzenia dnia. Jakby Hazel miała siostrę, a ściślej, jak wyobrażała sobie zawsze w marzeniach, jak by to było mieć siostrę.

Tylko że w marzeniach siostra nie była jednocześnie jej matką. Przez większość czasu Hazel o tym jednak nie myślała.

Prawdę mówiąc, natłok rozrywek nie pozwalał jej zastanawiać się praktycznie nad niczym, myślała tylko o tym, że wszystko tak doskonale się układa. A gdyby układało się tak dalej, gdyby Reid i Jaime zostali ze sobą, to może kiedy urodzi się dziecko, będą je wspólnie wychowywać. Gdyby sprawy tak się potoczyły, mogłoby ją czekać wiele miłych chwil. Może nawet do końca życia.

- Spójrz! - Jaime wydała cichy okrzyk, odskrobując warstwy piasku i wyciągając coś, co wyglądało jak mały trójkątny kawałek skały. - Ząb rekina.

Hazel zajrzała w zagłębienie dłoni Jaime. Ząb był kruchy i spękany; wyszczerbioną, łuszczącą się powierzchnię przecinały cienkie czarne linie.

- Jest ich tu na pęczki, a liczą sobie tysiące lat - wyjaśniła Jaime, zaciskając palce wokół znaleziska. - Są też groty strzał.

Jakby cała historia wyspy zatrzymana w czasie. Wystarczy się rozejrzeć.

Wzrok Jaime powędrował gdzieś daleko, a Hazel zastanawiała się, jakie to uczucie być tak mocno związaną z jakimś miejscem. Mieć historię zawartą w tej samej ziemi, po której codziennie się stąpa. Coś więcej niż historię własnej rodziny, historię ludu. Ludu Jaime.

A teraz także ludu Hazel.

Sięgnęła do torby i wyjęła aparat. Bez zastanowienia nakierowała obiektyw na ząb w wyciągniętej dłoni dziewczyny. Palce Jaime były oblepione skorupą gliny i piasku, a wyszczerbiony biały ząb mienił się między liniami na skórze.

Aparat wypluł zdjęcie i dopiero kiedy trzymała je już w ręku, przypomniała sobie, że miała robić portrety.

- Nie ruszaj się! - przykazała i cofnęła się kilka kroków od miejsca, w którym siedziała Jaime.

- Co robisz? - spytała Jaime, chowając rekini ząb w drobnej dłoni.

- Zachowuj się tak, jakby mnie tu nie było - poleciła Hazel, kadrując w obiektywie jej twarz. Ale Jaime czym prędzej ukryła głowę w rękawie podkoszulka, dokładnie w chwili, gdy Hazel pstryknęła zdjęcie.

- Wyglądam jak wieloryb - prychnęła, umknąwszy do kolejnej skały. - Wiesz co, nie wszystkie momenty życia trzeba uwieczniać dla przyszłych pokoleń.

Hazel westchnęła i wsadziła fotografię do kieszeni torby.

Nie musiała patrzeć na rozmazany obraz, by wiedzieć, że jedyne, co zdołała utrwalić, to plama różowych palców i ciemnych włosów.

- Fajny aparat. - Jakiś głos odezwał się nagle zza ramienia Hazel. Odwróciła się i ujrzała owiniętego w ręcznik i ociekającego wodą Reida.

- Dzięki - odparła, mrużąc oczy i chowając się w jego długim, chudym cieniu. - Szkoda tylko, że nikt nie chce spokojnie pozować.

Reid uśmiechnął się i ukląkł na piasku obok niej.

- Nie patrz tak na mnie - rzekł, wycierając dłonie ręcznikiem. - Mam tego dosyć z własnym tatą. To prawdziwy maniak fotograficzny.

Wyciągnął rękę, a Hazel podała mu aparat. Obserwowała, jak obraca go w rękach. Od swego powrotu Reid spędzał

niemal cały czas z Jaime, rzadko mieli zatem okazję ze sobą rozmawiać. Łatwo można było zapomnieć, że jest kimś znacznie więcej niż jej chłopakiem. Był tatą Hazel, a ona wciąż prawie nic o nim nie wiedziała.

- Jest fotografikiem? - zapytała, odgarniając włosy z oczu.

- Twój ojciec?

- Próbuje - odparł Reid, przykładając wizjer do swych jasnoniebieskich oczu. - Raczej kolekcjonerem. Ma w swoim gabinecie

kilka

naprawdę

niesamowitych

odbitek.

Powinniśmy wszyscy wybrać się tam później i je obejrzeć.

Hazel spojrzała na swe bosa stopy na piasku, usiłując wyobrazić sobie opisywanego przez Reida mężczyznę.

Swojego dziadka. Czy to możliwe, by to po nim odziedziczyła geny zamiłowania do fotografii?

Nagle usłyszała znajomy trzask. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Reid zrobił jej zdjęcie.

- Hej! - jęknęła. - To nie fair.

Wzruszył ramionami, strząsając z końców krótkich, rudawych włosów kilka kropel wody, które wylądowały na piegopatym ramieniu.

- Każdemu fotografowi trzeba raz na jakiś czas zrobić zdjęcie - wytłumaczył się z uśmiechem. - Skąd ktoś ma wiedzieć, że tu byłaś?

Wstał, rzucił ręcznik na piasek, odkrywając wilgotne jeszcze kąpielówki w niebiesko - białe paski.

- Uważaj - szepnął i okrążył ją na palcach. Odwróciła się dokładnie w momencie, gdy chwycił Jaime w pasie.

- Neeee! - zapiszczała dziewczyna, wyciągając ramiona ku skale, gdy Reid ciągnął ją na brzeg. - Mój ząb rekina!

- To tylko skały! - roześmiał się. - Będą tu nadal, kiedy wrócisz.

Jaime okładała jego ramiona mocno zwiniętymi piąstkami, ciemne włosy opadły jej na twarz, szeroki uśmiech rozciągał

się od ucha do ucha. Reid zanurzył ją w wodzie, moczając podkoszulkę. Jaime patrzyła szalonym wzrokiem i śmiała się na całe gardło, próbując złapać oddech.

Hazel starła z obiektywu kilka drobinek piasku, schowała aparat do torby i wróciła na koc.

- Nie każ mi wychodzić na brzeg! - zawołał Luke. Stał w sięgającej pasa wodzie i machał do Hazel, żeby do niego dołączyła.

Wyzywająco pokręciła głową, oddech już zaczynał drżeć z podniecenia.

- No dobra! - wołał Luke, biegnąc w jej kierunku. - Sama się o to prosiłaś.

Nim zdążyła się zorientować, co się dzieje, był już przy niej, wziął ją pod kolana i przerzucił sobie przez ramię jak szmacianą lalkę. Gdy pędził na brzeg oceanu, Hazel dostała aż czkawki ze śmiechu, obserwując podskakujące klify.

Wstrzymała oddech, kiedy piasek pod bosymi stopami Luke'a pociemniał i stał się bardziej grząski. Spienione białe fale obmyły mu kostki, a już po chwili runęli oboje w zatykającą z zimna wodę.

Kilka sekund później, gdy wyłonili się jednocześnie na powierzchnię, wciąż przywierali do siebie ramionami, ich nosy dzieliła odległość zaledwie kilku centymetrów. Trwali tak przez długą chwilę, mrugając powiekami i z trudem łapiąc powietrze. Żadne z nich nie chciało pierwsze zwolnić uścisku.

Po plażowaniu, kiedy pomarszczone od wody palce przybrały wygląd suszonych śliwek, kostiumy

kąpielowe były pełne piasku, a policzki muśnięte słońcem i obsypane piegami, Reid zaproponował, aby pojechać do niego na kolację.

- Rodzice są na jakiejś imprezie charytatywnej - wyjaśnił, gdy wyjeżdżali z parkingu przy plaży. - Ale kucharze na pewno będą na miejscu.

Hazel zerknęła na Luke'a, siedzącego obok na lepiącym się do skóry tylnym fotelu. „Kucharze”?, zapytał bezgłośnie, a ona poklepała go po udzie. Było jej wszystko jedno, kto zajmie się gotowaniem; jej tato zapraszał ich do siebie do domu na kolację. I nic innego się nie liczyło.

Jechali z opuszczonymi szybami, mijając farmy, posiadłości skąpane w bujnej zieleni i ukryte w głębi stawy.

Gdy Reid zaczął skręcać na skrzyżowaniu w pobliżu lotniska, czy raczej utwardzonego prowizorycznego pasa do lądowania pośród zarośniętego pola, Jaime pochyliła się do przodu na fotelu pasażera.

- Jedź prosto! - poleciała, pokazując przez szybę. - Będzie szybciej.

Reid nie odkręcił kierownicy i potrząsnął głową.

- Chyba znam drogę, Jaime - rzekł ze śmiechem. - To mój dom.

- Dom może i twój - odparła z uporem. - Ale wyspa moja.

I jedziesz złą drogą.

Reid, wciąż się śmiejąc, włączył radio i przerzucał kanały, by znaleźć coś zbliżonego do klasycznego rocka. Jaime skrzywiła się i szybko zmieniła stację, wybierając coś bardziej popowego. Podkreśliła głośność i miotła włosami w rytm muzyki. Reid napotkał spojrzenie Hazel w lusterku wstecznym i rzucił jej rozbawiony uśmiech, który ona odwzajemniła.

Była to jej pierwsza w życiu rodzinna przejażdżka, choć wiedziała o tym tylko ona jedna.

Skręcili w boczną drogę biegnącą wzdłuż skalistych cypelków wybrzeża. Po jej obu stronach wznosiły się stare wiktoriańskie domy, z których wiele wyglądało na hotele lub restauracje. Na ostrym zakręcie Reid zjechał w wąski podjazd i wyłączył silnik.

- Dom, ukochany dom - powiedział, gdy wysypali się, z samochodu. Podjazd był wysadzany wysokim, strzyżonym żywopłotem, rząd krzewów różanych obsypanych różowymi kwiatami rósł przy werandzie widokowej.

Wewnątrz kręcone schody prowadziły na piętro, skąd było widać elegancki salon wraz z małym fortepianem i meblami na zwierzęcych łapach. Jamie popędziła do łazienki; nie męczyły jej jeszcze żadne dziwaczne zachcianki, na które przygotowały ją książki o ciąży, za to potrzeba nieustannego siusiania pojawiła się zgodnie z harmonogramem.

- No, no - wykrztusił Luke, stając przy fortepianie i brzdąkając w kilka klawiszy o wyższych dźwiękach. - Na pewno w porządku, że tutaj jesteśmy?

- Oczywiście! - Reid rzucił ręcznik na krzesło z wysokim oparciem. - Rodzice są przyzwyczajeni. W gruncie rzeczy nie są takimi sztywniakami, na jakich wyglądają.

Podniósł wzrok na obraz w pozłacanej ramie powieszony nad fortepianem. Portret przedstawiał wytworną parę stojącą przed żarzącym się kominkiem. Mężczyzna był wysoki, prezentował się sztywnie w gustownym garniturze, kobieta zaś była filigranowa, miała rude włosy w ciemnym odcieniu.

U ich stóp na orientalnym dywanie leżały spokojnie dwa golden retrievery o lśniącej sierści.

Hazel patrzyła na malowidło szeroko rozwartymi oczami.

Oto jej dziadkowie. Oto psy jej dziadków.

- Hej! - powiedział Reid, zaskoczywszy ją od tyłu.

- Chcesz obejrzeć te zdjęcia, o których ci wspominałem?

Skinęła głową i ruszyła za Reidem w stronę schodów.

Luke usiadł ostrożnie na błyszczącym stołku fortepianowym.

Hazel widziała, że bardzo się stara niczego nie popsuć ani nie pobrudzić. Przechodząc obok, ścisnęła go za ramię dla dodania otuchy.

Reid poprowadził ją na górę, następnie długim korytarzem i za drzwi z grubego szkła. Gabinet ojca był owalnym pokojem zastawionym regałami wypełnionymi książkami, z ciemnym mahoniowym biurkiem pośrodku.

- To tutaj - oznajmił Reid, pstrykając włącznik światła za drzwiami. Zapalił się tuzin rozmieszczonych strategicznie lamp, doskonale oświetlających oprawione w ramy fotografie, którymi był wytapetowany każdy centymetr kwadratowy ścian.

- Ma wszystkiego po trosze - wyjaśnił Reid, obchodząc pokój wolnym krokiem. - Edward Weston, Cartier - Bresson

- wymieniał, wskazując na zdjęcie grupki dzieci bawiących się w fontannie.

Hazel miała wrażenie, że widziała już te fotografie, prawdopodobnie w jednym z albumów, które wertowała godzinami w księgarniach, choć nigdy nie mogła sobie pozwolić na ich kupno.

Stawała blisko fotografii, powolutku przesuując się od jednej do drugiej. Zatrzymała się na dłużej przed czarno -

białym obrazem plaży w pochmurny dzień; zakrzywiona linia brzegowa przecinała zdjęcie po przekątnej, od góry do dołu.

- To oryginalny Ansel Adams - objaśnił Reid, stając za Hazel ze skrzyżowanymi ramionami.

Skinęła głową i przysunęła się bliżej, odczytując tytuł

pracy.

- Plaża Rodeo - przeczytała na głos. - Ja tam byłam!

Przyjrzała się z bliska fotografii morskiego brzegu.

Była na tej plaży, zaraz za mostem Golden Gate w Marin County, kilka razy z Royem i raz czy dwa z grupami z internatów. Plaża leżała niedaleko miasta, a także mieszkania Roya w San Rafael, ale samochody zawsze jechały przez tunel sznureczkiem w żółtym tempie. Zazwyczaj Hazel była zmuszona wlec się tam w czyimś towarzystwie, mając ochotę natychmiast wracać. Plaża, którą zapamiętała, w niczym nie przypominała nieskazitelnej linii brzegowej, na którą patrzyła w tej chwili przez obiektyw Ansel Adamsa.

- To ulubiony fotograf mojego taty - powiedział, pokazując kilka innych podobnych pejzaży. - Tato zawsze powtarza, że amerykański zachód jest marzeniem każdego fotografa. Wydaje mi się, że żałuje, że tam nie mieszkamy.

Westchnęła cicho, patrząc na Reida, który przechodził za biurkiem ojca na drugą stronę pokoju. Ileż razy marzyła o mieszkaniu gdzie indziej? Wciąż nie mogła uwierzyć, że w dziwny i przypadkowy sposób jej życzenie się spełniło.

- Sam nie wiem - rzekł Reid, stając przy wielkim oknie wykuszowym w głębi pokoju. - Gdybym był fotografem, trudno byłoby mi wyobrazić sobie coś piękniejszego niż to.

Spojrzała ponad jego ramieniem. Okno wychodziło na ocean oraz długie niszczące moło, które zakreślało w kierunku horyzontu. Urokliwa biała latarnia morska przycupnęła na niewielkim kamienistym wzgórzu. Reid miał

rację: był to obraz czekający na swoje zaistnienie.

- Reid! - krzyknęła z dołu Jaime. - Jak się włącza telewizor? Tu jest ze dwieście pilotów!

- Już idę! - odkrzyknął Reid, wycofując się do holu. -

Możesz tu zostać, jak długo chcesz - rzucił przez ramię. -

Tylko zgaś światła, gdy będziesz wychodziła.

Patrzyła w ślad za nim, długie szczupłe ramiona kołysały się, gdy stawiał spieszne kroki.

- Hej, Reid! - zawołała za nim. - Dziękuję. To naprawdę wspaniałe.

Uśmiechnął się.

- Drobnostka - rzekł z przyjacielskim wzruszeniem ramion.

Zbiegł w podskokach ze schodów, a Hazel odwróciła się w stronę gabinetu. Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale czuła się teraz silniejsza. Jak gdyby przez większą część życia dryfowała tu i tam, a teraz poczuła nagle związek z czymś konkretnym, namacalnym. Może za sprawą uczuć, jakie Jaime żywiła wobec wyspy i tych jej grotów strzał. To było jej miejsce na ziemi.

Hazel po raz ostatni rzuciła okiem na kolekcję dziadka, zgasiła światła i zbiegła po schodach, by dołączyć do reszty.

Rozdział 21

Jestem z tyłu na zewnątrz! - zawołała Rosanna zza pracowni. Hazel niepewnie niosła w jednej ręce dwa niebieskie kubki kawy z francuskiego ekspresu i talerz babeczek Emmetta w drugiej. Szła ostrożnie przez łaskoczące źdźbła wysokiej trawy. Zastała Rosannę na patiu.

- Wiem, powinnam się pakować - westchnęła malarka.

Był początek sierpnia. Przygotowania do wielkiej przeprowadzki na drugi kraniec kontynentu szły pełną parą.

Jaime i Hazel spędzały większość czasu na pakowaniu biura i planowaniu szczegółów przenosin, choć starały się za wszelką cenę unikać rozmów o konsekwencjach przeprowadzki.

Rosanna miała się zająć swoją pracownią i przygotowaniem do pożegnalnego przyjęcia na koniec lata, które zamierzała zorganizować na farmie. Ostatnimi czasy wydawało się jednak, że więcej maluje, niż pakuje.

Tego dnia ustawiła sztalugę na zewnątrz, przodem do tej części klifu, gdzie niewielka kępka śliw chyliła się w stronę oceanu.

Hazel postawiła kawę i babeczki na niskim szklanym stoliku i zerknęła ponad ramieniem Rosanny na płótno.

Ogarnęło ją uczucie, że to nagłe malarskie natchnienie jest jej sposobem na odsunięcie od siebie konieczności zmierzenia się z przeprowadzką, namacalnością choroby - skądkolwiek jednak płynęło, jego owocem był zapierający dech w piersiach zbiór pejzaży. Dopiero zaczęła szkicować kontury klifów i horyzontu, ale Hazel od razu wiedziała, że artystka próbuje czegoś nowego.

- Przyszłam tu wczesnym rankiem i coś w świetle padającym na te drzewa nie pozwoliło mi opuścić tego miejsca - wyjaśniła. - Czasem, kiedy utknę przy portrecie, lubię wypróbować coś całkowicie innego. Jakbym miała ochotę wymazać przeszłość i zacząć wszystko od nowa.

Wzrok Hazel znów spoczął na obrazie. Dokładnie rozumiała odczucia Rosanny. Po kolejnym tygodniu nieudanych

prób

fotografowania

swoich

przyjaciół

postanowiła w końcu pójść w innym kierunku. A od kiedy Reid pokazał jej kolekcję ojca - jej dziadka - zaczęła się zastanawiać, że być może do niej także przemawiają krajobrazy. Gdziekolwiek się obejrzała, widziała kolejny piękny pejzaż, a głos Reida wciąż dźwięczał jej w uszach. Ta wyspa rzeczywiście była marzeniem fotografa i głupio byłoby nie wykorzystać tego wszystkiego, co rozpościerało się tuż przed nosem.

Rosanna usiadła na krześle z kutego żelaza i sięgnęła po ciepłą babeczkę.

- Mmm... - zamruczała, delektując się ciastkiem. - Jak sądzisz, co musiałabym zrobić, żeby nakłonić Emmetta do wyjazdu z nami do Kalifornii?

Hazel zajęła miejsce naprzeciwko i poczęstowała się kawałkiem kruchego ciasta. Tym razem był to jeżynowy placek z wiórkami białej czekolady, w którym cierpkość ciemnych owoców mieszała się z delikatną słodyczą czekolady.

- Mam jednak przeczucie, że będzie mnie miał serdecznie dość, kiedy zakończymy planowanie menu na przyjęcie -

rzekła z zadumą Rosanna. - Powiedziałam mu, że nie musi przygotowywać wszystkiego sam, ale się uparł.

Hazel wypła łyk kawy i obserwowała mewę pikującą nad krawędzią klifu i nurkującą za skarbami skrytymi w oceanie.

- A skoro mowa o przyjęciu - ciągnęła Rosanna, biorąc do ręki kubek i wodząc palcem po ledwo widocznym mokrym śladzie, jaki pozostawał na szkle. - Zdecydowałam już, jakie fotografie chcesz pokazać?

Hazel przełknęła łyk gorącej kawy.

- Na przyjęciu? - zapytała, a żołądek wykonał nerwowego fikołka. - Pożegnalnym? Będzie też pokaz?

Mimo że w głębi serca myśl o wystawie cały czas towarzyszyła Hazel, Rosanna nie powiedziała na ten temat niczego konkretnego od czasu rozmowy w hotelowym holu.

Teraz, gdy pokaz przybrał realne kształty, miał realną datę i realnie planowaną listę gości, fakt, że

zgodziła się w nim'

uczestniczyć, także stał się realny. Realny i przerażający.

Rosanna pokiwała głową.

- Czemu nie? - Uśmiechnęła się. - Czyż można sobie wyobrazić lepszy pretekst do próby pozbycia się (stert)'

obrazów niż przeprowadzka na drugi koniec kraju?

Hazel przełknęła ślinę i spojrzała na swe białe stopy w trawie. Bardzo się starała zrobić kilka porządných zdjęć, lecz wciąż nie miała niczego, co byłaby gotowa pokazać.

- Nie wiem - odparła cicho. - Po prostu nie jestem pewna, czy mam cokolwiek, co byłoby wystarczająco dobre. Bo gdybym miała moje portfolio, prace, które moja nauczycielka przesłała do szkoły sztuk pięknych...

- Chwileczkę. - Rosanna uniosła palec. - Wybierasz się do szkoły plastycznej ?

Hazel wzruszyła ramionami.

- Tak naprawdę jeszcze się nie zdecydowałam. Ale zostałam przyjęta na studia w Nowym Jorku.

- Idziesz do szkoły plastycznej - powtórzyła Rosanna, lecz tym razem nie było to już pytanie. - I powiem ci o czymś, czego dowiesz się na samym początku. Ty sama będziesz zawsze swoim najsurowszym krytykiem. Przestań stawać sobie na drodze, a dokonasz zdumiewających rzeczy. Dobrze?

Hazel urosło serce. Choć Rosanna nie była jej matką, dziewczyna uświadomiła sobie nagle, jak bardzo nadal pragnie jej aprobaty. Sam fakt, że poświęcała jej czas, udzielała rad i traktowała serio, dodawał jej skrzydeł.

Malarka wyciągnęła szyję i pokręciła głową. Wyglądała na zmęczoną. Hazel trudno było pamiętać o jej poważnej chorobie. Częściowo dlatego, że tak znakomicie ją ukrywała, a także dlatego, że Hazel wiedziała, jak wiele ma jeszcze przed sobą lat. Zdarzało się jednak, że Rosanna przestawała się pilnować, a wtedy Hazel musiała uważać, by nie chwycić jej za rękę i nie zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

- Co słysząc u Jaime? - zapytała zniecierpliwiona Rosanna.

Miała nadal zamknięte powieki, słońce sączyło się w płytkie zmarszczki wokół oczu. - Prawie jej nie widuję. Znowu spędza mnóstwo czasu z tym chłopakiem z klubu jachtowego, co?

- Z Reidem. - Hazel przytaknęła ruchem głowy. - Często są razem.

- Co o nim sądzisz? Tak szczerze. Widziałam go tylko raz, a od tygodni nie miałam okazji

porozmawiać z nią w cztery oczy. Ostatnio wydaje się jakaś, sama nie wiem, odmieniona. Wszystko w porządku?

Serce skoczyło Hazel do gardła, gdy szukała właściwych słów. Jaime wciąż nie powiedziała Rosannie o dziecku i choć ostatnią rzeczą, której Hazel pragnęła, był wyjazd Jaime do Kalifornii, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że najwyższy czas, by Rosanna wiedziała, co w trawie piszczy. Sama Hazel wychodziła ze skóry, by być pomocną, czytała wszystkie książki o ciąży, jakie tylko wpadły jej w ręce, zaczynała jednak czuć, że Jaime przydałaby się rada kogoś starszego.

W dodatku Rosanna nie była jedyną osobą wciąż pozostającą w niewiedzy. Jaime nie powiedziała też o niczym Reidowi. Hazel próbowała ostatnimi czasami robić subtelne aluzje w nadziei rozgryzienia planów Jaime. Kiedy ma zamiar mu powiedzieć? I w jaki sposób? Wyglądali z Reidem na idealną parę i serce biło jej mocniej za każdym razem, gdy wyobrażała sobie, jak inaczej wyglądałoby jej życie, gdyby dorastała z nimi jako rodzicami.

Ale najpierw Reid musiałby dowiedzieć się, że ma zostać ojcem.

- Wszystko jest super! - zdobyła się wreszcie na odpowiedź. Bez względu na to, jak bardzo pragnęła przyspieszyć cały proces, wiedziała, że akurat ta decyzja nie należy do niej. Podobnie jak powiedzenie o tym Rosannie. -

Reid jest naprawdę uroczy, a Jaime jest o wiele szczęśliwsza od czasu jego powrotu.

Malarka uśmiechnęła się, w jej przejrzystych zielonych oczach znów zagościł niewymuszony spokój.

- To dobrze - skostatowała. - Chyba tylko to się liczy.

Hazel ścisnęło się gardło. Zawsze zastanawiała się, jakie to uczucie, skłamać przed dorosłym. Podśluchiwała dziewczyny w szkolnej toalecie, nakładające makijaż, którego matki zakazywały im nosić i relacjonujące sobie przyciszonymi głosami wszystkie historyjki, które serwowały rodzicom, gdy wracały do domu po czasie. Hazel myślała sobie wtedy, że to jedyna rzecz związana z faktem posiadania rodziców, do której nie tęskni.

Teraz jednak, siedząc naprzeciwko Rosanny, poznała drugą stronę kłamstwa. Ktoś gdzieś zadawał pytania. Ktoś się troszczył. I raptem zaczęła zazdrościć tamtym dziewczynom w toalecie. Ale także ogarnęła ją złość. Złość, że nie miały pojęcia, jakie z nich szczęściary. Rosanna nie była przecież matką Jaime, ale interesowała się nią wystarczająco mocno, by zadawać pytania. A to niemało.

Hazel poczuła większą niż zwykle determinację, by odmienić los. Gdyby tak mogła wychowywać się w normalnej rodzinie, gdyby tak mogli wszyscy zostać na wyspie, gdyby tak mogła mieć matkę, która by się o nią martwiła, zadawała jej pytania, pilnowała, żeby nic się jej nie stało - wiedziała, że wtedy już nigdy by nie skłamała.

Rozdział 22

Hej, Annie Leibovitz!

Siedząca w kucki przed stodołą Hazel podniosła wzrok. W

jednej ręce trzymała aparat, drugą osłoniła oczy. Z okna sypialni na końcu korytarza na piętrze wyglądał Luke, bez koszuli, z cudownie potarganymi włosami. - Trochę nie za wcześnie na zbliżenie mojej facjaty? Hazel uśmiechnęła się szeroko i przyłożyła palec do ust, by go uciszyć. Był bardzo wczesny poranek, ona zaś próbowała zrobić kilka zdjęć stodoły w przymglonym świetle przedświt. Nie sądziła, że ktokolwiek będzie już na nogach i wyszła w bluzie narzuconej na piżamę. Zaczynała żałować tej decyzji.

Luke poinformował scenicznym szeptem, że za chwilę zejdzie na dół. Uśmiechnęła się i skierowała obiektyw na stodołę. Przyłożyła wizjer do oka, starając się zmieścić w kadrze jak największy fragment okazałej czerwonej budowli.

Podobał się jej kontrast między czerwoną, łuszczącą się farbą a jasnoszarym, jeszcze nierozświetlonym słońcem niebem, nie potrafiła się jednak zdecydować, jak go skadrować. Zrobiła kilka szybkich zdjęć, a następnie odwróciła się w kierunku klifów i oceanu w dole. Wykonała powolny półobrót, chłonąc panoramę. Była olśniewająco piękna, ale w pewnym sensie zbyt piękna. Od czego zacząć? Który fragment morza i nieba utrwalić?

Zwolniła palcem przycisk, pstrykając kilka szybkich fotek i starając się objąć jak największy fragment krajobrazu.

Przypomniała sobie słowa Rosanny o tym, by nie stawać sobie na drodze. Może rozpoczynając od ilości, dotrze w końcu do jakości.

- Gotowa?

Hazel obróciła się błyskawicznie i zobaczyła Luke'a stojącego przy drzwiach stodoły. Był ubrany do pracy w świeżutką koszulkę polo z logo jachtklubu i czyste szorty khaki.

- Gotowa na co? - zapytała, zbierając rosnący stos zdjęć i wkładając je do zewnętrznej kieszeni torby.

- Zobaczysz - powiedział, odwrócił się na pięcie i ruszył

w stronę srebrnego pikapa Craiga. Powoli odłożyła aparat i rozprostowała nogi. Kolana bolały ją od kucania, szła do samochodu sztywnym krokiem.

- Pospiesz się! - zawołał zza kierownicy. - Inaczej nie zdążymy.

Hazel wskoczyła na siedzenie obok.

- Na co nie zdążymy? Dokąd jedziemy? Poza tym myślałam, że wszędzie chodzisz na piechotę. Ty w ogóle potrafisz prowadzić?

- Bardzo śmieszne! - Luke zapuścił silnik i wycofał auto na podjazd. - To się nazywa niespodzianka, Hazel - rzekł z błyskiem w brązowych oczach. - Cały dowcip polega na tym, że dowiadujesz się

dopiero na miejscu. Wytrzymasz?

Przewróciła oczami, w bocznym lusterku mignęła jej własna twarz. Włosy miała rozczochrane, na policzku odciskały się zagniecenia od poduszki.

- Chyba nie mam wyboru. - Wzruszyła ramionami do swojego odbicia, gdy wóz zaczął podskakiwać na krętej szutrowej drodze, po czym rozsiadła się w fotelu, by cieszyć się przejażdżką.

*

Gdy wjeżdżali na parking dla pracowników klubu jachtowego, niebo wciąż było szare i ciężkie.

- No, wysiadaj, wysiadaj! - Luke poganiał Hazel, a sam pobiegł na koniec pomostu. Zatrzymał się przed rzędem małych motorówek. Na przyjęciu z okazji Święta Niepodległości wyjaśnił, że tymi łódkami przewozi ludzi do portu, gdzie przesiadają się na pokład własnych zacumowanych tam jachtów i wyruszają na całodzienne wycieczki wokół wybrzeża.

Uwijał się przy odwiązywaniu długiej liny z zardzewiałej metalowej knagi. Ona przypomniała sobie obraz Rosanny, portret Luke'a, który widziała w pracowni, i sięgnęła do torby po aparat. Bez słowa uklękła obok jego ręki i ustawiła ostrość na palce, poluzowaną linę owiniętą wokół przedramienia.

Chłodne szare światło odbijało się w migoczącej wodzie.

Uśmiechnął się, pokręcił głową i wrzucił do łodzi odwiązaną linę.

- To już ostatnie - roześmiała się, gdy chłopak wskoczył

na lśniący dziób i wyciągnął rękę, by pomóc jej zeskoczyć z pomostu. - Obiecuję!

Pstryknął włącznik, silnik zacharczał. Usadowiła się w kącie, patrząc, jak szklista woda opływa zaokrąglony kadłub.

Niebo powoli rozjaśniało się, przybierając barwę bladego błękitu, oni zaś płynęli w stronę rażącej pomarańczowej plamy na horyzoncie.

Luke wsunął kolana pod plecy Hazel, leniwie sterując jedną ręką. Oparła się o niego, morska bryza podrywała kosmyki jej włosów i rozsypywała je wokół twarzy.

- Fajna ta niespodzianka! - krzyknęła przez ramię. Silnik pracował głośno, wiatr niósł po wodzie jej głos w przeciwnym kierunku.

Luke pochylił się do przodu, jego pachnące mieszanką szamponu i soli włosy łaskotały ją w policzek.

- Jeszcze nie dotarliśmy na miejsce - powiedział.

Spoglądała w stronę przystani. Płynęli między rozproszonymi rzędami jachtów, których wielkie lśniące kadłuby górowały ponad ich ramionami. Kiedy wreszcie znaleźli się na otwartej wodzie,

Luke wyłączył silnik i doczołgał się do siedzącej niżej Hazel.

- Jesteśmy - powiedział, wskazując na horyzont. Starannie ustawił motorówkę w takim położeniu, by mogli podziwiać powolne wyłanianie się słońca zza linii horyzontu.

Wcisnęła głowę pod brodę Luke'a. To, co rozpoczęło się nieśmiałym wybuchem żółceni, przybierało teraz pewny kształt kuli, rzucając na powierzchnię wody skrzące się jak klejnoty desenie.

Zaparło jej dech w piersi. Widok był piękny aż do bólu.

Luke założył jej za ucho kosmyk włosów.

- Co ty na to? - zapytał. - Miła niespodzianka?

Chciała coś powiedzieć, ale w jej serce zapadł dotkliwy smutek. To było czymś więcej niż miłą niespodzianką. Było najmiłą rzeczą, jaką ktokolwiek kiedykolwiek dla niej zrobił. Wiedziała, że powinna być szczęśliwa, ale choćby Luke był najcudowniejszy i najdoskonalszy pod słońcem, choćby sprawiał mnóstwo uroczych niespodzianek i okazywał

największą troskę, nic nie zmieniało faktu, że ona nie jest tą osobą, za którą ją bierze. Nie miał pojęcia, jak bardzo skomplikowana jest sytuacja, a mogła tylko skomplikować się jeszcze bardziej.

- Wspaniała! - Zdobyła się na uśmiech i mocniej przytuliła do jego boku.

Luke ścisnął ją za ramię.

- Widzisz tę łódź? - zapytał, pokazując na przystań. - Tę z paskiem na kadłubie?

Przymrużyła oczy, by odczytać białe litery wypisane grubą czcionką na granatowym tle.

- „Isabellę”? Luke skinął głową.

- Tak - potwierdził niemal z dumą. - Jej właściciel jest bliskim przyjacielem cioci Ro. Spędza lato w porcie, a każdej jesieni wyrusza w podróż dookoła świata. W zeszłym roku dotarł aż na południowy Pacyfik. Wierzę mu dziurę w brzuchu, żeby zabrał mnie kiedyś ze sobą, ale prawdziwy z niego solista.

Obserwowała, jak kołysze się strzelisty maszt jachtu, jak zwinięte żagle szeleszczą na wietrze.

- Pływa samotnie od zawsze?

- Kiedyś żeglował z żoną - odparł Luke ścisłym, zabarwionym smutkiem głosem.

- Z Isabellą? - domyśliła się Hazel.

Znów pokiwał głową, jego brązowe oczy wciąż patrzyły poważnie, nieruchomo.

- Zginęła w katastrofie lotniczej, kiedy byłem jeszcze mały. Wszędzie w klubie są jej zdjęcia. Każdego roku byli w regatach drużyną nie do pobicia. Wszyscy ją uwielbiali.

Hazel poczuła, jak ręce Luke'a mocniej obejmują ją w talii.

- Od tamtej pory, zdaje się, nie pragnie towarzystwa -

dodał ze smutkiem.

Przytuliła policzek do ramienia swego towarzysza.

- Czasami ludzie nie wiedzą, czego pragną, póki tego nie dostaną - rzekła cicho, jak gdyby do siebie.

Uśmiechnął się, łaskocząc ją w bok.

- W takim razie chyba dobrze, że łatwo się nie poddamę -

powiedział, tuląc ją. - Poza tym mam pewien plan.

- Czyżby? - rzekła z uśmiechem. - Jaki?

- No cóż - odparł, odchylając się w tył i prostując nad głową długie ramiona. - Kiedy już znajdę sposób na dostanie się na pokład tego jachtu, mogę zacząć pracować nad zaproszeniem tam także i ciebie.

- Zaproszeniem mnie gdzie? - spytała i odsunęła się, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- Na „Isabelle”. Mogłabyś popłynąć z nami.

Jego głos brzmiał lekko i żartobliwie, wiedziała jednak, że jakaś część Luke'a traktuje to poważnie. Wrócił nagle ucisk w piersi, nieznośna obręcz wokół żeber.

- Czemu nie? - forsował swój pomysł. - Masz już jakieś wielkie plany na koniec lata?

Utkwiła spojrzenie w mętnej kałuży, która zebrała się w rogu łodzi.

- Nie myślałam jeszcze o tym na serio - odparła półgłosem, a prawda była taka, że nie zastanawiała się nad tym wcale. Zdołała założyć tymczasową blokadę na myślenie o przyszłości. Zadanie nie było trudne, czas upływał bowiem na kontaktach z Jaime, sprawach związanych z jej ciążą, włączeniu się z Lukiem oraz pracy dla Rosanny. Ledwo miała kiedy pomyśleć o następnym tygodniu, a co dopiero o jesieni.

Ale przyszłość nie pozwalała o sobie zapomnieć. Nie wiedziała, co będzie robić później. Nie miała pojęcia, jakie w ogóle są możliwości. Gdyby powiódł się jej plan i Jaime oraz Reid postanowiliby wspólnie wychowywać dziecko, to znaczy ją, tutaj, na wyspie, co stałoby się z jej życiem, takim, jakie znała?

Nie takiej jednak odpowiedzi oczekiwał Luke. Hazel odchrząknęła i wsunęła za ucho słone, jasne końce długich włosów.

- Nie wiem - zaczęła. - Dostałam się do szkoły fotografii w Nowym Jorku, ale...

- Dostałaś się? - powtórzył, pochylając się ponad jej ramieniem, by zajrzeć jej w oczy. - To fantastycznie! Kiedy zaczynasz?

Odwróciła wzrok, przenosząc spojrzenie na bezkresny ocean.

- Nie wiem - powiedziała. - Prawdę mówiąc, nie miałam ochoty o tym myśleć.

- Dlaczego? Dlatego, że myśl o byciu daleko ode mnie jest zbyt okropna?

Znów ją połaskotał, ale tym razem Hazel wywinęła się z uścisku. Nie zastanawiała się nad przyszłością, a teraz zrozumiała dlaczego. Ponieważ jeśli wszystko się powiedzie i dostanie to, czego pragnie, będzie miała szansę zacząć życie od nowa. Mogłaby wykorzystać ostatnią sukienkę i zażyczyć sobie przeniesienia w czasie, przeżycia na nowo dzieciństwa, tym razem u boku szczęśliwych, kochających rodziców, którzy by się nią opiekowali. Ale rozpoczęcie wszystkiego od nowa oznaczałoby pożegnanie ze wszystkim, co do tej pory poznała - nie mogłaby nawet zachować wspomnień - a także z życiem, które wiodła teraz. A ono obejmowało także Luke'a.

- Żartuję - przekomarzał się, przyciągając ją do siebie. -

Nie musisz o tym myśleć, skoro nie masz ochoty. Od tej pory myślenie jest wręcz zakazane.

Dotknął podbródka Hazel i przechylił ku sobie jej twarz.

Poczuła, jak pieką ją oczy i prędko spojrzała na kałużę na dnie motorówki.

- Hej - powiedział półszepem. - Co się stało? Potrząsnęła głową.

- Nic.

Chciała mu powiedzieć, o czym myśli, wyjaśnić, jak się czuje, lecz on nie mógłby tego zrozumieć. Nigdy nie będą mogli być razem. To niemożliwe.

- Cokolwiek się stanie, z nami wszystko będzie dobrze -

oznajmił. - Obmyślimy sposób, żeby się ułożyło. Okej?

Przełknęła gulę w gardle. Nie chciała kłamać, ale musiała.

Nie miała wyboru.

- Okej - wykrztusiła.

Przytulił ją mocniej i bawił się kilkoma kosmykami jej włosów, a potem uniósł jej brodę. Delikatnie przycisnął wargi do jej ust. Zamknęła oczy, próbując zatracić się w tym pocałunku. Pragnęła tu zostać, w słońcu zastygłym nisko na niebie, i już nigdy nie myśleć o tym, co ma nastąpić. Pragnęła, by ta chwila trwała wiecznie.

Rozdział 23

Totalna katastrofa.

Gdy Hazel weszła do ogrodu, Jaime kręciła głową, kucając między rzędkami truskawek. Było późne popołudnie.

Wracała z biura, gdzie pakowała pudła, gdy zauważyła Jaime na kolanach, wyrrywając garściami gęste, powykęcane chwasty i odrzucając je na kupkę.

- Nie mam pojęcia, co Maura robi tu całymi dniami -

westchnęła Jaime, kiedy Hazel przykucnęła obok. -

Przysięgam, że któregoś ranka słyszałam, jak gada do sałaty.

Jak mogła nie zauważyć, że te małe biedaczyska kompletnie się tu duszą?

Hazel po raz pierwszy znalazła się w ogrodzonym siatką warzywniku. Rosły tam całe rzędy sałaty i kabaczków, pomidory wyższe od niej i przywiązane do drewnianych palików oraz długie tyczki fasoli, rzucające na ścieżkę rozkołysane cienie. Zagon truskawek był wtulony w słoneczny zakątek na drugim końcu ogrodu i tak zachwaszczony, zasłonięty wybująymi pędami winorośli, że trudno było dostrzec wyzierające z tego gąszczu delikatne czerwone owoce.

- Jak rozpoznać, co jest chwastem? - zapytała Hazel, delikatnie ciągnąc za kępkę łykowatego zielska, które wydawało się niepożądane. Palce zeszywniały jej od rwania przez cały dzień taśmy pakowej, ale praca na powietrzu sprawiała przyjemność.

- Jeśli dają się łatwo wyrwać, prawdopodobnie nie powinny tam rosnąć - wyjaśniła Jaime, zanurzając dłonie w miękkiej ziemi i wyciągając garście maleńkich zielonych koniczynek.

Hazel znalazła kępkę słabo ukorzonego zielska i z łatwością wyrwała ją z ziemi.

- Chwasty? - zapytała niepewnie.

- Chwasty - potwierdziła Jaime, odrzucając je na rosnącą stertę. - Ale uważaj na rozłogi. Truskawki to dziwadła.

Wypuszczają takie długie wąsy i ukorzeniają się jakieś trzydzieści centymetrów dalej. Widzisz?

Wzięła do ręki długą, grubą łodyżkę, po której dotarła do drugiej mniejszej kępki, bliżej ogrodzenia. - Tak powstają rośliny - matki i rośliny - córki. Te, które sadzisz, to matki, te, które wyrastają w

miejscu zapuszczenia przez rozłogi korzeni, to córki. Potem córki wypuszczają własne rozłogi. Taka wyłącznie damska prokreacja. Bosko, co?

Hazel uśmiechnęła się do siebie, ostrożnie pieląc wokół

krzaczka rosnącego u jej stóp. W plewieniu było coś satysfakcjonującego. Niemal czuła, że rośliny zaczynają swobodniej oddychać, gdy oczyszczała zachwaszczoną wokół

nich przestrzeń.

- Jutro mu powiem - oznajmiła zniecka Jaime. Hazel wciąż jeszcze nie przywykła do sposobu, w jaki Jaime podejmowała jakąś kwestię w samym jej środku. Albo nie była w nastroju do rozmowy, albo chciała jak najszybciej dobrać do końca. Nigdy nie było żadnego etapu przejściowego.

- Reidowi - ciągnęła, biorąc milczenie Hazel za konsternację. - Powiem mu o dziecku.

- No, no. - Hazel z trudem przełknęła ślinę, serce podskoczyło jej do gardła. - To... poważna sprawa.

Wzięła głęboki oddech, starając się zachować spokój, ale krew natarczywie pulsowała w żyłach. Czekwała na tę chwilę, od kiedy wypowiedziała życzenie powrotu Reida.

Oczekiwanie było wręcz nie do zniesienia, a podczas kilku ostatnich odwiedzin Reida w domku dla gości o mały włos

„przypadkowo” sama nie wypaplała tajemnicy. Nie mogła się doczekać wyjawienia prawdy, wtedy bowiem można by zacząć planować kolejne kroki. Czuła się tak, jakby brała udział w wyścigu; widziała linię mety i nie potrafiła myśleć o niczym innym jak tylko o jej przekroczeniu.

Jaime otrząpywała z ziemi zwartą plątaninę korzeni.

Wręcz maniakalnie uklepywała grunt wokół krzaczka, jakby grała na zwłokę.

- Myślę, że powiem mu w Noc Iluminacji - rzekła stanowczym tonem. - Zdaje się, że to odpowiedni moment, nie uważasz?

Od tygodnia mówiło się o Nocy Iluminacji. Hazel nadal nie do końca rozumiała, co to takiego, poza tym, że były to tradycyjne obchody końca lata w miasteczku, z muzyką na żywo, sztucznymi ogniami i mnóstwem lampionów. Luke poprosił, by mu towarzyszyła, tak jakby mogła wybrać się tam z kimkolwiek innym. Wciąż się denerwował i był

onieśmielony przy składaniu tego rodzaju propozycji, co sprawiało, że zakochiwała się w nim coraz mocniej.

Noc Iluminacji miała być więc istotna z dwóch powodów: specjalnej randki z Lukiem przed końcem lata oraz powiedzenia Reidowi, że ma zostać ojcem.

- Jak myślisz, jak on to przyjmie? - zapytała Hazel, zmuszając się do kolejnych uspokajających

oddechów, by opanować nerwowe drżenie głosu.

Jaime przerwała pienenie i spojrzała przed siebie.

- Nie wiem - odparła. Hazel widziała, że Jaime także stara się ze wszystkich sił zapanować nad emocjami. - Mam szczerą nadzieję, że nie wścieknie się, że tak długo to ukrywałam.

Hazel pokiwała głową. Przywołała obraz twarzy Reida, czułości, z jaką patrzy na Jaime, zawsze troszcząc się o jej dobre samopoczucie. Nie potrafiła wyobrazić go sobie wściekłego.

- Wkrótce wyjeżdża na uczelnię - dodała Jaime, ponownie zagłębiając ręce w ziemi. - Muszę mu powiedzieć, jeśli chcę z nim pojechać.

Ręce Hazel zawisły w powietrzu, ściskając w palcach kłębowisko splątanych chwastów.

- Pojechać z nim? - powtórzyła osłupiała. Wiedziała, że Reid wybiera się jesienią do Dartmouth. Ale pomyślała, że kiedy Jaime powie mu o ciąży, on zmieni zdanie i zostanie z nią na wyspie. Nigdy nie rozważała poważnie możliwości ich wspólnego wyjazdu dokądkolwiek.

- Tak - przyznała Jaime. - Nie mogę prosić, żeby zrezygnował ze studiów. To byłoby nie fair. Już trochę rozmawialiśmy o poszukaniu wspólnego mieszkania. To podobno kapitalne miasto. Mnóstwo ludzi w naszym wieku, kupa różnych rzeczy do robienia i w dodatku blisko gór.

Hazel przysiadła na piętach. Kolana zaczynały ją boleć od długiego kucania, czubki palców u nóg mrowiły. W New Hampshire nie byłoby tak strasznie, pomyślała. Nie tak komfortowo jak na wyspie, ponieważ tam nikogo by nie znali, ale Reid miałby znajomych ze studiów. Fajnie byłoby wychowywać się z młodymi rodzicami w odjazdowym miasteczku uniwersyteckim. Zresztą gdziekolwiek by zakotwiczyli, byłiby tam razem, a o to przede wszystkim chodziło. Nigdy więcej rodzin zastępczych, w których zawsze wydawało się brakować dla niej miejsca, ani okresów „znów mieszkania” albo „znów niemieszkania” z Royem.

Utkwiła wzrok w swoich brudnych paznokciach, obraz zacierał się jej przed oczami, gdy wyobrażała sobie, jak wyglądałoby jej życie, gdyby Jaime zatrzymała ją przy sobie i wychowywała razem z Reidem i gdyby w ostatnim z trzech życzeń zapragnęła powrotu do domu, gdzie ten „dom” by się znajdował.

Miałaby wszystko, czego zawsze pragnęła. Rodziców, którzy darzyliby ją miłością, troszczyli się o nią, co wieczór przy kolacji pytali, jak minął dzień. Prawdziwy dom.

Prawdziwe łóżko. Przyjaciół, z którymi by dorastała i których nie musiałaby porzucać, jeszcze zanim zaprzyjaźniłaby się z nimi na dobre.

Jak by to było? Jaka byłaby ona? Czy interesowałyby ją te same rzeczy? Czy nadal zajmowałoby ją robienie zdjęć?

Czy może byłaby całkowicie inną osobą? A gdyby stała się kimś innym? A gdyby zamieniła się w jedną z tych niewdzięcznych dziewczyn, które bez przerwy narzekały i okłamywały rodziców? Czy

nie mając pojęcia, jak mogłoby wyglądać jej życie, w ogóle doceniłaby to wszystko, co stałoby się jej udziałem?

Tak, uznała. Przy takiej mamie jak Jaime i takim tacie jak Reid na pewno byłaby wdzięczna losowi. Ich trójka stworzyłaby rodzinę, o jakiej zawsze marzyła, i już nigdy nie musiałaby wypowiadać kolejnego życzenia.

- Brzmi super! - powiedziała, odwracając się do Jaime z uśmiechem.

- Też tak sędzę... - zgodziła się Jaime, choć w jej głosie wyczuwało się jakąś wątpliwość. Gęste brwi były mocno ściągnięte, wargi zaciśnięte.

- Co tam będziesz robiła? - zapytała Hazel, wyciągając przed siebie długie nogi, by dać im odpocząć. Tak pochłonęło ją myślenie o zmianach, jakie zaszłyby w jej własnym życiu, że ani razu nie zastanowiła się, co to wszystko oznaczałoby dla Jaime.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i wyrwała kolejną garść chwastów spomiędzy bosych stóp.

- Za bardzo nie wiem - powiedziała. - Pewnie chodziłabym na jakieś zajęcia. Może wtedy nie czułabym się tak parszywie z powodu zrezygnowania ze stypendium.

Hazel zastygła w pół ruchu i odwróciła się do Jaime.

- Stypendium? - zapytała. - Jakiego stypendium?

Jaime wyjęła z kieszeni zmiętą kartkę papieru i podała ją Hazel.

- Jakiś czas przed... tym wszystkim... złożyłam papiery na wydział, który organizuje wykopaliska w Peru. No wiesz, zaginione cywilizacje, starożytne ruiny i takie tam. Nic wielkiego.

- Nic wielkiego? - powtórzyła Hazel. List napisano na grubym papierze opatrzonym jakąś rządową pieczęcią, z tekstem w języku, który przypominał hiszpański, ale nim nie był. - Od jak dawna o tym wiesz?

Jaime ponownie wzruszyła ramionami, biorąc do ręki pismo i składając je na pół.

- Od kilku tygodni. Ale nic nie mogę wskórać. Przyszło w najgorszym możliwym momencie.

Pochyliła się i wygładziła ziemię, w której przed chwilą grzebała, wciskając roślinkę w pulchne podłoże.

- Poza tym - ciągnęła - kiedy składałam podanie, nie miałam pojęcia, co mnie czeka. Teraz, kiedy muszę myśleć o rodzinie, nie wydaje się to aż tak istotne. Liczy się tylko to, żebyśmy zostali razem.

Gorące łzy zapiekły Hazel w kącikach oczu, schyliła się, żeby ukryć twarz. Właśnie to pragnęła usłyszeć. Wsadziła dłonie w ziemię, szarpiąc grube, uparte pnącze. Strzeliło jej w rękę, ona zaś upadła do tyłu, ściskając garść wyrwanych korzeni.

- No pięknie! - Jaime zaśmiała się, udając rozczarowanie i docierając do macierzystego krzaczka. - Córka do ziemi.

Hazel patrzyła na zwisające w dłoni uszkodzone korzenie, przepaszając w milczeniu wyrwaną sadzonkę. I cokolwiek te słowa oznaczały, od tej pory wszystko będzie układać się inaczej. Już nigdy nie będzie czuła się aż tak samotna.

Rozdział 24

Hazel powinna była wiedzieć, że bez pieszej wycieczki się nie obędzie.

Najpierw była wędrówka do miasteczka, z chyba ostatniego dostępnego miejsca parkingowego na całej wyspie.

W Noc Iluminacji wszystkie drogi prowadzące do Oak Bluffs były zastawione samochodami zderzak przy zderzaku, nie wspominając o boisku piłkarskim pękającym w szwach od niezwykle pomysłowo zaparkowanych sedanów i pikapów.

Reid, który zadeklarował się pełnić funkcję szofera w bmw swojego taty, znalazł wreszcie miejsce w pobliżu stacji benzynowej, a Luke radośnie obwieścił, że mają do miasta jeszcze spory kawałek drogi na piechotę.

Później było krążenie wokół miasteczka, nawet Jaime przyznała bowiem, że jest to najlepszy sposób na porządne obejrzenie widowiska płonących lampionów w samym środku wieczornej zabawy. Sznury wielobarwnych papierowych lampionów zwieszały się delikatnie z werand i wisiały w oknach malowanych ozdobnie domów.

Luke prowadził ich przez wąskie boczne uliczki, zamknięte dla ruchu kołowego i pełne spacerujących pieszych.

Rzędy budynków ciągnęły się aż po brzeg oceanu.

Starsze pary bujały się w fotelach na werandach domów, trzymając się za ręce i podziwiając widok. Co pewien czas Luke machał do kogoś i wołał „dobry wieczór”.

- Czy jest na tej wyspie ktoś, kto cię nie zna? - zapytał

Reid, gdy przechodzili przez ulicę w stronę rozłożystej zieleni Ocean Park.

- Jasne! - odparł z uśmiechem, mrużąc oczy. - Ale to nie znaczy, że ja ich nie znam.

W altanie pośrodku parku na drewnianej scenie przygrywał swingujący zespół, grupka ludzi zeszła się na bosa tańce na trawniku. Słońce chyliło się ku zachodowi, małe dzieci wymachujące świetlnymi mieczami biegały po pogniecionych kocach i przeskakiwały między nogami rodziców. Dorośli sączyli wino z plastikowych kubków i wznosili toasty za schyłek kolejnego lata.

Luke ruszył pierwszy, by znaleźć wolne miejsce na trawniku, a Reid z Jaime zostali w tyle przy

krawężniku.

- Dogonimy was później! - zawołał Reid, chwytając Jaime za rękę.

Hazel dostrzegła spojrzenie Jaime i posłała jej uśmiech dla dodania otuchy. Dziewczyna wyglądała pięknie w prostej białej letniej sukience, ale Hazel wiedziała, że się denerwuje.

Tej nocy miała powiedzieć Reidowi o dziecku. Pragnęła przytulić przyjaciółkę, wiedziała jednak, że wzbudziłoby to podejrzenia, zatem gdy Reid odwrócił się, by przejść przez ulicę, podniosła tylko rękę i rzuciła jej bezgłośnie

„powodzenia”.

- Dokąd poszli? - zapytał Luke, zsuwając z ramienia plecak. Wyjął prześcieradło w czerwono - białe paski, które Hazel widziała w szafie z bielizną pościelową w domu Rosanny, strzepnął je i rozłożył na trawie.

- Myślę, że chcą zostać sami - powiedziała, siadając obok niego. Ścisnęła ją w dołku, ledwo mogła skupić uwagę na czymkolwiek, co działo się wokół niej. Tymczasem Luke dołożył mnóstwa starań, by ten wieczór był wyjątkowy.

Zaczął wyjmować z torby niespodzianki: pudełko Tupperware pełne najnowszych efektów eksplorowania przez Emmetta świata ciasteczek (z wiórkami czekoladowymi, orzechami pecan i suszoną żurawiną), termos czerwonego wina i dwa papierowe kubki.

Hazel skrzyżowała nogi, pod cienką warstewką spłowiałej bawełny czuła chłód i miękkość trawy. Przed wyjściem zadreślała się, co na siebie włożyć. Wiedziała, że musi zachować ostatnią sukienkę Posey na później, kiedy Reid i Jaime będą już mieli plan, Hazel zaś będzie mogła wypowiedzieć życzenie rozpoczęcia z nimi wszystkiego od nowa. W końcu zdecydowała się na czekoladowe lniane spodnie Rosanny, do których ubrała biały top bez rękawów z jasnobłękitnymi kwiatkami na ramiączkach. Gdy próbowała wygodnie się rozsiąść, poczuła ulgę, że nie włożyła jednej ze spódnic, których szeroki wybór podrzuciła jej rano Rosanna.

(W ostatnich dniach pakowania przed przenosinami do Kalifornii została zasypana taką masą używanych ubrań, że nie wiedziała, co z nimi zrobić).

Luke rozlał do kubków niewielką ilość wina i podał Hazel wraz z największym ciasteczkiem. Wziął w palce swoje ciasteczko i stuknął nim o krawędź jej herbatnika, wznosząc zabawny, kruszący się toast.

- Za cudowne lato! - powiedział, siląc się na oficjalny ton, i odgryzł kęs.

Uśmiechnęła się i zrobiła to samo. Jakimś cudem ciasteczko było jeszcze ciepłe i wprost rozpływało się w ustach.

Ale nie była w stanie zjeść ani kawałek więcej. Żołądek wywrócił się na drugą stronę, czuła kamień w sercu.

Zastanawiała się, gdzie są w tej chwili Jaime i Reid. W jaki sposób ona zdradzi mu nowinę? Jak on zareaguje?

Musiała się wiercić albo zrobić jakiś grymas, ponieważ ni z tego, ni z owego w jej polu widzenia zjawiała się głowa Luke'a ze zmarszczonym czołem i zatroskanym wyrazem twarzy.

- Co się stało? - zapytał, spoglądając na jej nietknięty kubek wina. - Nie musisz pić, jeśli nie chcesz. Nie mam pojęcia, czy jest dobre, czy nie, tylko takie udało mi się znaleźć w klubie.

Potrząsnęła głową i podniosła kubek.

- Nie, jest świetne! - rzekła. Prawdę mówiąc, nie było zbyt dobre, ale prawie tego nie zauważyła.

Luke rozprostował swe długie nogi, gdy po trawie zaczęły nieść się przyciszone dźwięki muzyki.

- Hazel - odezwał się - jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

Zadarła brodę, by na niego spojrzeć. Dołeczki zniknęły, głos brzmiał jakoś inaczej.

- Co takiego? - zapytała, starając się sobie przypomnieć, ile razy w życiu usłyszała po takim wstępie jakies dobre nowiny „Muszę ci coś powiedzieć” często bezpośrednio poprzedzało

komunikat:

„Nadszedł

czas

kolejnej

przeprowadzki”. Albo ewentualnie - co zdarzało się częściej i było jeszcze gorsze - „Nadszedł czas twojej kolejnej przeprowadzki”. Cokolwiek się święciło, nie zapowiadało się dobrze, i poczuła, jak kuli się w sobie.

- No to po prostu mi powiedz - rzekła twardym i nieprzystępnym głosem. Zdumiała się, jak szybko powróciła do dawnej siebie. Takiej, jaką musiała być w domu, nieustannie spodziewając się zawodu, wiecznie przygotowana na najgorsze.

- To nic wielkiego - powiedział, patrząc na swoje szorstkie, silne dłonie. - Chciałem tylko, żebyś wiedziała, jak przyjemnie spędzam czas. No wiesz, od kiedy się tu zjawiłaś.

Już w chwili, kiedy ujrzałem cię w mieście tamtego dnia, wiedziałem, że chciałbym cię poznać. Wiedziałem też, że nie pójdzie łatwo, ale odniosłem wrażenie, że trud się opłaci. I miałem rację.

Poczuła, jak cała krew napływa jej do policzków.

- I chciałem jeszcze powiedzieć, póki mam okazję... -

Czuła, jak Luke pomalutku przysuwa się bliżej i podniosła wzrok. Jego usta drgały nerwowo, oczy mrużyły się, jakby patrzył prosto w słońce. Szybko zaczerpnął powietrza i wypuścił je, drżąc z emocji. - Kocham cię, Hazel. Kocham cię i wiem, że lato się kończy i że wszystko będzie się zmieniać, ale mam nadzieję... mam nadzieję, że u nas nic nie musi się zmienić.

Hazel wpatrywała się w niego przez chwilę, która zdawała się wiecznością. Jego jasnobrązowe oczy patrzyły nieruchomo, w skupieniu, błagając, by go usłyszała, błagając, by się odezwała... Tymczasem ona nie mogła wykrztusić słowa.

- I to tyle - zakończył z nieśmiałym uśmiechem na ustach.

Głośno przełknęła ślinę, puls galopował, rozbrzmiewał

echem w uszach. Pociągnęła solidny haust wina. Dłoń zaczęła jej drżeć. Wcisnęła kubek w trawę obok, nie chcąc rozlać trunku na prześcieradło. Czytała gdzieś, że plamy z czerwonego wina nie dają się wywabić; pewnie na ulotce reklamowej jakiegoś magicznego spreju albo pałeczki z odplamiaczem, którą wciera się okrężnym ruchem w zabrudzone miejsce na koszuli.

Zrobiło się jej gorąco w szyję, drobne żyłki przy obojczykach pulsowały. Skąd się jej wzięły te pałeczki z odplamiaczem? Luke przed chwilą wyznał jej miłość.

Powiedział, że ją kocha! Nie usłyszała tego nigdy od nikogo.

Nikt nie powiedział nawet czegoś zbliżonego.

Trzeba wymyślić coś sensowniejszego niż wywabiacz plam w spreju.

- Luke... - odezwała się cicho, wbijając wzrok w jeden punkt między czerwonymi paskami na prześcieradle. Obraz zamazał się przed oczami, białe paski przybrały różową barwę.

Czuła, jak chłopak wierci się na trawie, jak krzyżuje i prostuje nogi, chrząka.

- Co się stało? - zapytał półszepem.

Co się stało? Nie bardzo wiedziała, od czego zacząć.

Jasne, że go kocha. Przynajmniej tak się jej wydawało. Od tamtego pierwszego dnia w lodziarni było w nim coś szalenie bezpretensjonalnego. Był taki taktowny. Otwarty i nieskomplikowany. I zawsze można było na niego liczyć. Nie znikał nieoczekiwanie. Nigdy jej nie zawiódł. Nie mogła powiedzieć tak wiele dobrego o żadnej innej znanej jej osobie.

A zatem co się stało? Miała wkrótce wyjechać. Wszystko miało się zmienić. W tej właśnie chwili gdzieś nieopodal Jaime mówiła Reidowi, że będą mieli dziecko. Snuto plany.

Historia pisała się od nowa. Tylko jedno życzenie dzieliło ją od zupełnie nowego życia. I będzie musiała zacząć przeżywać je od nowa.

Bez Luke'a.

Nie pozostawało do powiedzenia nic, co byłby w stanie zrozumieć. Jak mogła mu powiedzieć, że go kocha, i pozwolić uwierzyć, że czeka ich wspólna przyszłość, że nic nie ulegnie zmianie? Jak mogła pozwolić mu myśleć, że to dopiero początek, skoro w gruncie rzeczy było bliżej końca? Byłby to jedynie stek kłamstw.

Luke lekko się wyprostował i obrócił ku niej twarz.

Podniosła wzrok i z miejsca ujrzała tamtego chłopaka z lodziarni, jej osobistego księcia z bajki. Uśmiech, który jej posłał, nie mając bladego pojęcia, z kim ma do czynienia, gotowość do pospieszenia z pomocą bez robienia rozróżnień między osobą obcą a znajomą.

Nie mogła wyznać mu prawdy. Ale nie mogła też skłamać.

Zerwała się na nogi, wygładziła nogawki spodni, wiedząc, że musi się oddalić, dręczona nagle myślą o przyczepionych do tkaniny okruszkach i wilgotnych plamach na siedzeniu.

- Przepraszam - powiedziała, nie odrywając oczu od trawy. - Nie mogę.

- Nie możesz? - rzekł, podnosząc się na kolanach. - Co to znaczy: nie możesz? Ja cię o nic nie proszę. Mówię ci tylko, że cię kocham.

Chciał chwycić ją za rękę, ale cofnęła dłoń. Przystąpiła z nogi na nogę. W kącikach jej oczu wzbierały łzy.

- W czym rzecz? - pytał. Do tonu jego głosu zakradło się coś ostrego. Nie patrząc na niego, wiedziała, że przymrużył

oczy. - Czego się tak boisz? Wiem, że mnie kochasz.'

Dlaczego tak trudno ci to wyznać? Dlaczego nikogo do siebie nie dopuszczasz?

Policzki Hazel były wilgotne, płuca ściśnięte jak w imadle. Pragnęła znaleźć się gdzie indziej. Czowała się tak, jakby ktoś ją rozrywał, zaglądał do środka i obnażał cały mrok ukryty w jej wnętrzu, jak rolka filmu wystawiona nagle na działanie słońca. Nabrała powietrza i popatrzyła na niego twardym, chłodnym wzrokiem.

- Luke! - przemówiła mocnym głosem. - Lato się kończy.

Sam to powiedziałeś. Wszyscy wyjeżdżają. Ja wyjeżdżam.

Jaki to ma sens?

Powoli wstał z klęczek i ponownie wyciągnął do niej rękę.

Nie była w stanie dłużej na niego patrzeć. Był tak mocno zraniony, dotknięty do żywego.

- Sens? - powtórzył z nutą rozczarowania w głosie. -

Czasem brakuje sensu. Nie we wszystkim liczy się osiągnięcie jakiegoś celu, Hazel. Nie wszystko jest wyścigiem. A sens jest taki, że cię kocham. Czy to nie wystarczy?

Wielka gula stanęła jej w gardle. Wiedziała, że czas odejść. Sytuacja stała się nie do zniesienia. Wszystko, czego pragnęła, stało tuż przed nią. Jej księżę z bajki, błagający, by pozwoliła mu wkroczyć w jej życie.

Ale nie mogła.

- Przepraszam - powiedziała, uwalniając się z jego uścisku. - Przepraszam.

Gdy szła w stronę drogi, czuła na sobie jego spojrzenie, przyciągające ją niczym magnes. Głowę rozsadał ból, serce krwawiło.

Musiała zebrać w sobie wszystkie siły, aby się nie odwrócić.

Rozdział 25

Hazel nie wiedziała, jak długo już szła, gdy znajomy samochód zwolnił i zatrzymał się obok niej. Byli to Maura i Craig. Mieli już dość tłumów w mieście i wyjechali wcześniej, chcąc zdążyć przed korkami. Po drodze dostrzegli ją na poboczu. Wsiadła i siła się na uprzejmość, wdając się w rozmowę o planach przyjęcia wydawanego przez Rosannę w najbliższy weekend, lecz w głębi duszy pragnęła jedynie zwinąć się w kacie i płakać.

Zanim dotarła do domku dla gości, oczy nie wytrzymały już naporu powstrzymywanych łez. Miała nadzieję, że Jaime będzie jeszcze z Reidem. Chciała wiedzieć, jak poszło, ale nie była pewna, czy wystarczy jej sił na udawanie, że nic się nie stało.

Umyła zęby, zerkając na swe odbicie w lustrze. Włosy były dłuższe niż kiedykolwiek, widoczny był już ich naturalny, kasztanowy kolor. Oczy miała czerwone i zapadnięte. W myślach rozbrzmiewał echem głos Luke'a. Nie znał całej historii, ale nie znaczyło to, że nie miał racji.

Rzeczywiście, trudno jej było kogokolwiek do siebie dopuścić. Ale czy to jej wina? Do tej pory nikt tak naprawdę nie próbował. Przez osiemnaście lat robiła, co mogła, żeby do nikogo i do niczego się nie przywiązywać. Jaki pożytek z angażowania się, skoro i tak później zostaje się na lodzie?

Ochlapała twarz zimną wodą i ruszyła korytarzem.

Otwierając drzwi, usłyszała nierówny oddech dobiegający z wnętrza pokoju. Pospiesznie wytarła oczy i pozbierała się.

Ale Jaime nie była w stanie zauważyć czegokolwiek.

Siedziała zgarbiona przy oknie, podwinęła nogi i wyglądała na zewnątrz. Nie płakała, ale było widać, że wcześniej - owszem.

Na twarzy widniały czerwone plamy, ciemne oczy miały zaczerwienione obwódki.

- Jaime? - odezwała się cicho, zamknawszy za sobą drzwi.

Dziewczyna nie poruszyła się i przez krótką chwilę Hazel zastanawiała się, czy przypadkiem nie śpi. Miała otwarte oczy, ale tak pozbawione wyrazu i nieruchome, że stan czuwania wydawał się niemożliwy. Wyglądała jak... odrętwiała.

Hazel usiadła na skraju łóżka Jaime, nerwowo chwytając palcami brzeg spłowiałej patchworkowej narzuty, uszytej przez babcię. Tkanina była poprzecierana, a wypełnienie tak cienkie, że kapa wydawała się lekka jak prześcieradło, lecz mimo wszystko sprawiała pod palcami wrażenie czegoś solidnego.

- Co się stało? - zapytała, przysuwając się odrobinę bliżej.

Jaime skurczyła się w sobie i wtuliła w okno, jak gdyby istniała jakaś linia, jakaś granica wyznaczająca odległość od drugiej osoby, którą była w stanie tolerować. A Hazel przekroczyła tę granicę.

Odchyliła się do tyłu, skrzyżowała nogi, bosc stopy zwisały poza krawędź materaca.

- Jaime - powiedziała znowu. - Musisz mi powiedzieć, co się dzieje. Nie ruszę się stąd, póki czegoś nie powiesz.

- Nie ma nic do powiedzenia - wyszeptala Jaime. Jej głos był cichy i beznamiętny, Hazel poczuła chłód jeżący delikatne włoski na karku, jak gdyby nagle ktoś otworzył okno. - To koniec. Powiedziałam mu. Już po wszystkim.

Hazel ścisnęło się gardło, gdy znów próbowała podsunąć się bliżej. Nie obchodziło jej, czy Jaime przyklei się za chwilę do szyby, chciała znaleźć się blisko niej. Nie miała pojęcia, co powiedzieć albo o co zapytać, ale wiedziała, że tam jest jej miejsce. Ze musi przy niej być.

- Co powiedział? - zapytała.

Jaime wzdrygnęła się, jakby pytanie ją zabolalo, Hazel zaś pożałowała, że je zadała.

- Raczej czego nie powiedział - odparła z westchnieniem i wreszcie zamrugala powiekami, opierając się wygodnie o ścianę. - Na początku był po prostu zły. Wściekły, że wcześniej nie pisnęłam nawet słowa. Po wyrazie jego oczu zorientowałam się, że jest przerażony. Interesowało go wyłącznie to, komu jeszcze powiedziałam, kto już wie, czy dowiedzą się jego rodzice...

Wzruszyła ramionami i próbowała się roześmiać, lecz już po chwili łkała.

- Jakie to głupie! - płakała, waląc w kościste kolana drobnymi, zaciśniętymi pięściami. - Co ja właściwie wyprawiam? Siedzieliśmy zwyczajnie w samochodzie, a on gadał i gadał o tym, jacy to jesteśmy młodzi, jak wszystko się przez to zmieni, jak to mamy przed sobą całe życie. Jakbym oglądała film umoralniający dla młodzieży. Patrzyłam przez szybę i zastanawiałam się, jak ja się w to

wpakowałam? Nie tak miało wyglądać moje życie.

Jaime chwyciła się oburącz za głowę i nagle w jej spojrzeniu pojawiło się szaleństwo, zaczęła gwałtownie mrugać powiekami. Wyglądała tak, jakby ścigał ją jakiś koszmar, ona zaś zdała sobie raptem sprawę, że nie ma już gdzie się ukryć.

Hazel nie mogła tego dłużej znieść. Otoczyła Jaime ramionami i zamknęła ją w ciasnym uścisku. Zdumiała ją jej sztywność, twardość i napięcie kończyn.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała.

Ledwo słyszała własny głos zagłuszany przez urywany oddech Jaime i jej stłumiony szloch przy swojej szyi. Miała jednak nadzieję, że jej słowa zabrzmiały tak, jakby wierzyła w to, co mówi. Choć nie miała pojęcia, czy rzeczywiście w to wierzy.

- Wszystko się ułoży - dodała. Jaime odsunęła się i otarła policzki wierzchem dłoni. - Może on zwyczajnie potrzebuje czasu. Wiesz, musi ochłonąć, i może...

- Nie sądzę, bym dała radę - przerwała Jaime.

Patrzyła prosto na Hazel, brązowe oczy nerwowo omiatały twarz dziewczyny. Jakby mogły wyczytać z niej odpowiedź.

Jak gdyby wystarczyło przyjrzeć się jej z dość bliska albo dość długo, żeby wiedzieć, co dalej robić.

Hazel czuła, jak wiotczeją wszystkie mięśnie w jej ciele.

- Jak to? Jasne, że dasz radę. Może nie ułoży się tak, jak miałyśmy nadzieję, może Reida nie będzie obok, ale...

Jaime spojrzała na Hazel tak, jakby była przybyszem z obcego kraju albo osobą upośledzoną. Z mieszanią współczucia, frustracji i pogardy.

- Nie rozumiesz - powiedziała, cedząc słowa. - Wiem, że dałabym radę. Nie wiem tylko, czy chcę.

Hazel wyciągnęła rękę i mocno ścisnęła ramię przyjaciółki.

- Oczywiście, że chcesz. To twoje dziecko. Twoje dziecko. Teraz masz rodzinę. Pamiętasz?

Jaime kołysała się w przód i w tył, uderzając brodą o kolana. Wyglądała na zdecydowaną albo tak, jakby starała się wyglądać na zdecydowaną. Ale Hazel dostrzegła coś w jej oczach i już wiedziała. Jaime podjęła decyzję.

- Oddam je do adopcji - oznajmiła chłodnym i odległym głosem. - Muszę.

Hazel zaczęło dzwonić w uszach, przez chwilę wydawało się jej, że jeśli ściśnie rękami głowę, dzwonienie być może ustanie.

No i już, pomyślała. Tak się to zaczyna.

Poczuła, jak uginają się pod nią kolana, i zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, osunęła się po łóżku na podłogę, lądując z nogami przyciśniętymi do piersi.

- Hazel? Nic ci nie jest?

Pokój wirował, gdy Hazel energicznie potrząsała głową.

To nie powinno się zdarzyć. Wszystko jej wina. Ofiarowano jej drugą szansę, a ona ją zaprzepaściła. Wysłano ją w przeszłość, żeby wszystko naprawiła, przekonała Jaime, że powinna pozostać na wyspie i zatrzymać dziecko. Ale plan nie wypalił. Sprawy toczyły się równie kiepsko jak wcześniej.

- Nie. Nie. Nie. Nie - powtarzała jak pacierz.

- Hazel! - Jaime pochyliła się nad łóżkiem ledwie kilka centymetrów od twarzy przyjaciółki. - Co się z tobą dzieje?

Hazel potrzebowała dłuższej chwili, by słowa ułożyły się jej w głowie, a kiedy tak się stało, zdołała skupić wzrok na Jaime. Obróciła się błyskawicznie i chwyciła ją za ramiona.

- Nie możesz tego zrobić - powiedziała ochryplym, ostrym szeptem. - Po prostu nie możesz.

Jaime obruszyła się, owijając wokół palca luźną nitkę narzuty.

- A jakie mam możliwości? - zapytała. - Nie mogę samodzielnie wychowywać dziecka. To byłoby nie w porządku. Sama nie wiem jeszcze, kim jestem.

Hazel wyrzuciła w górę ramiona.

- Jak to nie wiesz, kim jesteś? Oczywiście, że wiesz.

Jesteś Jaime. Jesteś najsilniejszą osobą, jaką znam -

zapewniała. - Stać cię na wszystko.

Jaime popatrzyła na Hazel smutnym wzrokiem.

- Właśnie w tym rzecz - rzekła łagodnie. - Mogę zrobić wszystko, a nawet nie byłam jeszcze nigdzie poza tą wyspą.

Nigdy nie leciałam samolotem. Nie jestem gotowa, Hazel.

Wiesz, że nie jestem gotowa.

Zmarszczyła czoło, coraz ciaśniej okręcając nitkę wokół

palca. Wydawało się, że zaczyna to być bolesne.

- Reid miał rację - szepnęła tak cicho, że gdyby Hazel nie śledziła ruchu jej ust, mogłaby nie dosłyszeć. - Oboje jesteśmy zbyt młodzi. Muszę wybrać to, co najlepsze dla mnie. I dla mojej przyszłości. - Odetchnęła głęboko i spojrzała Hazel prosto w oczy. - Pojadę na to stypendium do Peru - oznajmiła.

Hazel poczuła, jak jej brwi unoszą się wysoko.

- Do Peru? - powtórzyła. Kręciło się jej w głowie, odniosła wrażenie, jakby tkwiła w jakimś nocnym koszmarze.

Raptownie otworzyła i zacisnęła powieki, by upewnić się, że to nie sen.

- Masz zamiar oddać dziecko, żeby móc pojechać do Peru? - zapytała, gdy już utwierdziła się w przekonaniu, że wcale nie śni i wszystko dzieje się na jawie. - Wykopywać jakieś kości albo... albo zęby rekina?

Palec Jaime bladł, z intensywnie czerwonego robił się śnieżnobiały. Wreszcie wypuściła nitkę, wpatrując się w siateczkę linii odciśniętych tuż powyżej kłykcia.

- Nie chodzi tylko o Peru - wyjaśniła silniejszym już głosem. Odwróciła się do Hazel. - Chodzi o całokształt. Chcę odzyskać swoje życie. Nie chcę, żeby to był ostatni raz, kiedy mogę robić to, co mi się podoba, i nie martwić się o drugą osobę. Chcę poszukiwać. Chcę być normalna. Dlaczego tak trudno ci zrozumieć? Dlaczego tak przejmujesz się tym, co robię? Rozmawiamy przecież o moim życiu. Nie o twoim!

Hazel poczuła się tak, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

Odwróciła wzrok. Wstawała powoli, w uszach łomotało jej tak głośno, że była pewna, iż Jaime też to słyszy. Niespiesznym krokiem ruszyła do drzwi, a potem odwróciła się na pięcie i wycelowała palec w stronę pokoju.

- Nie masz pojęcia, co mówisz! - wysyczała. - Ja nie rozumiem? Rozumiem doskonale. A czy ty rozumiesz, na jakie życie skazujesz swoje dziecko, porzucając je? Masz jakiegokolwiek pojęcie, jak to jest wychowywać się bez rodziców? Nie wiedzieć, kim się jest albo skąd się pochodzi?

Być kompletnie zdanym na siebie?

Wszystko wokół pulsowało, było zimne, obce. Pokój wydawał się zupełnie inny niż ten, w którym mieszkała przez ostatnie dwa miesiące. Czowała się w nim jak w celi.

- Masz od zawsze tę wyspę, babcię, Rosannę. Jakim cudem miałabyś zrozumieć, jak to jest. A ja to wiem.

Skłamałam wcześniej, mówiąc, że moi rodzice są w podróży.

Nie mam żadnych rodziców. Dorastałam w rodzinie zastępczej. Przeprowadzałam się więcej razy, niż jestem w stanie spamiętać. Tego pragniesz dla swojego dziecka?

Jaime była zbита z tropu, wlepiła wzrok w ścianę, obejmując swe kościste kolana.

- Tego? - nie odpuszczała Hazel. - Chcesz, żeby taki los stał się udziałem dziecka, które porzucisz? Podczas gdy ty będziesz prowadzić wykopaliska? Życ pełnią życia w normalnych warunkach?

Wrzeszczała, ale nie przejmowała się tym ani trochę.

Czekała, aż Jaime się odezwie. Powie cokolwiek. Wszystko odszczeka. Rozpłacze się. Mrugnie powieką.

Lecz Jaime siedziała bez ruchu. Raptem wydało się jej, że ściany zaczynają się przesuwać, coraz bardziej przybliżać. Na oślep chwyciła za klamkę i wybiegła na korytarz; nogi plątały się i potykały na schodach, gdy pędziła na dół, i wypadła w nocny mrok.

Rozdział 26

Ocean był głośny i wzburzony, a Hazel właśnie tego potrzebowała. Słońce już zaszło, zwarte chmary komarów brzęczały wokół jej głowy, gdy schodziła na plażę po drewnianej drabinie. Zatrzymała się w połowie drogi i usiadła na skraju płaskiej skały. Plusk fal zagłuszał urywane łkanie.

Jakaś jej cząstka miała ochotę skoczyć w dół. Niech uniesie ją ocean. Pragnęła, by woda zmyła do czysta zgiełk myśli w jej głowie. Miała dość. Najpierw popsuka wszystko z Lukiem, potem Jaime postanowiła nie zatrzymywać dziecka.

Czyli zrobić akurat tę jedną rzecz, do której nierobienia Hazel miała ją przekonać, znalazłszy się w przeszłości.

Żołądek wywrócił się jej na lewą stronę. Wiedziała, że gdyby nie był całkowicie pusty, zaczęłaby wymiotować.

Jaki to wszystko miało sens? Co ona tutaj robi? Co to za dobra wróżka, która cofa ją w przeszłość tylko po to, by pokazać jej wszystko to, czego i tak nie będzie mogła mieć?

Czy nie wystarczy rozczarowanie, jakim było jej życie? Czy naprawdę musi patrzeć, jak wszystko rozwija się od początku?

Przygryzała wargę, póki nie poczuła smaku krwi. Oczy ją piekły. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek czuła w sobie aż taki przesynt wszystkiego. W żyłach gniewnie burzyła się krew, dłonie zacisnęły się w pięści, kostki zbieleły. Stała na krawędzi klifu i krzyknęła. Wiatr pochłonął jej głos, który odbijał się echem, niesiony rozbijającymi się o brzeg fałami.

Usiadła z powrotem na skale i skryła głowę w dłoniach.

I co ma teraz począć? Pomyślała o wiszącej w szafie ostatniej sukience Posey. Zostało jej jeszcze jedno życzenie.

Lecz już sam pomysł wymyślania go był wyczerpujący. Miała dość prób naprawiania świata, skoro

wszystkie jej życzenia wcale nie zmieniały niczego na lepsze.

Usłyszała jakiś szelest za plecami. Odwróciła się i zobaczyła małego chłopca na ścieżce. Wracał od strony stawu z wędką kołyszącą się na ramieniu. Trudno było określić jego wiek, ale po tym jak zmagął się z długim pałakiem i ciężką na pierwszy rzut oka metalową skrzynką, domyśliła się, że ma około jedenastu, dwunastu lat.

- Nic ci nie jest? - zapytał chłopiec. Niepokój malował się na jego okrągłej buzi. - Wydawało mi się, że słyszałem jakiś krzyk.

Zdobyła się na uśmiech i prędko otarła mokre plamy na policzkach.

- Nic mi nie jest - powiedziała. - Dziękuję.

Chłopiec

wzruszył

ramionami,

straciwszy

już

zainteresowanie, odwrócił się na pięcie i ruszył dalej ścieżką w kierunku parkingu.

Patrzyła, jak odchodzi, przypominając sobie ten jeden raz, kiedy Roy zabrał ją na ryby. Choć starała się ze wszystkich sił

tego nie okazywać, ekscytowała ją perspektywa złowienia ryby. To znaczy, póki się jej ta sztuka nie udała. Wciąż pamięta szarpnięcie wędki, które pociągnęło ją do przodu i alarmujący dźwięk jej własnego piskliwego głosu wzywającego Roya na pomoc.

Stał nad nią, a gdy tylko spostrzegł wyginający się ku wodzie pałak, wyciągnął ramiona i złapał ją za drobne nadgarstki, pomagając mocno trzymać wędkę. Pamiętała, jak się czuła, zamknięta w pętli utworzonej przez silne ramiona Roya. Nagle przestała się bać. Przynajmniej raz jej nie zawiódł.

Nigdy dotąd nie byli tak bliscy przytulenia się.

Obserwując, jak chłopiec znika w lesie, Hazel pomyślała o Royu. Gdzie on teraz jest? Co robi? Czy się o nią martwi?

Najprawdopodobniej nie ma na to czasu, bo jest wściekły.

Pewnie uznał, że machnęła ręką na ich umowę, rzuciła szkołę i przeprowadziła się do miasta. Wcale nie robiła tajemnicy ze swojej chęci wyjazdu z San Rafael.

Nigdy specjalnie nie rozmyślała nad tym, jak wyglądałoby życie Roya, gdyby nie jej w nim obecność. A gdyby Wendy jej nie zaadoptowała? Może nie musiałyby aż tak dużo pracować. Może nie znalazłaby się w restauracji w noc pożaru.

Może Wendy i Roy żyliby potem długo i szczęśliwie.

Znalazłszy się po drugiej stronie drzew, chłopiec zaczął

pogwizdywać prostą, czystą melodię, która niosła się z wiatrem po klifach. Hazel zastanawiała się, jaki był Roy w jego wieku. Jak wyobrażał sobie swoją przyszłość? Z

pewnością miał apetyt na więcej, niż osiągnął - a skończyło się na utraconej miłości, niechcianej odpowiedzialności za córkę, o którą nigdy się nie prosił. Nic dziwnego, że tak trudno było mu to wszystko udźwignąć.

Naprawdę kochał Wendy. Tyle Hazel wiedziała. Gdzieś na samym dnie płataniny wspomnień były pogrzebane stłumione odgłosy płaczu dobiegające z jego pokoju przez pierwsze lata zagubienia po śmierci Wendy. Nie potrafiła wyobrazić sobie utraty kogoś, kogo by tak bardzo kochała.

Nie potrafiła wyobrazić sobie utraty Luke'a.

Luke ją kochał. Czowała to z taką pewnością, jakiej dotąd w życiu nie zaznała. Może nie odesłano jej w przeszłość tylko po to, by poznała matkę. Może miała także spotkać Luke'a. Nigdy dotąd nie udało się jej tak mocno do nikogo zbliżyć.

Przerażało ją to, oczywiście, ale on by zrozumiał. Rozumiał

wszystko, co wiązało się z jej osobą. Jak może dać mu kosza?

A co czeka ją w domu, gdyby mimo wszystko go porzuciła? Cóż takiego wspaniałego czeka ją w przyszłości, że w ogóle miałyby do niej wracać? Roy jest życiowym rozbitkiem. Ona sama nie ma żadnych przyjaciół. Cóż dobrego mogłoby wyniknąć z tamtego innego dawno rozpoczętego życia? Życia pokawałkowanych wspomnień, pełnego zawodów. Nieustannego przypominania Royowi tego, co stracił.

Bycia dla kogoś ciężarem.

Odetchnęła płytko, z drżeniem. Tego nie pragnęła ani trochę. To, na czym jej zależało, znajdowało się tutaj, wszędzie dookoła. W tym miejscu, w tym pięknym miejscu i wśród tych wszystkich ludzi, których tu poznała. Przy Rosannie, Jaime, Luke'u.

Wypowiedziała życzenie poznania matki, a otrzymała o tyle więcej.

Znalazła rodzinę. I nie była gotowa jej porzucić.

Znów pomyślała o trzeciej sukience i zrozumiała raptem, co musi zrobić. Nie wiedziała, co z tego wyniknie, nie wiedziała, z czym będzie się wiązało.

Wiedziała natomiast, że odnalazła dom i że musi znaleźć sposób, by w nim pozostać.

Rozdział 27

Ostrożnie - zawołała Rosanna przez drzwi pracowni. Był

to dzień pożegnalnego przyjęcia, a Hazel pomagała rozstawiać obrazy na sztalugach na zewnątrz. Spuściła wzrok i zorientowała się, że buja w obłokach, stojąc w pracowni z obrazem chwiejnie balansującym na jej kolanach.

Nie po raz pierwszy Rosanna wyrwała ją z myślenia o niebieskich migdałach. Wcześniej Hazel przewlokła wykonaną ręcznie sztalugę przez kałużę, zostawiając ślady błota na podłodze patia. Zmarnowała dodatkowe dwadzieścia minut na szorowanie zabrudzonych kamiennych płyt i choć Rosanna nie odezwała się słowem, Hazel czuła, że ona wie, że coś jest na rzeczy.

- Przepraszam - powiedziała, biorąc obraz i wynosząc go na zewnątrz. - Jestem trochę rozkojarzona.

Rosanna lustrowała wzrokiem przestrzeń, przysuwając odrobinę jedną sztalugę do drugiej i oceniając to nowe ustawienie. Uśmiechnęła się ciepło i pokiwała głową.

- Widzę - odparła. - Wszystko w porządku?

Hazel szybko podniosła obraz. Oparła go o pusty stojak i modliła się, by przesłonił wszelkie zdradzające ją zmiany wyrazu twarzy. Jak miała wyjaśnić Rosannie to, co działo się w jej głowie? Ze za każdym razem, gdy migał jej przed oczami dach stodoły i myślała o Jaime, ogarniało ją poczucie winy? Wiedziała, że Jaime przydałaby się pomoc w likwidowaniu biura i pakowaniu dobytku, lecz nie potrafiła wyobrazić sobie spędzenia w jej towarzystwie całego dnia.

Nie po ich rozstaniu poprzedniego wieczoru.

Nie wchodziło też w rachubę powiedzenie, co postanowiła wczoraj wieczorem, siedząc samotnie na klifie. Jak mogła zdradzić, że planuje wykorzystać swoje ostatnie życzenie do tego, by pozostać w przeszłości? Zwłaszcza że w obecnej chwili, w przejrzystym świetle poranka, nie była wcale pewna, czy to w ogóle możliwe. Cokolwiek Jaime zdecyduje w sprawie dziecka, Hazel musi się urodzić. Nie może żyć dalej w przeszłości, skoro stałaby się ona jej terażniejszością, prawda?

- Odpocznijmy - zaproponowała Rosanna, znów przerywając jej chaotyczne myśli.

Poprawiła obraz i skinęła na Hazel, zapraszając ją do wnętrza pracowni. Dziewczynę zaczynały boleć ramiona od taszczenia ciężkich płócien tam i z powrotem przez trawnik i z ulgą przyjęła tę chwilę wytchnienia.

Rosanna stała pośrodku otwartej pracowni, która po wyniesieniu z niej niemal wszystkiego wydawała się jasna i przestronna. Wskazała na przeciwległą ścianę, zupełnie pustą, prócz półki w kącie.

- Pomyślałam, że mogłybyśmy umieścić tam twoje fotografie - powiedziała. - Jak się na to

zapatrujesz?

Hazel przełknęła ślinę. Pośród dramaturgii ostatnich kilku dni zapomniała o zdjęciach. Nie wybrała żadnych, które chciałyby pokazać, ani nie kiwnęła palcem, by zaaranżować je w jakiś interesujący sposób. W gruncie rzeczy nie była nawet pewna, czy wie, gdzie je zostawiła.

- Rosanno - odezwała się, usztywniając ramiona. - Nie wiem, czy to nadal dobry pomysł.

Tymczasem malarka tylko zbyła ją machnięciem ręki i pochyliła się nad biurkiem. Wysunęła szufladę i wyjęła z niej grubą teczkę, którą rozłożyła na blacie.

- Rzuć okiem - poprosiła, przywołując Hazel do siebie.

Dziewczyna spojrzała na biurko i zobaczyła, że Rosanna wybrała kilka zrobionych przez nią zdjęć i opравиła je. Hazel z trudem rozpoznała w nich swoje prace. Wyróżnione w ten sposób wyglądały prawie profesjonalnie. Prezentowały się znakomicie.

- No, no - Hazel zapało dech. - Ja... nie wiem, co powiedzieć...

- Zostawiłaś je tutaj któregoś dnia, a ja wiedziałam, że trudno ci się zdecydować, wybrałam więc kilka, które najbardziej mi się podobały. Powiedz tylko, gdzie mają wisieć

- rzekła, odwracając się w stronę ściany. - Dyrygowałam tobą przez cały dzień. Teraz twoja kolej.

Artystka podeszła do ściany z naręczem fotografii, przymierzając kilka z nich w różnych położeniach. Hazel ją obserwowała, tę kobietę, która przyjęła ją pod swój dach, nie zadając żadnych pytań, gdy niespełna dwa miesiące temu stanęła w drzwiach pracowni. Kobietę, która wierzyła w nią z powodów, których wciąż jeszcze kompletnie nie pojmowała.

Kobietę, która miała wkrótce zostawić swój dom, ludzi, których kocha, ażeby walczyć z chorobą, na którą niczym sobie nie zasłużyła i z powodu której nie użalała się nad sobą ani przez chwilę.

Po policzkach Hazel zaczęły płynąć łzy, zanim zdążyła poczuć, jak cisną się pod powieki. Pociągnęła nosem, a wtedy Rosanna odwróciła się i szeroko otworzyła zatroskane oczy.

- O, mój Boże! - powiedziała, wypuszczając z rąk fotografie i podbiegając do Hazel. - Co się stało? Posunęłam się za daleko? Powinnam była najpierw zapytać. Przepraszam.

Jeżeli naprawdę nie chcesz ich pokazywać, nie musimy.

Hazel potrząsnęła głową i próbowała coś powiedzieć, ale dławił ją szloch, który uwiąził w głębi gardła. Rosanna zaprowadziła ją na fotel przy oknie i wygodnie usadziła, masując jej plecy drobnymi okrężnymi ruchami w geście pocieszenia.

- Zawsze to samo! - malarka skarciła samą siebie, wyciągając chusteczkę z pudełka na stole. - Popadam w ekscytację, gdy widzę coś, co mi się podoba. Od razu chcę pokazać to także innym. Ale wszystko zależy wyłącznie od ciebie, Hazel. Daję słowo.

Hazel uśmiechnęła się i osuszyła oczy chusteczką.

- Nie o to chodzi! - powiedziała wstrząsana czkawką. -

Cieszę się, że chcesz je pokazać, naprawdę.

Rosanna popatrzyła na nią sceptycznie.

- Wyglądasz na zachwyconą - rzekła, po czym uśmiechnęła się i przytuliła ją do siebie.

- Ja tylko... - zaczęła Hazel, wzdychając i bezradnie opuszczając ręce na kolana. - Nie chcę, żeby lato się skończyło. To dlatego.

Rosanna pokiwała głową i ścisnęła jej ramię.

- Wiem.

- I czuję się okropnie, że tak przed tobą marudzę - mówiła dalej Hazel. - Bo nie mam pojęcia, jak dajesz sobie ze wszystkim tak świetnie radę. Przecież jutro wyjeżdżasz.

Sprzedajesz farmę. Jesteś... - umilkła i wbiła wzrok w podłogę.

- Chora - dokończyła za nią Rosanna, przysiadając na poręczy fotela. - Możesz powiedzieć to na głos. I nie powinnaś mieć żadnych wyrzutów sumienia. Zrozumiałe, że smuci cię wyjazd. Popatrz tam. - Pokazała rozległy trawnik za oknem, poszarpaną linię klifów i błękitny ocean. - Kto opuszczałby takie miejsce z lekkim sercem?

Hazel skubała skórkę przy paznokciu i patrzyła na swoje palce.

- Chodzi nie tylko o to - wyszeptała. - Tylko... o to, do czego wracam.

Rosanna odsunęła się i spojrzała na dziewczynę. Jej życzliwe zielone oczy nalegały, by mówiła dalej.

- Moi rodzice... - zaczęła i urwała. Cóż mogła powiedzieć? Tego byłoby już zbyt wiele. Zbyt wiele, by prosić Rosannę o zrozumienie.

- Twoi rodzice nie podróżują po Europie - stwierdziła z prostotą malarka.

Hazel wywinęła się z jej uścisku i zwróciła ku niej twarz.

- Wiedziałaś? - zapytała. Kobieta z powagą pokiwała głową.

- Miałam przecucie. - Wzruszyła ramionami. -

Odniosłam wrażenie, że coś ukrywasz. Jakąś przeszłość, przez której pryzmat nie chciałaś być definiowana - dodała cicho. -

Widzę to cały czas.

Wstała i podeszła do pustej ściany, kucając nad fotografiami Hazel.'

- Ale są rzeczy, których nie dostrzegam wcale - ciągnęła.

- Na przykład tego.

Podniosła oprawiony polaroid i skinęła na Hazel.

Dziewczyna przymrużyła oczy, próbując rozpoznać zdjęcie.

Była to fotografia, którą zrobiła w ogrodzie, tyle potrafiła dojrzeć. Pewnego wieczoru, kiedy plewiła z Jaime. Wyrwanie niechący krzaczka truskawek tak wytrąciło ją z równowagi, że poszła po aparat i pstryknęła zdjęcie.

- Spójrz na to - poprosiła Rosanna, kładąc fotografię na kolanach Hazel. Brzegi miała zamazane, ale środek ostry i zielony, a w dolnym rogu przykuwała wzrok odwrócona do góry nogami roślina ze sterzącymi ku niebu, oblepionymi ziemią korzeniami. Przypominała ramiona rozpostarte do uścisku albo szeroko rozwarte usta, obolałe od krzyku.

- Widzisz rzeczy, których większość ludzi nie dostrzega -

kontynuowała Rosanna, klęcząc przed Hazel. - Drobiazgi.

Historie, których zwykle się nie opowiada, historie, które potrzebują ciebie, żeby ujrzeć światło dzienne.

Hazel przyjrzała się uważniej fotografii, próbując spojrzeć na nią oczami malarki.

- Pamiętasz, co mi powiedziałaś na moim pierwszym pokazie? - zapytała artystka. - Mówiłaś o portrecie Adele.

Powiedziałaś, że widzisz na nim historię. Ale to nie była jej historia. Ani moja. To była twoja historia.

Hazel przypomniała sobie wyraz oczu namalowanej kobiety oraz uczucia, jakie wzbudził w niej ten obraz.

- Ja widzę tę samą historię tutaj, na tej fotografii -

powiedziała Rosanna, wymachując zdjęciem. - A potrafisz opowiedzieć ją dlatego, że jesteś tym, kim jesteś. I coś przeżyłaś.

Hazel ponownie spojrzała na sfotografowaną roślinkę.

Choć wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy, zdjęcie przedstawiało coś więcej. Coś więcej niż

kopczyk ziemi.

Zawierało opowieść. Opowieść Hazel. Być może wartą opowiedzenia.

- Wszyscy natrafiamy na wyboje na drodze, którą podążamy - mówiła Rosanna. - Ale to nie znaczy, że idziemy złą drogą.

Hazel podniosła wzrok na Rosannę. Objęła ją za szyję i mocno przytuliła. Nagle nie pragnęła niczego więcej, jak tylko powiedzieć jej całą prawdę, choćby po to, żeby nie musiała się martwić o to, ile jeszcze pozostało jej czasu.

Może jednak nie w tym rzecz, pomyślała, zacisnąwszy powieki, z twarzą ukrytą w ciepłe długich włosów malarki.

Rosanna musi przejść swoją własną drogę, podobnie jak Hazel.

Odchyliła się do tyłu i otarła resztki łez.

- Dziękuję! - powiedziała. - Za wszystko.

Rosanna uśmiechnęła się i pokiwała głową, następnie wstała ostrożnie i ruszyła ku drzwiom.

- Może sama powiesiłabyś resztę? Co ty na to? Billy się wścieknie, jeśli nie położę się odpocząć, zanim przybędą goście.

Hazel wstała i patrzyła za wychodzącą.

- Rosanno? - zawołała, gdy malarka zamykała już drzwi.

- Tak?

- Chcę tylko powiedzieć, że mam przeczucie... mam przeczucie, że twoja droga jest dużo dłuższa, niż sądzisz.

Rosanna stała w obramowaniu siatkowych drzwi, wpatrując się w dziewczynę. Oczy jej lśniły i wyglądała tak, jakby zamierzała się odezwać, lecz zamiast tego pokiwała tylko głową i pomachała ręką, po czym cicho zamknęła drzwi i ruszyła przez trawnik.

Hazel westchnęła i patrzyła na oddalającą się kobietę.

Odwróciła się do pustej ściany i spojrzała na oprawione fotografie w teczce. Zauważyła włożone tam luzem zdjęcia i pochyliła się, by je przejrzeć. Te nie zostały oprawione.

Wszystkie

daremne

próby

portretu

oraz ładniutki

panoramiczne zdjęcia, które zrobiła na terenie posiadłości.

Rosanna nie wybrała żadnego z nich.

Hazel jeszcze raz przejrzała rozłożone na podłodze oprawione zdjęcia. Wszystkie przedstawiały na pozór codzienne rzeczy. Snurowadło Jaime sfotografowane tamtego dnia, kiedy wracały rano promem z kliniki. Palce Luke'a na postrzępionej linie. Ząb rekina w otwartej dłoni Jaime. Drobiazgi, jak orzekła Rosanna, za to wyraziste.

Tak wiele czasu zajęły jej próby upodobnienia się do innych, że nie zauważyła, iż od początku miała własny indywidualny styl.

Powróciła myślami do swojego ostatniego dnia w San Francisco. Do fotografii książek krzywo ustawionych przed sklepem. Nagle przypomniała sobie Jaspera. Widziała jego twarz, gdy z podziwem oglądał fotografię. Przypomniała sobie, co powiedział o pani Lew. Oni wierzyli w nią od początku. Natomiast ona nie wierzyła w siebie.

Przeniosła wzrok na stos zdjęć porzuconych u swych stóp.

Pejzaże były piękne, ale nie w jej stylu. Nie opowiadały historii w taki sposób jak inne fotografie. Tamte były mniej efektowne i bardziej powściągliwe, lecz razem tworzyły jakąś całość. Były jej częstkami, tego, co przeżyła, co widziała, kim się stała.

Pomyślała o domu, o tych fragmentach życia, które za sobą zostawiła. O Royu, o mieszkaniu, które zatrzymał tylko po to, żeby miała dokąd wracać. Tak bardzo się starał, ona zaś nawet nie dała mu szansy.

Pomyślała jeszcze raz o Jasperze. O tym, jak zawsze pojawiał się znienacka i zapraszał w różne miejsca. Jak nie miał zamiaru się poddawać, nawet kiedy dawała mu ku temu mnóstwo powodów.

Pomyślała o pani Lew, która uczyniła wszystko, co w jej mocy, żeby nie zmarnowała żadnej okazji na drodze do realizacji swego marzenia. Jeszcze zanim uświadomiła sobie, że ma takie marzenie.

Wszystko to było częstką Hazel, częstką jej życia. I może mimo wszystko części te były takie, jakie być powinny.

Podniosła fotografię krzaczka truskawki i przyłożyła do ściany w centralnym punkcie. Wzięła ze stołu młotek i przybiła oprawione zdjęcie. Dopiero kiedy pochyliła się nad fotografią, zauważyła w rogu korzonek.

Podczas gdy niemal na całym zdjęciu panował rozgardiasz i chaos, na ziemi poniewierały się

wyrwane, postrzępione chwasty, jeden wąż truskawki zdążył już zapuścić korzenie.

Sadzonka wciąż wydawała się okaleczona i krucha, jakby nigdy nie miała dojść do siebie. Hazel nie miała jednak wątpliwości, że oto w tym jednym rogu uparta, samiotka jak palec roślinka spokojnie budzi się do nowego życia.

Rozdział 28

Hazel wracała, okrążając główny budynek posesji, gdy zauważyła na werandzie Jaime. Dziewczyna balansowała niebezpiecznie, opierając stopy na poręczach fotela i wyciągając ramiona w stronę drewnianej kratki, na której wieszala długi sznur białych lampek. Nie spostrzegła jej, a Hazel przemknęło przez myśl, czy po prostu nie minąć jej cichaczem. Rozmowa z Rosanną podbudowała ją i przygotowała, wciąż jednak nie było do końca wiadomo na co.

Gdy już miała cichutko się wycofać, Jaime odwróciła się i schyliła po stos splątanych kabli na stole.

- Oj! - powiedziała zaskoczona. - Przestraszyłaś mnie.

Hazel odchrząknęła i wyszła z cienia budynku. Słońce pieściło skórę jak ciepła kąpiel, nie paliło już tak mocno jak przez kilka ostatnich dni.

- Przepraszam. Pomóc ci? - Hazel wzięła drugi sznur lampek i podała Jaime, która chwyciła girlandę wyciągniętą ręką.

- Dzięki! - rzuciła, uważnie przyglądając się światelkom przez kilka zbędnych sekund, a następnie sięgnęła do drewnianego łuku konstrukcji.

Hazel obracała lampki w dłoniach. Zawisło między nimi gęste milczenie.

- Jaime - zaczęła, siadając na krześle. Było zrobione z ozdobnie kutego metalu i wrzynało się w delikatną skórę ud.

Przesunęła się do przodu, pochyliła nad nogawkami dzinsowych szortów i oparła dłonie na gołych kolanach. -

Chciałam tylko powiedzieć...

- Miałaś rację - przerwała Jaime, zawieszając ostatnią girlandę lampek i schodząc z poręczy krzesła. Klasnęła w dłonie, ciężko westchnęła.

Hazel patrzyła na brzuch przyjaciółki, który zaczął być w końcu odrobinę widoczny, zaokrąglając z przodu jej drobną sylwetkę.

- Nie musisz nic mówić - ciągnęła. - Miałaś rację. Ja się myliłam. Cześć pieśni.

Hazel oderwała wzrok od wystającego brzucha Jaime i spojrzała w jej okrytą cieniem twarz. Dziewczyna stała z założonymi na piersi ramionami i spojrzeniem wbitym nieruchomo w deski

werandy. Ciemne oczy zastygły w bezruchu, usta ściągnęły się w surowym grymasie.

Hazel się uśmiechnęła. Jaime tak bardzo się starała, że patrzenie na nią przyprawiało niemal o ból.

- Jaime - podjęła kolejną próbę. - Nie musisz tego robić.

Ja...

Jaime zamachała rękami i powoli usiadła na podłodze ze skrzyżowanymi nogami.

- Przestań. Klamka zapadła. Nie wiem, co ja sobie wcześniej wyobrażałam. Nie mogę tego zrobić. Masz rację, to nie byłoby fair.

Hazel potrząsnęła głową, gotowa jej przerwać, ale poczuła, jak znów brakuje jej tchu. Wiedziała, że to, co zamierza zrobić Jaime, jest słuszne, ale gdy słyszała jej wypowiedane na głos słowa, serce kroilo się jej z powodu zaprzepaszczonej możliwości.

- Myślałam o tym wczoraj w nocy - mówiła dalej Jaime. -

O tym, co mi powiedziałaś. Jak nie wiedziałaś nigdy, skąd pochodzisz ani kim jesteś. Nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za takie samopoczucie drugiego człowieka.

Sądziłam, że dam radę. Że będzie w porządku. Ale nic z tego.

Nie mogę. Po prostu nie mogę.

Hazel przełknęła gulę, która ponownie wyrosła w jej gardle.

- A co ze stypendium? - zdołała zapytać opanowanym głosem.

Jaime wzruszyła ramionami.

- Mogę wystąpić o nie ponownie w późniejszym czasie.

To, że spodziewam się dziecka, nie oznacza jeszcze, że moje życie się kończy.

Hazel obserwowała, jak Jaime skubie w roztargnieniu kępki trawy przerastającej między deskami podłogi. Miała uniesione, wysoko i ściągnięte brwi, usta wciąż zaciśnięte.

Wyglądała na wiele lat starszą, jakby perspektywa pozostania na wyspie, perspektywa ustatkowania się, nim życie rozpoczęło się na dobre, dodała jej lat z dnia na dzień.

Winę za to ponosiła Hazel. Nie powinna była życzyć sobie powrotu Reida. Lada chwila miał wyjechać, o ile już tego nie zrobił, ponieważ planował to od dawna. Nie czyniło to z niego potwora - po prostu nie był gotowy na ojcostwo.

Podobnie jak Jaime nie była gotowa na zostanie matką.

Patrzyła przyjaciółce prosto w oczy i nagle ujrzała jej przyszłość, wyświetlającą się na twarzy dziewczyny jak film puszczany w przyspieszonym tempie. Przyszłość pełną przygód, podróży i podążania własną drogą.

Bez względu na to, co miałyby to oznaczać dla Hazel, nie mogła prosić Jaime o zrezygnowanie z tego wszystkiego.

- Jaime - zaczęła. - Przyszłam przeprosić, bo postąpiłam źle.

Jaime pokręciła z uporem głową i już miała coś wtrącić, lecz Hazel powstrzymała ją gestem ręki.

- Jesteś pierwszą osobą, w której znalazłam prawdziwą przyjaciółkę, a wczoraj wieczorem ja nie zachowałam się wobec ciebie tak, jak na przyjaciółkę przystało - powiedziała z westchnieniem. - Myślałam o sobie. A nie o tym, co jest najlepsze dla ciebie. Przepraszam.

Jaime nie poruszyła się od razu, lecz Hazel widziała, jak jej zaokrąglone wąskie ramiona rozluźniają się z ulgą.

Przestała skubać trawę, oczy patrzyły spokojnie i nieruchomo na spłowiałą deskę z kręgami sęków przypominających wole oczy.

- Musisz to zrobić - ciągnęła Hazel. - Musisz przyjąć to stypendium. To jest twoje przeznaczenie.

Jaime opuściła ręce na kolana, ramiona jej opadły, przygarbiły się. Hazel wydawało się, że przyjaciółce drży lekko dolna warga, usiadła obok niej na deskach werandy.

- Robisz to, co powinnaś - orzekła. - Tak trzeba.

- A co z dzieckiem? - wyszeptała Jaime do rąk na kolanach. - Skąd będzie wiedziało... - jej głos załamał się i ucichł. Pokręciła głową.

- Co wiedziało? - naciskała Hazel, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciółki.

- Skąd będzie wiedziało, jakie to było trudne? A jeśli pomyśli, że po prostu miałam je w nosie? - zapytała, podnosząc wzrok i napotykając spojrzenie Hazel, Łza utknęła między długimi, ciemnymi rzęsami. Jaime zamrugła powiekami i uwolniła ją z pułapki. - Skąd to dziecko będzie miało jakiegokolwiek pojęcie, jak bardzo je kocham już w tej chwili?

Hazel zacisnęła szczęki, próbując stłumić łzy. Przysunęła się odrobinę bliżej do Jaime i przyciągnęła ją ku sobie.

Przyjaciółka rzuciła się ze szlochom w jej ramiona, ona zaś kołysała ją łagodnie w przód i w tył.

- Zaufaj mi - powiedziała Hazel, tuląc pod brodą głowę Jaime. - Będzie wiedziała.

Trzecia sukienka od Posey była nieodpowiednia pod każdym względem. Hazel stała przed rozpiętym pokrowcem na ubrania, przygryzając wargę i kręcąc głową. Dotąd Posey zawsze udawało się trafić w dziesiątkę, jednak tym razem całkowicie chybiła celu.

Sukienka była piękna i Hazel wiedziała, że będzie leżała jak ulał, gdy tylko zaczęła wkładać ją przez głowę. Nie na tym polegał problem.

Polegał na tym, że była... zbyt ozdobna. Czarna, lśniąca i szalenie wytworna, z eleganckimi złotymi kwiatami wyhaftowanymi na obcisłej gorsetowej górze oraz w pasie.

Ramięczka miała wąskie, delikatnie przylegające do ramion, dół sukni był długi i obcisły.

Spojrzała na siebie w lustrze i aż zaparło jej dech. Z

pewnością nie wybrałaby takiego stroju na przyjęcie w ogrodzie z okazji pożegnania lata, ale jedna rzecz była aż nadto oczywista: wyglądała olśniewająco.

Wciąż jeszcze wpatrywała się oniemiała w swoje odbicie w lustrze, gdy z łazienki wyszła Jaime z włosami owiniętymi ręcznikiem i w swojej jedynej białej sukience klejącej się do nóg.

- O ja cię! - powiedziała, otwierając szeroko buzię. -

Wyglądasz zabójczo.

Hazel zarumieniła się i odwróciła.

- Ale zbyt strojnie, prawda? - spytała niepewnie. - To znaczy, jak na dzisiejszy wieczór?

Jaime zwiesiła głowę i energicznie wytarła ręcznikiem mokre loki.

- Nie wiem - bąknęła. - Ja bym poszła na całość. Luke będzie miał co wspominać.

Hazel rzuciła jej spojrzenie i przygryzła wargę.

- Nie wiem, czy się odważę - powiedziała, ciągnąc za dół

spódnicy. - Jest tak... nie w moim stylu.

Jaime rzuciła ręcznik na podłogę.

- Jakakolwiek by była - stwierdziła - robi wrażenie. Ale poczekaj. Mam pewien pomysł.

Wysunęła szufladę komody i wyjęła małą zamszową sakiewkę, upchniętą na samym dnie. Rozwiązała sznureczek ściągający mieszek i włożyła do środka palce.

- To powinno odrobinę stonować efekt - orzekła, wyciągając długi srebrny łańcuszek i okręcając go Hazel wokół szyi. Na końcu łańcuszka była zawieszona gładka fioletowa muszla w kształcie ziarna

fasoli, taki przekrzywiony półksiężyc.

Jaime zapięła zameczek i cofnęła się, by ocenić efekt końcowy.

- Idealnie! - zawyrokowała.

Hazel dotknęła muszli palcami. Z jednej strony była gładka jak szkło, z drugiej lekko chropowata i pofałdowana.

- Jaka piękna - wyszeptała, obracając wisior w rękę.

- Należała do mojej babci - wyjaśniła Jaime, kucając w poszukiwaniu butów wrzuconych na dno szafy. - Miała ją na sobie w dniu ślubu. Ponoć przynosi szczęście w okresie zmian... czy coś w tym stylu. - Odrzuciła na bok tenisówki i buty z wyższą cholewką, postępując przy przekopywaniu się przez szafę.

- Jaime, nie mogę tego przyjąć - zaczęła Hazel, lecz przyjaciółka uciszyła ją, nawet na nią nie patrząc, i wreszcie wyprostowała się z parą czarnych japoniek w rękę.

- Jest twój - powiedziała. - Poza tym mam takich jeszcze ze sto. Babcia miała fioła na punkcie zbierania różnych rzeczy. To chyba u nas rodzinne.

Hazel uśmiechnęła się, znów spoglądając w lustro. Gdy przyjrzała się uważniej, zauważyła, że wnętrze muszli nie jest jednolicie fioletowe, lecz składa się z niezliczonych warstewek w każdym możliwym odcieniu fioletu, stopniowo blednących aż do mlecznej bieli.

Przez moment mogłaby przysiąc, że widziała już gdzieś taką muszlę. Jednak nie mogła sobie przypomnieć gdzie.

Może na plaży. Albo w morskim żwirze na ścieżkach wokół domu.

Zresztą mniejsza o to, grunt, że mając ją na szyi, czuła się silniejsza. Była to część jej rodziny i Hazel wiedziała, że już nigdy nie rozstanie się z tym wisiorkiem.

- Hej! - zawołała nagle Jaime. - Co się stało z twoimi włosami?

Wpatrywała się w odbicie przyjaciółki w lustrze. Hazel uśmiechnęła się i teatralnym gestem przerzuciła przez ramię swe długie kasztanowe włosy.

- Odrosły - skostatowała. - Zdaje się, że nie jestem już Blondyną, co?

Jaime posłała jej szeroki uśmiech.

- E tam, dla mnie zawsze będziesz Blondyną.

Hazel parsknęła śmiechem i spojrzała w lustro. Naszyjnik połyskiwał w słońcu późnego popołudnia. Z początku nie zdawała sobie z tego sprawy, ale gdy wszystkie właściwe elementy znalazły się na swoim miejscu - włosy, uśmiech, naszyjnik, nawet sukienka Posey - nie pozostawał cień wątpliwości.

Wreszcie wyglądała po swojemu.

*

Kiedy Hazel dotarła do pracowni, zastała w środku tłum.

Zostawiła Jaime oraz resztę w białym namiocie rozbitym na trawniku i poszła zwirową ścieżką oświetloną rzędem białych lampionów. Stała przed drzwiami do atelier, oddychając głęboko i szykując się do wejścia.

Po raz pierwszy oglądała swoje fotografie pokazane w inny sposób niż na ścianie sali lekcyjnej, przyklejone taśmą. I choć widziała je już w pracowni kilka godzin wcześniej, w pomieszczeniu wypełnionym obcymi ludźmi prezentowały się jakoś inaczej. Tak jakby tłum nieznajomych pozwalał ujrzeć prawdziwe oblicze tych zdjęć. Nie były już ekscentrycznym hobby. Nie były przyrządami ani pomocami do oglądania świata.

Były fotografiami z prawdziwego zdarzenia i w dodatku piekielnie dobrymi.

Jednak dopiero kiedy usłyszała to z ust zupełnie obcej osoby, rzeczywiście uwierzyła w to w stu procentach. Szła z powrotem na trawnik, anonimowa w tłumie przyjaciół

Rosanny i Billy'ego, kiedy do jej uszu dotarły strzępy rozmowy za plecami.

- Wiesz, czyje to prace? - pytała jakaś kobieta.

Hazel zamarła, wyęzając słuch, by nie umknęła jej odpowiedź. Po raz pierwszy nasłuchiwała z ochotą, co o niej mówią.

- Jakiejś przyjaciółki Rosanny, zdaje się - odpowiedziała druga kobieta. - Młodej dziewczyny, która tutaj mieszka.

Urocze, prawda?

- Tak - przyznała pierwsza. - Kimkolwiek jest ta dziewczyna, ma nieprawdopodobny talent. Zaskakujące, że jest taka młoda. Te prace są naprawdę dojrzałe, nie sądzisz?

Hazel dostała wypieków. Cicho wycofała się na zewnątrz i ruszyła w stronę namiotu. Jej twarz rozjaśnił niepohamowany uśmiech. Była już prawie przy bufecie, gdy znajomy głos zawołał zza jej ramienia.

- Co za suknia!

Nim zdążyła się połapać w sytuacji, Rosanna stanęła obok niej i okręciła ją dookoła.

- Wyglądasz absolutnie zachwycająco! - pochwaliła, gdy Billy prędko pojawił się u jej boku. Przez cały wieczór trzymali się pod rękę, Hazel patrzyła, jak suną od jednej grupki gości do drugiej, robiąc dobre miny do złej gry i snując plany rychłych odwiedzin na wyspie.

- Dziękuję - odparła cicho Hazel, a tymczasem Rosanna wyciągnęła rękę i dotknęła złotego kwiatu. Hazel nadal czuła się onieśmielona i przesadnie wystrojona pośród odzianego w letnie stroje tłumu.

- Jest tylko jeden problem - dodała Rosanna, wodząc palcem wzdłuż wycięcia pod szyją i leciutko klepiąc dziewczynę po ramieniu. - Suknia bez wątpienia przepiękna, ale miejska.

Mrugnęła do niej i znów przytuliła się do boku Billy'ego.

Maura i Craig przyłączyli się do nich przy bufecie i rozmowa zesłała na jesienne plany, zbliżającą się podróż Maury do Nowej Zelandii oraz marzenia Craiga, by mieć kiedyś własną farmę. Lecz Hazel słyszała jedynie słowa Rosanny, które wciąż rozbrzmiewały w jej myślach:

„Suknia miejska”.

Rosanna miała rację. Właśnie taka była ta sukienka. Nie pasowała do wyspy ani do życia w San Rafael. Czy Posey aby na pewno wiedziała, co robi ?

Hazel usiłowała wyobrazić sobie siebie w Nowym Jorku, szykującą się do wyjścia do wykwintnej restauracji, na przykład takiej ze świecami na stołach, bogatą kartą dań oraz interesującymi dziełami sztuki na ścianach. Albo wybierającą się na wernisaż w galerii, wystawę najświeższych prac jakiegoś nowego fotografika. A może nawet wystawiającą własne prace, własne fotografie, by mógł obejrzeć je cały świat...

- Gdzie podziały się wszystkie pierożki?

Hazel odwróciła się i ujrzała stojącą przy bufecie Jaime.

Dziewczyna lustrowała duży wybór przystawek, dzierżąc w rękę talerz zaśmiecony już wykałaczkami i papierkami.

Ciążowe zachcianki wreszcie dały o sobie znać i bufet stał się nagle najlepszym przyjacielem Jaime.

- Wiem, wiem - westchnęła, odciągając tkaninę luźnej sukienki od ukrytego pod nią wybrzuszenia. - Jestem kolosem.

Hazel roześmiała się i potrząsnęła przecząco głową.

- Wcale nie! - rzekła z naciskiem. - Wyglądasz świetnie.

Jaime skrzyżowała ramiona ponad brzuchem i westchnęła.

- Zaraz będę musiała powiedzieć Rosannie - szepnęła. -

Jutro wyjeżdżają.

Hazel spojrzała na idących przez trawnik Rosannę i Billy'ego, którzy rozmawiali z kupcem zainteresowanym jednym z dużych portretów.

- Nie jest jeszcze za późno, by z nimi pojechać, sama wiesz - wymamrotała Hazel pod nosem. -
Rosanna z pewnością ucieszy się, że będzie cię miała pod ręką.

Hazel obserwowała, jak Jaime nerwowo zagryza dolną wargę.

- No nie wiem... I tak ma już sporo na głowie. Nie chciałabym być ciężarem.

Hazel pokręciła głową.

- Nie byłabyś ciężarem - przekonywała. - Mogłybyście pomagać sobie nawzajem.

Natychmiast po wypowiedzeniu tych słów wiedziała, że okażą się prawdziwe. Jaime wyjedzie z Rosanną i będzie mieszkała u niej w San Francisco aż do czasu urodzenia dziecka. Rosanna pomoże jej załatwić sprawy adopcyjne.

Jaime zaś pomoże Rosannie przejść przez terapię i wyzdrowieć, a potem sama wyruszy na poszukiwanie przygód, jakie są jej w życiu pisane.

Tak miało być od samego początku.

Odwróciła się do Jaime i mocno ją uścisnęła. Nie mogła się doczekać, kiedy Jaime dowie się tego wszystkiego, co Hazel już wiedziała, tego, jaka będzie szczęśliwa i jak pełne stanie się jej życie.

- Będziecie mogli opiekować się sobą nawzajem -

dodała.

- No dobra, już dobra - rzekła Jaime, odrywając od szyi ramiona Hazel. - Coś mi się zdaje, że tych cikliwych przytulaneek wystarczy nam już do końca życia.

Hazel uśmiechnęła się smutno. Miała nadzieję, że Jaime się myli. Może uda im się jeszcze kiedyś spotkać?

- Tak czy owak, jest tu jeszcze ktoś, kto chciałby zamienić z tobą słówko - stwierdziła Jaime, wskazując uniesioną brodą odległy kąt namiotu. Hazel popatrzyła w tamtą stronę i ujrzała Luke'a siedzącego samotnie przy okrągłym, starannie nakrytym stole. Wyglądał na przygnębionego, wpatrywał się z nieobecny wyrazem twarzy w ustawioną pośrodku stołu wesołą dekorację złożoną z wysokich fioletowych dali.

- Nie wiem, coś ty mu zrobiła - mówiła, wolno kręcąc głową - ale nie widziałam go tak zgaszonego

od tamtego lata, kiedy szalał wielki huragan, uniemożliwiając żeglowanie przez kilka tygodni.

Hazel zamarła.

- Na co czekasz? - Jaime trąciła ją łokciem. - Idź i wszystko napraw.

Rozdział 30

Miałbyś ochotę się przejść?

Hazel stanęła za plecami Luke'a, obserwując, jak końcem ciężkiego srebrnego widelca rysuje kółka na lnianym obrusie.

- Co? - Podskoczył jak oparzony i się odwrócił. Brązowe oczy patrzyły smutno i obojętnie, lecz rozjaśniły się nieco na widok stojącej za nim Hazel. - Aha. Chyba tak - odpowiedział, odsunął krzesło i wyszedł za nią z namiotu.

W milczeniu szli przez trawnik, chwytając strzępy towarzyskich rozmów gości, którzy kręcili się dokoła i gromadzili wokół prac Rosanny. Hazel prowadziła go ścieżką i dalej w dół na plażę, tą samą trasą, którą chodzili na wieczorne ogniska. Pamiętała tamto pierwsze ognisko, kiedy myślała, że są ze sobą spokrewnieni, i zostawiła go oniemiałego na plaży. Nie potrafiła wyobrazić sobie, jak się wtedy poczuł ani jak czuje się teraz. Jakby wszystko, co robił, nie było wystarczająco dobre. Jakby to była jego wina, że nie potrafiła pozwolić mu na bliskość.

Dotarli na sam dół pochyłych schodów, znaleźli skrawek piasku, jeszcze ciepły od gasnącego słońca, i usiedli.

Wieczór był późny, a niebo tak przejrzyste, że księżyc świecił już jasno, mimo że słońce jeszcze trzymało się linii horyzontu.

Hazel podwinęła pod uda dół sukienki.

- Sukienka nie z tej ziemi - mruknął, nie patrząc na nią. -

Chciałem powiedzieć ci już wcześniej, ale nie wiedziałem, czy ze mną rozmawiasz.

Spojrzała na śliską czarną tkaninę. Choćby była najpiękniejsza i nie wiadomo jak wytworna, w tej chwili oddałaby królestwo za spodnie od dresu. Była raczej w dresowym nastroju.

- Dziękuję - odparła cicho, drżąc i zakopując w piasku boscie stopy.

Luke ściągnął z ramion jasnobrązową marynarkę i otulił

nią jej ramiona.

- Chyba jest ci chłodno - powiedział.

Został tylko w cienkiej, bładoniebieskiej koszuli z podwiniętymi do łokci rękawami. Zza rozpiętego kołnierzyka wyzierała opalenizna późnego lata.

Hazel ciaśniej owinęła się marynarką, ściągnęła jej poły pod brodą i kiwnęła głową.

- Dzięki! - powtórzyła. - Faktycznie zmarzłam.

Patrzyła na wodę. Jak zwykle nie miała pojęcia, od czego zacząć. Wiedziała, że Luke jest skonsternowany i lekko rozdrażniony. Miał do tego wszelkie prawo. Chciała wszystko naprawić, tak jak zasugerowała Jaime. Tylko nie miała pojęcia jak.

- Najmocniej cię przepraszam, Hazel - odezwał się zniecacka, a słowa wytoczyły się z taką mocą, jakby powstrzymywał je zbyt długo.

Błyskawicznie zwróciła ku niemu głowę.

- Ty przepraszasz? Za co miałbyś przepraszać?

Luke grabił piasek pod kolanami, pozostawiając bruzdy na powierzchni.

- Nie powinienem był mówić ci tego wszystkiego tak bez ogródek - rzekł przyciszonym głosem. - To było nie fair.

Miałaś absolutne prawo nie być na to gotowa albo nie czuć tego samego, co ja...

- Luke, przestań! - Przerwała, kładąc rękę na jego zanurzonej w piasku dłoni, wpasowując palce w szczeliny między jego palcami. - Czuję dokładnie to samo. Od początku.

Od tamtego pierwszego wieczoru, kiedy siedzieliśmy tutaj na plaży.

- Masz na myśli tamten wieczór, kiedy uciekłaś, jakbym był trędowaty? - roześmiał się.

Uśmiechnęła się i zaczerpnęła powietrza, by uspokoić emocje.

- Tak - odparła. - I przepraszam. Przepraszam za te ciągłe ucieczki. Przepraszam, że tak bardzo wszystko utrudniam. Bo prawda jest taka...

Ścisnęła jego dłoń i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Prawda jest taka, że cię kocham - wyznała, wzruszając ramionami. - I już.

Luke nie spuszczał z niej wzroku, ponury wyraz oczu powoli ustępował. Uśmiechnął się i pochylił, poszukał jej ust i złożył na nich delikatny, słodki pocałunek.

- Teraz znacznie lepiej - powiedział, odchylając się w tył i zrzucając brązowe mokasyny. Poklepał piasek obok siebie i poprosił gestem, by się przy nim położyła. Wsunęła się pod jego ramię i spojrzała na ciemniejące niebo.

- Jest tylko jeden mały problem - dodał, dotykając brodą czubka jej głowy.

- Jaki? - zapytała, szukając jego ręki i obejmując się nią w talii.

- Problem w tym... - Nabrał powietrza w płuca i wypuszczał je powoli przez zaciśnięte zęby. - Że znalazłem wreszcie dziewczynę, a muszę wsiadać na pokład jachtu i opłynąć świat.

Hazel zerwała się gwałtownie z miejsca, niemal wywracając Luke'a na bok, i przekręciła się, by spojrzeć mu prosto w twarz.

- Płyniesz? - zapytała, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Na „Isabelli”? Pozwolił ci?

Uśmiechnął się i przyciągnął ją ku sobie.

- Wyruszamy za dwa tygodnie - oznajmił, nie potrafiąc ukryć podniecenia.

Hazel pocałowała go w szorstki, ciepły policzek.

- A to za co?

Wzruszyła ramionami i spojrzała ponownie na płaską, przejrzystą taflę wody.

- Za wytrwałość - wyjaśniła.

Luke skrzyżował nogi w kostkach i głębiej zapadł się w piasek .

- Wiesz, miałem nadzieję, że będziesz przynajmniej udawała, że jesteś wściekła...

Trąciła go łokciem i się uśmiechnęła.

- Nie mogę być wściekła - odparła z westchnieniem. -

Skoro opuszczam cię pierwsza i jadę do Nowego Jorku.

Tym razem Luke wyglądał na zaskoczonego.

- Wiedziałem! - wykrzyknął, ściskając ją w talii. -

Wiedziałem, że w końcu pojedziesz. Od początku planowałam porzucić mnie dla wielkiego miasta.

Stanowczo zaprzeczyła ruchem głowy, na jej ustach igrał

figlarny uśmiech.

- Absolutnie tak! - ciągnął. - Zostawić wiejskiego chłopaka na polu. Przenieść się do ciekawszego świata.

Oparła głowę na piersi Luke'a, wsłuchując się w miarowe bicie jego serca. Poczowała, jak znów ścisną ją w gardle i z trudem przełknęła ślinę.

- Luke - zaczęła, odsuwając się i spoglądając mu prosto w oczy. - Ja wyjeżdżam i ty wyjeżdżasz - mówiła powoli mocnym i czystym głosem - ale nic nie będzie piękniejsze od tej chwili.

Widziała, jak Luke mruga powiekami, by heroicznie cofnąć napływające do oczu łzy.

- Tak - odparł półszepem. - Pewnie tak to już bywa, że niektórzy ludzie spotykają się w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie.

Uśmiech zgasł na jego twarzy, usta zaczęły drżeć, a potem zacisnęły się, gdy próbował podtrzymać spokojny, miarowy oddech.

- Hej! - Trąciła go lekko. - Mam pomysł. Wszyscy są jeszcze na przyjęciu, prawda?

Odchrząknął i kiwnął głową, wciąż jeszcze miał

zamglone, otępiałe spojrzenie.

- Taaa - odpowiedział niepewnie. - To znaczy tak. Bo co?

Posłała mu swawolny uśmiezek i wstała. Szybko zerknęła na ocean, który teraz się uspokoił i toczył na brzeg łagodne, chlupoczące fale. Po chwili znów spojrzała na Luke'a, z jedną brwią uniesioną wysoko, prowokująco.

- Chcesz się kąpać? - zapytał z wahaniem.

Zrobiła kilka kolejnych kroków w stronę brzegu, czując, jak chłodne wieczorne powietrze łaskocze jej nogi. Schyliła się i zadarła sukienkę, rzucając Luke'owi przez ramię przelotny szelmowski uśmiech.

- O rany! - powiedział, gramoląc się z piasku, rozpinając koszulę i uwalniając się od krawata.

Parsknęła śmiechem, zdjęła sukienkę przez głowę, pomału zmierzając w stronę oceanu. Słyszała, jak Luke szamocze się za jej plecami, zrzuca w pośpiechu ubranie i za nią biegnie.

Nie czekała, aż ją dogoni. Popatrzyła na ocean, ciągnący się bez kresu, jakby można było wypłynąć i płynąć tak bez końca.

I nagle znów miała sześć lat, stała na wysuniętym w jezioro pomoście, lecz tym razem nikt nie stał jej za plecami. Nikt nie ponaglał, żeby skoczyła do wody. Była tylko Hazel i ocean, bezmiar oceanu. Onieśmielający, nieograniczony, pełen perspektyw.

Nie pozostawało nic innego, jak dać nura do wody.

*

Pływali, potem spali.

Luke pobiegł po śpiwór, który rozłożyli u stóp drewnianych schodów. Najpierw sam wczuł się do środka, przytrzymując dla niej jedną stronę. Ich wilgotne nogi splotły się ze sobą, gdy przytulili się do siebie, by się ogrzać.

Leżeli tak do późnej nocy, rozmawiając, licząc gwiazdy, snując na głos marzenia i planując przyszłość.

On wymusił na niej obietnicę, że będzie do niego pisała.

Obiecała. Myślała, że trudno będzie kłamać, ale wcale nie odniosła wrażenia, że mówi nieprawdę.

Powiedziała, że nigdy go nie zapomni, i mówiła szczerze.

Wiedziała, że tak właśnie będzie.

*

Hazel obudziła się o świcie wraz z pierwszym śpiewem ptaka, mrugając powiekami pod niebem wczesnego poranka.

Klify spowijał jeszcze mrok, słońce ledwo barwiło horyzont na szaro i różowo.

Nie miała pojęcia, która jest godzina ani jak długo spali.

Luke pochrapywał cichutko obok niej, jego kasztanowe włosy były przyprószone piaskiem. Powieki drgały, Hazel pomyślała, że na pewno coś mu się śni.

Nie chciała go budzić. Powolutku, ostrożnie wyczołgała się ze śpiwora. W środku nocy znów okrył ją swoją marynarką. Nie mając ochoty przebierać się z powrotem w sukienkę,

ciasno

owinęła

się

nią

w

pasie.

Znalazła sukienkę i zwinęła ją, chwyciła japonki w dwa palce. Obrzuciwszy długim spojrzeniem plażę, klify, pracownię Rosanny i widoczną w oddali farmę, uklękła przy głowie Luke'a.

Delikatnie pocałowała go w czoło, właściwie tylko musnęła je miękko ustami.

- Żegnaj, Luke - szepnęła mu we włosy. - Mam nadzieję, że spełnią się wszystkie twoje marzenia.

Powieki Luke'a zadrgały intensywniej, śpiwór zaszeleścił.

Hazel zamarło serce. Przez chwilę wydawało się, że chłopak się obudzi.

Lecz on tylko głębiej zagrzebał się w śpiworze, podciągając go wyżej pod brodę. Powieki znieruchomiały, twarz opanował spokój.

Uśmiechnęła się. Gdzieś w konarach drzew ptak, którego świergot ją obudził, znalazł przyjaciela i teraz wspólnie śpiewali przepięknie w duecie, podczas gdy ona ostrożnie stąpała po schodach, pozostawiając za sobą plażę i Luke'a już na zawsze.

Rozdział 31

Plan zakładał wymknięcie się, kiedy wszyscy jeszcze spali. Na dole leżał na stole w kuchni rozkład jazdy promów, Hazel zdecydowała się popłynąć pierwszym. Czasu wystarczało mniej więcej na zgarnięcie torby i rozpoczęcie marszu. Jeśli uda się jej złapać po drodze okazję, tym lepiej, gdyby jednak musiała odbyć całą trasę pieszo, zdąży, pod warunkiem że wyruszy bezzwłocznie.

Weszła po schodach na piętro domku dla gości, uważając, by omijać najmocniej skrzypiące stopnie. Białe słońce wpadało przez maleńkie okna łazienki, gdy prędko przebierała się w sukienkę. Jedynymi odgłosami były szum wody w rurach i sporadyczny krzyk przelatującej obok mewy. Aż trudno było uwierzyć, że za ledwie kilka godzin będzie tu wrzało, wszyscy będą kończyć pakowanie i się żegnać.

Wiedziała, że tego nie zniesie. Nie zniesie kolejnych obietnic pozostawania w kontakcie, których nie będzie przecież mogła dotrzymać. Lepiej po prostu się ulotnić.

Zostawi list. Zrozumieją.

Przy drzwiach do pokoju zatrzymała się, zaciskając dłoń na drewnianej gałce. Jak może wyjechać bez pożegnania z Jaime? Oczywiście, gdy mocno zaciskała powieki, by powstrzymać łzy.

Nie miała wyboru. Wiedziała, co musi zrobić. I lepiej się z tym nie ociągać.

Hazel bezgłośnie pchnęła drzwi, dojrzała torbę leżącą w nogach łóżka. Spakowała ją dzień wcześniej. Wszystko, co zawierała, to trzy sukienki - oryginalną, wciąż rozdartą z boku, której jeszcze nigdy nie włożyła, drugą, za sprawą której przeniosła się na wyspę, oraz tę, która sprowadziła na wyspę Reida - zbiór zdjęć i aparat fotograficzny. Torba wydawała się lekka, gdy ją podniosła i przewiesiła przez ramię. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy w ogóle powinna zaprzętać sobie nią głowę.

Nadszedł czas odejścia. Zrobiła kilka ostrożnych kroków w stronę drzwi, przystając, by rzucić na Jaime ostatnie spojrzenie. Przyjaciółka nadal spała, ale zsunęła koc z głowy.

Leżała odwrócona twarzą do ściany, miała zamknięte oczy, włosy rozsypane w swobodnym

nieładzie.

Gdy tylko znalazła się przy drzwiach, usłyszała szelest na łóżku.

- Hazel? - zawołała Jaime w momencie, gdy za Hazel zamykały się drzwi.

Odczekała chwilę. Pewnie lepiej będzie po prostu wyjść.

Udać, że w ogóle jej tu nie było. Może Jaime pomyśli, że się jej przywidziało.

- Hazel, widzę twoje stopy.

Hazel spojrzała na szparę pod drzwiami i się uśmiechnęła.

- Hej - szepnęła, wsadzając głowę przez uchylone drzwi. -

Przepraszam, nie chciałam cię obudzić.

Jaime podniosła się na łokciach i spojrzała na Hazel spod przymrużonych

powiek;

twarz

miała

zaspaną,

zdezorientowaną.

- Właśnie śnił mi się przedziwny sen - rzekła z zadumą w głosie, po czym potrząsnęła głową. - Która godzina?

- Wczesna - odpowiedziała Hazel. - Spróbuję zdążyć na pierwszy prom.

Jaime usiadła na łóżku i pochyliła się do przodu, włosy opadły na wciąż opatulone kocem kolana.

- Wyjeżdżasz?

Hazel zamknęła za sobą drzwi i przysiadła na skraju łóżka Jaime. Wolno pokiwała głową.

- Muszę wracać do domu - wyjaśniła. - Wkrótce zaczyna się szkoła i...

- Ja też nienawidzę pożegnań - przerwała Jaime. - Także zamierzałam wymknąć się przed tobą cichaczem.

- Naprawdę? - spytała z uśmiechem Hazel.

Przyjaciółka pokiwała głową i naciągnęła narzutę na ramiona.

- Powiedziałam Rosannie wczoraj wieczorem - oznajmiła cichym głosem. - Jadę z nimi do Kalifornii.

Hazel uśmiechnęła się, ogarnął ją wewnętrzny spokój.

Położyła dłoń na ramieniu Jaime okrytym ciepłą, miękką w dotyku narzutą. Wyobraziła ją sobie, jak zabiera ze sobą kapę do Kalifornii, a potem może i do Peru, ten jeden jedyny fragment domu, który wozila ze sobą zawsze i wszędzie.

Ucieszyła się na wieść, że Jaime nie będzie pozostawiona sama sobie.

Jaime bez słowa rzuciła się naprzód i zamknęła Hazel w uścisku. Jej ciało było jeszcze ciężkie od snu i pachniało słodko jak niemowlak. Hazel przytuliła ją mocno, tłumiąc wzbierające łzy. Chciała o wszystkim jej opowiedzieć. O tym, jak poznanie jej pozwoliło spełnić się wszystkim marzeniom.

Nawet tym, z których istnienia nie zdawała sobie sprawy.

Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Wyplątała się z ramion przyjaciółki i zdobyła na uśmiech, następnie wstała i szybko ruszyła do drzwi.

- Zobaczymy się, kiedy dotrzemy na miejsce? - spytała z nadzieją Jaime, prostując ramiona i opadając na poduszki. - W

Kalifornii?

Hazel przystanęła w korytarzu. Nie potrafiła znowu skłamać. Wiedziała, że nie może wyjawić prawdy, ale kolejne kłamstwo też nie przeszłoby jej przez usta. Obróciła się i spojrzała na Jaime przez ramię.

- Opowiedz mi swój sen - poprosiła.

Jaime leżała już znowu pod narzutą, zwinięta w ciasną kulkę na krawędzi łóżka. Przymknęła powieki i się uśmiechnęła.

- Wczoraj - zaczęła sennym głosem - kiedy rozwieszałyśmy lampki na przyjęcie, mówiłaś o dziecku jako o dziewczynce. I od tamtej pory mam przecucie, że się nie myliłaś. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Po prostu wiem.

Wyjęła rękę spod koca i podrapała grzbiet nosa. Mówiła dalej, nie otwierając oczu.

- A wczoraj wieczorem śniło mi się, że urodziłam to dziecko. - Uśmiechała się teraz rozanielona, głos jej złagodniał, słowa płynęły wolniej, dzieliły je większe odstępy.

- Zobaczyłam je. Było piękne. Najpiękniejsza dziewczynka pod słońcem. I dałam jej na imię Hazel. Na twoją cześć.

Hazel zamarła w bezruchu, po ramionach przebiegały jej ciarki. Jaime zaczęła głębiej oddychać, ale wciąż mamrotała coś pod nosem, gdy Hazel zaczęła przymykać drzwi.

- Kocham cię, Hazel - usłyszała słowa Jaime przez wąską szparę. Delikatnie zatrzasnęła drzwi i stała obok z ręką przyciśniętą do framugi.

- Ja też cię kocham - wyszeptała.

Rozdział 32

Prom był niemal pusty, kiedy Hazel wsiadła na pokład. W

kabinach na dole nieliczne grono jadących do pracy rannych ptaszków ucinąło sobie drzemkę obok swoich przenośnych lodówek z lunchem. Poczowała przelotne ukłucie zazdrości, przechodząc obok nich. Ależ z nich szczęśliwcy, pomyślała.

Po pracy mogą wrócić do domu. Do domu na wyspie.

Cichutko wspięła się po schodach i minęła bar z przekąskami, uśmiechając się do kobiety stojącej za rzędem parujących kubków kawy. Była ubrana w mundurek, na który składały się różowa koszula i daszek w tym samym kolorze, i wydłubywała okruszki z zapakowanej w folię bułki z kruszonką. Hazel pomyślała, żeby wrzucić coś na ząb. Kto wie, kiedy nadarzy się następna okazja? Ale coś jej podpowiadało, że zdenerwowanie nie pozwoli zatrzymać czegokolwiek w żołądku.

Znalazła się tutaj nie bez powodu.

Przecisnęła się przez ciężkie stalowe drzwi, podmuch wiatru zmusił ją do stawiania na pokładzie szerokich kroków, jakich używa się w podwodnych wędrówkach.

Większość plastikowych niebieskich krzesełek na dziobie promu stała pusta. W odległym rogu mężczyzna w czapeczce Boston Red Sox podnosił na rękach małego chłopca i przechylał go ponad relingiem. Malec miał ciemną czuprynę i wyciągał pulchną piąstkę, ściskając w palcach kawałek chleba.

Mewa pikowała raz po raz i rzucała się na chleb, chłopiec zaś pisał, gwałtownie cofając rączkę. W końcu mężczyzna sam wziął chleb, przytrzymując go nad głową chłopca. Dziecko klasnęło w rączki, gdy mewie udało się wreszcie pochwycić kasek. Od początku interesowało je głównie obserwowanie.

Hazel uśmiechnęła się do siebie, idąc bocznym korytarzem, mijając rząd okien i znajdując spokojne miejsce w połowie drogi między dziobem a rufą. Ranek był rześki jak rzadko, z leciutką mgiełką. Odniosła wrażenie, że gdyby wpatrywała się wystarczająco długo, dojrzałyby nawet posiadłość Rosanny. Portowe miasteczko było jeszcze senne i bez życia, plaża pusta, na długich, krętych drogach widać było zaledwie kilka samochodów.

Rzuciła torbę na reling i wyciągnęła aparat. Podniosła go i objęła jak największy fragment wyspy, jaki zmieścił się w obiektywie, a potem nacisnęła spust. Kiedy zdjęcie wysunęło się z aparatu,

osuszyła je na wietrze.

Było zaskakująco ciepło jak na tak wczesny poranek, lecz mimo wszystko cieszyła się, że nie zdjęła marynarki Luke'a.

Miała zamiar zostawić ją przed wyjazdem na jego łóżku w stodole - wraz ze swoim zdjęciem, tym, które Reid zrobił jej na plaży - ale z pośpiechu o tym zapomniała.

No i cieszyła się, że może zakryć czymś sukienkę. Nie był

to raczej strój odpowiedni na podróż, zwłaszcza o tak wczesnej porze dnia.

Obserwowała, jak klaruje się niewyraźny obraz na fotografii.

Słyszała

głosy

nawołujące

z

nabrzeża,

odwiązywanie lin, jęk maszyn oraz dudnienie silnika pod stopami. Podniosła wzrok i ujrzała powiększający się pas wody między promem a nabrzeżem. Przez chwilę wydawało się, jakby to wyspa się oddalała, zsuwała w wody oceanu, dryfowała w stronę horyzontu.

Po raz ostatni ogarnęła wzrokiem wyspę, porównując ją do obrazu utrwalonego na trzymanej w ręku fotografii, po czym ostrożnie schowała zdjęcie do torby obok pozostałych odbitek.

Torbę postawiła obok siebie na podłodze i zrzuciła marynarkę Luke'a. Złożyła ją na pół, odłożyła na wierzch torby i odwróciła się do relingu.

Teraz wyspa przypominała jedynie skrawek lądu z trawą, piaskiem i maciupęnkimi domkami, mieniący się spokojnie na tafli wody. Hazel zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech; słone, aromatyczne powietrze nappełniło jej płuca, łaskotało w nos i osuszało wilgotne kąciki oczu.

Pomyślała o Luke'u, pewnie nadal smacznie śpiącym na piasku. I o Rosannie oraz Billym, budzących się, cieszących ostatnim porankiem w tym domu. Myślała o Maurze i Craigu, wstających, by nakarmić zwierzęta w stajni.

Pomyślała' o Jaime i instynktownie dotknęła muszli na szyi.

Marzyła o poznaniu swojej matki. I życzenie się spełniło.

Bez względu na to, co się wydarzy, tego nikt jej nie odbierze.

To był podarunek; podarunek, którego nie spodziewała się nigdy otrzymać. Być może nie zobaczy już nigdy wyspy ani Jaime, ale nie to się liczyło. Ważne, że się tam znalazła. Ze poznała ich wszystkich i spędziła z nimi trochę czasu.

A teraz nadeszła pora powrotu do domu.

- Jestem gotowa - szepnęła pod nosem. - Żadnych więcej wymówek. Koniec oglądania się wstecz. Pragnę wrócić do mojego życia, cokolwiek ma dla mnie w zanadrzu i kimkolwiek się stanę.

Serce biło jak szalone, gdy błyskawicznie otworzyła oczy, wstrzymując oddech.

Przez chwilę nie działo się zupełnie nic.

A potem, jak już dwa razy przedtem, trzepotanie.

Delikatne poruszenie tkaniny przy rąbku sukienki. Popatrzyła w dół, gdzie mały złoty motylek próbował oderwać się od materiału.

Powolutku świetlisty owad się uwolnił, zawisł na wysokości jej twarzy, bijąc w powietrzu skrzydełkami.

Uśmiechnęła się, przypominając sobie tamten pierwszy raz, gdy go ujrzała. I pomyślała, że traci zmysły. Podczas gdy w istocie zaczęła je odzyskiwać.

Motyl wciąż unosił się w powietrzu, gdy wtem silny podmuch wiatru zawirował wokół jej kostek i wzbił drobinki piasku z pokładu. Motyl zdawał się wpaść w pułapkę, Hazel miała niemal ochotę wyciągnąć rękę i go zatrzymać, lecz wiatr był zbyt porywisty. Wzmógł się do wyjącego wichru, zagarniając drobnego owada i unosząc go w dal, aż stał się tylko nikłym punkcikiem, świecącym ponad białymi grzywami fal w oddali.

Kolejny poryw wiatru był jeszcze silniejszy, osłoniła oczy ramieniem. Starła się utrzymać na nogach, zostać przy relingu, ale wichur pchał ją w tył. Chwiejnie podeszła do okna, ukryła twarz przy szybie, czując na ustach smak oceanu.

Mocno zacisnęła powieki, serce tłukło się w piersi, wiatr wył

wokół głowy.

Oślepiające białe światło błysnęło pod powiekami, Hazel zaś poczuła, jak upada na podłogę, ściskając rękami głowę i modląc się, żeby wkrótce było po wszystkim.

I tak się stało.

Rozdział 33

Mimo zaciśniętych powiek Hazel czuła, że dokoła panują ciemności.

Zamrugnęła i powoli otworzyła oczy. Wiatr ucichł, pozostawiając upiorną ciszę, wszystko spowijał mrok, nie tyle czarny, co atramentowy.

Gdy wzrok przywykł do ciemności, dostrzegła jarzące się światełko i w pierwszym odruchu sądziła, że to motyl wciąż tkwiący gdzieś w powietrzu. Z wolna uświadomiła sobie, że to mrugająca gwiazda, ponieważ jej oczom ukazały się setki innych, stłoczonych obok siebie na bezkresnym niebie.

Ostrożnie podniosła się z podłogi i podeszła do barierki.

Nadal znajdowała się na pokładzie promu i musiała wyciągać szyję na wszystkie strony, by dostrzec coś jeszcze. Najpierw obejrzała się za siebie i poczuła, jak żołądek robi fikołka.

Góry Marin nikły w ciemności, ich wyniosłe grzbiety wznosiły się po obu stronach.

Wstrzymawszy oddech, odwracała się powoli w przeciwnym kierunku, gładka tafla oceanu ślizgała się wzdłuż kadłuba. Hazel zobaczyła przed sobą światła San Francisco, znajomą linię miejskiego horyzontu, otwarty port.

To jej dom i do niego zmierzała.

Odwróciła wzrok do okna, rozpoznając prom do Larkspur.

Ten, na który wsiadła zalana łzami tamtego wieczoru, dowiedziawszy się, że jej matka - czy raczej kobieta, którą wzięła za swoją matkę - nie żyje.

Rosanna. Hazel zabolęło serce, gdy przypomniła sobie imprezę w hotelu, Billy'ego w barze. Rosanna umarła. I nic tego nie zmieni.

Prawdę mówiąc, nie zmieniło się też nic poza tym.

Zerknęła na zegarek. 9.42. I data: kilka miesięcy wcześniej, ten sam dzień, w którym wyjechała. Zaledwie kilka krótkich godzin od momentu wejścia na pokład.

Co to miało znaczyć? Zastanawiała się nad odpowiedzią, szukając wskazówek na promie. Czy to wszystko się jej przyśniło?

Serce jej łomotało, gdy kucnęła przy oknie, otwierając torbę. Zdjęcia! Spakowała polaroidy, wszystkie fotografie wyspy oraz jej przyjaciół, te, których Rosanna nie oprawiła.

Były prawdziwe. Bez wątplenia.

Grzebała w torbie, gorączkowo poszukując koperty.

Wywróciła ją dnem do góry, wysypując zawartość na metalowe kratki podłogi.

Ze środka wypadła jedynie samotna sukienka. Ta, którą kupiła osobiście. Ta, którą wypatrzyła w sklepie charytatywnym, z rozdarciami na szwie, które nie zostało zaszyte.

Hazel poczuła, jak do oczu cisną się gniewne łzy. To niemożliwe. Otworzyła szerzej torbę i zajrzała do środka. Była pusta.

Oparła się o okno, próbując zapanować nad pulsowaniem w gardle. Oddech rwał się nerwowo, ogarnęło ją nagle uczucie mdłości. Zacisnęła powieki i starała się uspokoić puls, wolno wciągając i wypuszczając powietrze.

- Chcę wrócić na wyspę! - powiedziała na głos, nie przejmując się, czy ktoś ją usłyszy. - Zmieniłam zdanie. Chcę wrócić na wyspę.

Kiedy jednak otworzyła oczy, wiedziała, że zaklęcie nie zadziałało. Naszywka z motylem zniknęła. Ostatni świetlisty owad odleciał w siną dal.

Poczuła ból w boku i zdała sobie sprawę, że coś ją uwierało, gdy leżała zwinięta na podłodze. Sięgnęła za plecy i poczuła dotyk znajomej szorstkiej tkaniny.

Marynarka Luke'a. Przypomniała sobie, że zdjęła ją przed wypowiedzeniem życzenia i jakimś cudem nadal miała ją przy sobie. Przycisnęła ją do siebie, wtuliła twarz w kołnierz i wdychała jego zapach.

A więc to działa się naprawdę. Wszystko było prawdziwe.

Luke, Jaime, wyspa... i stało się częścią niej samej.

O czymś sobie przypominała. Przeszukiwała kieszeń za kieszenią, aż wreszcie palce natrafiły na chłodną, gładką fotografię i wyłowiły ją na światło dzienne.

Zdjęcie, które Reid - jej ojciec - zrobił jej na plaży.

Rozwiane włosy, wzrok błędzący gdzieś daleko. Ono także było prawdziwe.

Wpatrywała się w fotografię długo i intensywnie, zachodząc w głowę, dlaczego pozostała jej tylko ta jedna. Ale zawsze coś. Ślad tego, gdzie była i kim była, nim skończyło się lato, które odmieniło jej życie.

Wsadziła zdjęcie z powrotem do kieszeni i poczuła znajome szarpnięcie, towarzyszące dobiciu do nabrzeża.

Zadarła głowę i ujrzała majaczącą w górze wysoką sylwetkę Ferry Building.

Wróciła do punktu wyjścia.

Pospieszyła do wyjścia, nogi niosły ją same, zanim zdążyła zdecydować, czy robi to, co powinna. Bileter stał z boku, zapowiadając ostatni kurs do Larkspur. Powinna zostać na pokładzie, wiedziała o tym. Powinna wrócić do domu.

Ale nie mogła bez sprawdzenia. Czy faktycznie nic się nie zmieniło? Co zastanie w restauracji? Czy będzie tam Luke? A Jaime?

Pomknęła trapem w dół i dalej wzdłuż nabrzeża, wciąż pełnego fotografujących się turystów. Stała przed drzwiami restauracji i zajrzała do środka, przez tę samą szybę, co poprzednio.

Sztaluga stała na swoim miejscu, z tym samym portretem Rosanny. Kobieta o krótkich ciemnych włosach i jej towarzysz, ci sami, od których dowiedziała się smutnej nowiny przy bufecie, delikatnie kołysali się w tańcu. A po drugiej stronie sali, wciąż sam i wciąż przy barze, siedział

Billy.

Hazel zaschło w gardle. Pragnęła wejść do środka. Podejść do Billy'ego. Przytulić go i powiedzieć, że będzie dobrze.

Poszukać pozostałych. Jak teraz wyglądają? Jak ułożyło im się życie? Dzieliły ją tylko przeszklone drzwi, pojedyncza tafla szkła.

A jeżeli jej nie pamiętają? Albo wręcz przeciwnie? Jak by się czuli, widząc kogoś, kogo znali tak wiele lat temu? I kto nie zmienił się ani na jotę, podczas gdy im wszystkim przybyło lat. Podczas gdy ich życie potoczyło się dalej.

Byliby co najmniej skonsternowani.

Tymczasem ani miejsce, ani okoliczności nie sprzyjały wyjaśnieniom. Ten wieczór nie należał do niej. To był wieczór ku czci Rosanny. Poza tym jakaś część Hazel nie chciała znać prawdy, na wypadek gdyby okazało się, że to, co wydarzyło się w jej życiu i tak wiele dla niej znaczyło, nie oznaczało tego samego dla pozostałych.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na fotografię Rosanny za szybą.

- Żegnaj, Rosanno - wyszeptała i odwróciła się do wyjścia.

Była w połowie drogi na przystanek autobusowy, gdy zdała sobie sprawę, że nie ma przy sobie torby.

Puściła się biegiem do restauracji, myśląc, że może tam ją zgubiła, lecz wkrótce przypomniała sobie, że nie widziała jej od momentu wysypania na promie całej jej zawartości. Tam musiała ją zostawić, na pokładzie, razem z sukienką ze sklepu charytatywnego.

Pędem pomknęła na nabrzeże. Prom wciąż stał. Biegła, modląc się, by nogi niosły ją szybciej.

Jednak gdy znalazła się przy kasie biletowej, zatrąbiła syrena. Odcumowano liny i prom ruszył, sunąc po wodzie.

Stała zrezygnowana. Już nigdy nie zobaczy sukienki.

Miała już zawrócić, gdy coś na promie przykuło jej uwagę. Jakaś sylwetka, postać trzymająca dziecko. W

pierwszej chwili pomyślała, że to tamten mężczyzna z Martha's Vineyard, z małym chłopcem na rękę,

karmiący chlebem mewy.

Ale postać odwróciła się i Hazel zobaczyła kobietę o długich blond włosach oraz małą dziewczynkę. Podeszła kilka kroków bliżej, osłaniając oczy przed jaskrawymi światłami nabrzeża i starając się lepiej przyjrzeć.

Dziewczynka wyciągała obie rączki ponad relingiem, a Hazel rozpoznała wpięte we włosy skrzące się spinki z kwiatkami. Dziewczynka z toalety. Ta, która myła ręce.

Wzmógł się wiatr i zdołała usłyszeć, jak dziewczynka piszczy z radości, powtarzając coś w kółko. Machała rączką i brzmiało to jak „pa, pa, pa, pa, pa, pa”.

Bez namysłu także podniosła rękę i zaczęła machać do dziewczynki i jej matki, niesionych w dal na pokładzie promu.

Kobieta posadziła sobie dziewczynkę na biodrze, zsunęła szal z ramienia i podniosła uwolnioną w ten sposób rękę w geście pozdrowienia. Krótki błysk światła odbitego od rozjarzonego lampami nabrzeża padł na srebrny łańcuszek zawieszony na szyi kobiety. Hazel poczuła, jak przyspiesza jej puls, gdy pochylała się nad drewnianą barierką, mrużąc oczy, z ręką zastygłą w pół gestu.

Fioletowa muszla. Naszyjnik. Ręka błyskawicznie powędrowała do szyi i poczuła chłód łańcuszka podarowanego jej przez Jaime, gładkość muszli na skórze.

To ta sama kobieta, którą spotkała w łazience. Kobieta z córeczką.

Włosy miała ufarbowane na blond, ale wciąż były długie i kręcone, a małych ciemnych oczu nie sposób było nie rozpoznać.

Jaime.

Hazel znów uniosła rękę, machając z początku nieśmiało, a potem zataczając ramieniem zamaszyste koła. Miała ochotę krzyknąć. Wrzasnąć do Jaime, żeby wróciła. Ubłagać obsługę, by zawróciła prom.

Ale z jej ust nie wydobyły się żadne słowa.

Kobieta na promie schowała rękę pod szal i przyciągnęła dziewczynkę do piersi. Odwróciły się i weszły do środka, kontury ich przytulonych sylwetek zatarły się w miękkim żółtym świetle kabiny.

Rozdział 34

Następnego

ranka

Hazel

budziła

się

powoli.

Przypomnienie sobie, gdzie się znajduje, zajęło jej dłuższą chwilę. Jasna kwadratowa plama światła padała na podłogę przy łóżku. Widziała przez okno, że na zewnątrz świeci słońce, przedzierające się przez fałdy zielono - białych zasłon.

Leżała w łóżku, na swoim starym materacu w San Rafael.

Była w domu. Była wiosna. I wreszcie przestało padać.

Leżała nieruchomo i znów zamknęła oczy, odtwarzając wydarzenia poprzedniego wieczoru. Torba na promie. Billy w barze. Fotografia Rosanny w ramie.

Jaime.

Poderwała się. Czy naprawdę widziała na promie Jaime?

Było ciemno, dzieliła je spora odległość. Mogła widzieć jakikolwiek naszyjnik.

Ale nie. To musiała być ona. Wyglądała tak samo, z wyjątkiem koloru włosów. Hazel uśmiechnęła się. Teraz Jaime zamieniła się w Blondynę. Była starsza, co oczywiste, i szczęśliwsza. Wyglądała właśnie tak, jak widziała ją, gdy wyobrażała sobie, co przyniesie przyszłość. Spełniona, pewna siebie oraz drogi, którą podąża.

Ciekawe, dokąd się wybierała, dumiała Hazel. Czy mieszka w pobliżu? Ten prom był jedynym, który obsługiwał

całe hrabstwo Marin. Mogła płynąć wszędzie. Ale czy to możliwe, że przez cały czas mieszkały w sąsiedztwie?

Przypomniła sobie małą dziewczynkę, tę, którą widziała w toalecie, a potem znów na promie. Drugą córkę Jaime. Jej przyrodną siostrę.

Wcześniej myślała o własnej matce wydającej na świat jeszcze jedno dziecko - i je wychowującej - prawdopodobnie rozzłościłaby ją, napełniła palącą zazdrością, którą czuła za każdym razem, gdy myślała o wszystkim, czego nie było jej dane w życiu zaznać.

Teraz jednak, gdy gramoliła się z łóżka, gotowa rozpocząć dzień, była wolna od takich uczuć. Znajdowała się dokładnie w miejscu, w którym powinna, uczyniła wszystko, co miała uczynić. I dzięki temu była sobą. Niczego nie straciła.

Hazel się ubrała. Zastanawiała się, co w tej chwili porabia Jaime. Wiedziała, że odnalezienie jej nie byłoby niemożliwe.

Wyobraziła sobie siebie przy szkolnym komputerze.

Wystarczyłoby wpisać nazwisko Jaime, hrabstwo Marin i może nazwy różnych miejscowości na próbę. Za sprawą szybkiego wyszukiwania i naciśnięcia klawisza mogłaby trafić do matki przed upływem dnia.

Ale nie wydawało się to słusznym rozwiązaniem. Nie wiedziała, dlaczego tak jest ani jak długo to potrwa, jednak w głębi serca czuła, że nie jest jej pisane ponownie odnaleźć Jaime. Jeszcze nie teraz.

Może kiedyś zechce odszukać matkę. A może wspólne lato miało być jedynym spędzonym razem czasem.

Tak czy owak, Hazel wiedziała, że będzie dobrze. Ze wszystko jakoś się ułoży, nawet jeśli nie w taki sposób bądź

też nie wtedy, kiedy będzie się tego spodziewała.

Skończyła się ubierać i poszła do łazienki umyć zęby.

Rozpuściła włosy, które związała na noc w koński ogon.

Nie urosły ani centymetr i wciąż były ufarbowane na platynowy blond. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie odrosną.

Gdy miała już wychodzić z łazienki, jej wzrok padł na polaroid w rogu lustra. Zdjęcie Wendy trzymającej ją na biodrze. Nigdy nie zwróciła uwagi, jaka szczęśliwa wydawała się Wendy. Pragnęła być matką i udało się jej spełnić to marzenie, choćby tylko przez krótką chwilę.

Usłyszała znajome głosy ulubionych komentatorów sportowych Roya dobiegające z telewizora na dole. Spał, gdy wróciła wczoraj wieczorem. Przystąpiwszy próg, nie była pewna, czy będzie w stanie uciąć sobie z nim krótką pogawędkę, toteż ulżyło jej, że nie ma takiej konieczności.

Kiedy jednak skręcała za rogiem do salonu, na jej twarzy widniało coś, co bardzo przypominało uśmiech. Oto i on, oparty jak zawsze o narożnik kanapy, ze wzrokiem utkwionym w ekranie telewizora i z miseczką płatków śniadaniowych na kolanie.

- Dobry - powiedział, ocierając kącik ust i sprawdzając, czy nie ma przypadkiem na brodzie kropel mleka. Niezgrabnie sięgnął po pilota i przyciszył głos.

- Dzień dobry! - odparła na powitanie. Nie chciało się jej wierzyć, ale miała ochotę go uściskać. I gdyby potrafiła wymyślić choćby jeden dobry pretekst albo jakąś sensowną rzecz, którą mogłaby potem usprawiedliwić swoje zachowanie, prawdopodobnie poszłaby za impulsem.

Zamiast tego uśmiechnęła się i skierowała kroki do kuchni. Pudełko płatków śniadaniowych czekało na nią na stole obok miski i łyżki. Znalazła mleko i przygotowała sobie śniadanie, kręcąc się chwilę przy zlewie, a następnie zaniósła miseczkę do pokoju i usadowiła się na drugim końcu kanapy.

Hazel czuła, że Roy przygląda się, jak ona zajada śniadanie. Sprawiał wrażenie, jakby bał się odezwać, jakby się bał, że Hazel zaraz wyjdzie. Wbiła wzrok w migający telewizor, jakieś nieistotne

zestawienia wyświetlane na pasku na dole ekranu na tle chaotycznych obrazów pierwszej dziesiątki wydarzeń sportowych tygodnia.

- Podobno ma być dzisiaj ładnie - powiedział Roy, spoglądając przez okno i mrużąc w słońcu oczy. - Myślisz, że wreszcie przestało padać na dobre?

Jej wzrok powędrował za jego spojrzeniem na ulicę.

Przytaknęła ruchem głowy.

- Mam przecucie, że najgorsze już za nami - rzekła i wpackowała do ust kolejną łyżkę gęstych płatków. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio powiedziała do niego tak wiele słów na raz.

Jeśli w ogóle to zauważył, dołożył starań, by niczego nie dać po sobie poznać. Wysiorbał resztkę mleka i poklepał

poręcz sofy.

- No to w porzo - powiedział, podnosząc się z miejsca i wstawiając miskę do zlewu.

Hazel poszukała pilota i pstryknęła wyłącznik, gdy Roy włożył swoją czapeczkę i stanął przy drzwiach.

- Pewnie nie chcesz, żebym cię podrzucił? - stwierdził, ale zabrzmiało to jak pytanie.

- Nie, dzięki. - Wzruszyła ramionami. - Pojadę autobusem.

Starła się powiedzieć to z uśmiechem i miała nadzieję, że zrozumiał, że nie chodzi o niego. Musiała uporządkować kilka spraw przed pójściem do szkoły. Miała za sobą bardzo długi weekend.

- W porzo. - Roy kiwnął głową, przekręcił gałkę w drzwiach i przestąpił próg.

- Hej, Roy! - Wstała, trącając nogą stolik.

Roy zatrzymał się i odwrócił przez ramię.

- No?

Naciągnęła rękawy swetra na kciuki.

- Chciałam tylko powiedzieć, no wiesz - wyjąkała, serce podskoczyło jej do gardła, dłonie zwilgotniały.

Chciała powiedzieć mnóstwo różnych rzeczy, tylko że one piętrzyły się jedna nad drugą i nie była pewna, czy zdoła podzielić je na spójne, zrozumiałe, możliwe do wyrażenia słowami myśli.

- Chciałam ci tylko powiedzieć - zaczęła jeszcze raz, robiąc głęboki wdech i wypuszczając powietrze. - Żebyś nie golił brody. Podoba mi się.

Roy dotknął zarostu na twarzy, przyglądał rudawą szczecinę na szczęce.

- Tak myślisz?

Kiwnęła głową stanowczo.

- Zdecydowanie.

Roy rzucił krótki uśmiech, bębniąc kostkami o framugę.

- W porzo - powtórzył i zamknął za sobą drzwi.

Hazel dojadła płatki, umyła najpierw swoją miseczkę, potem Roya i odstawiła obie na suszarkę. Porwała z szafy stary szkolny plecak, znalazła książki przy schodach i wybiegła do autobusu.

Dotarła pędem do następnej przecznicy. Opadły jej ramiona na widok autobusu odjeżdżającego wężykiem z przystanku trzy przecznice dalej i przykurzonych czerwonych świateł stopu znikających w powodzi pojazdów.

- Hej! - usłyszała za sobą głos. - Zaczekaj!

Stała przy krawężniku, odwróciła się i ujrzała Jaspera Greene'a ruszającego chodnikiem w jej stronę.

- Jasper?

Zwolnił,

nim

się

z

nią

zrównał,

na

jego

charakterystycznych, sercowato wygiętych ustach drżał

uśmiech.

- Już kombinujesz, jak tu mnie spławić?

- Spławić? - powtórzyła.

Nagle przypomniała sobie, jak spotkali się w mieście. Przy książkach. Robiła zdjęcie. Pamiętała nawet, że powiedział coś, co przyprawiło ją o rumieniec. Tylko co?

- Dziś poniedziałek, zgadza się? - rzekł Jasper.

Miał na sobie ciemne dżinsy i starą kowbojską koszulę z błyszczącymi guzikami. Popatrzyła na niego, na jego duże brązowe oczy, zabawną czuprynę, i uzmysłowiła sobie, że dotychczas właściwie go nie dostrzegła.

- Zgadza się? - ponowił pytanie i tym razem zabrzmiało tak, jakby mógł się mylić. Obserwowała, jak uśmiech leciutko przygasa, jak zaciskają się kąciki ust, tak samo jak na twarzy Luke'a, gdy zniecka powiedziała lub zrobiła coś, co wprawiło go w zdenerwowanie. - Pomyślałem, że moglibyśmy pojechać razem autobusem.

Odetchnęła głęboko i schowała za ucho kosmyk włosów.

Spojrzała na ulicę. Spóźniła się na pierwszy autobus, a jeśli będą czekać na następny, nie zdążą na zajęcia.

- Nie - powiedziała, kręcąc głową.

Jasper wbił wzrok w chodnik i kopnął krawężnik.

Westchnął głęboko i przeciągle, a wtedy Hazel uzmysłowiła sobie, co powiedziała.

- Nie, chodziło mi o to, że nie możemy pojechać autobusem! - Roześmiała się. - Zwiął. Musimy pójść pieszo.

Jasper też parsknął śmiechem, uśmiech powrócił na swoje miejsce.

- Jasne! - powiedział. - Nie ma sprawy.

Poczuła dobrze znane szarpnięcie w sercu i uzmysłowiła sobie, że ona także nie ma nic przeciwko pieszej przechadzce.

Stanęli przed skrzyżowaniem, obserwując czerwone mrugające światło. Gdy zmieniło się na zielone, Jasper zerknął

na nią z ukosa.

- Gotowa ?

- Gotowa - odparła i razem zstąpili z krawężnika i wkroczyli na jezdnię.

EPILOG

Prom do miasta wypływał z Marin, wioząc dorosłych do pracy, uczniów na szkolne zajęcia. W rogu obok drzwi przewróciła się czarna płócienna torba. Ze środka wypadła sukienka: wirujące jaskrawe koła na śliskiej satynie. Na szwie było rozdarcie, przy wycięciu pod szyją metka: MARIPOSA Z MISSION.

Sukienkę zgubił ktoś, kto już jej nie potrzebował, ona zaś czekała, aż znajdzie ją dziewczyna, której będzie potrzebna.

Dziewczyna, która potrzebuje drugiej szansy bądź odwagi do spełnienia swoich marzeń. Dziewczyna, która nosi w sercu marzenie.

PODZIĘKOWANIA

Liczne podziękowania dla licznych osób: Dla pań z portalu Alloy, zwłaszcza dla Sary Shandler i Joelle Hobeika, które od początku były najcudowniejszymi redaktorkami, nauczycielkami i przyjaciółkami. Także dla Kristin Marang, która cierpliwie wprowadzała mnie w świat Internetu. Czuję się zaszczycona Waszą pomocą i wsparciem.

Dla pań ze Scholastic, szczególnie dla Aimee Friedman, Abby McAden oraz Sheili Marie Everett za błyskotliwe wskazówki oraz entuzjastyczne wsparcie. (Oraz za instrukcje, sprowadzanie na ziemię i przypominanie o niezgubieniu plakietek konferencyjnych. Będę bardziej się starać, obiecuję).

Dla nadzwyczajnego Davida Levithana i jego wspaniałej wspólnoty Młodych Pisarzy za przyjęcie mnie do swojego grona. Szczególne podziękowania dla Francisco X. Storka za jego piękne książki i za wprowadzenie mnie w pisarskie arkana.

Dla mieszkańców Martha's Vineyard: osadzenie akcji książki na Waszej wyspie było dla mnie zaszczytem.

Specjalne podziękowania dla Madi i Boba Couttsów, Erin Haggerty, Dany Inglehart, Neli Decker oraz biblioteki West Tisbury, Kristin Maloney i biblioteki Chilmark, Cynthii Wolfson oraz Zoe z Riley's Read.

Dla grona moich przyjaciół: Courtney Messinger i Alexa Eptona (za noclegi w Brooklynie), Hannah Kim, Katie Greisch, Jenny Bonistalli, Leah Tepper - Byrne oraz Lauren O'Rourke. Dzięki za wytrzymywanie ze mną tak długo.

Dla Eliota, za publiczne przeczytanie książki na temat sukienek i za wyciągnięcie mnie z domu.

Jak zawsze dla mojej rodziny: mamy, Marii Krokidas, za

„emocjonalne testowanie” niezliczonych wersji roboczych oraz za uwolnienie mnie od obowiązku czytania umów. Dla taty, Bruce'a Bullena, który służy najlepszą radą. I dla moich braci, George'a i Johna, za rozbawianie mnie, nawet wtedy, gdy nie było mi do śmiechu.

Książkę tę dedykuję moim babciom, które, odkąd sięgam pamięcią, mieszkają po dwóch przeciwnych stronach tej samej ulicy, które zawsze stawiają rodzinę na pierwszym miejscu i które tak mocno ukształtowały moje pisanie oraz osobę, jaką dzisiaj jestem.

Dziękuję, dziękuję i jeszcze raz dziękuję.